

**Agatha Christie**

Śmierć na Nilu

*Tłumaczyła* **Natalia Billi**

Tytuł oryginału: *Death on the Nile*

# Rozdział I

Linnet Ridgeway!

— To ona! — rzekł pan Burnaby, właściciel baru Pod Trzema Koronami.

Trącił łokciem przyjaciela. Stali obaj z wytrzeszczonymi oczami i lekko otwartymi ustami.

Czerwony wielki rolls-royce zatrzymał się przed pocztą.

Wyskoczyła z niego dziewczyna bez kapelusza, ubrana w prostą (ale tylko z pozoru) sukienkę. Rzadka to okazja zobaczyć w Malton koło Wodę złotowłosą dziewczynę o tak pewnym sobie wyglądzie i wdzięcznej sylwetce.

Szybkim, zdecydowanym krokiem weszła do urzędu pocztowego.

— To ona! — powtórzył pan Burnaby i dodał niskim, pełnym nabożnej czci tonem: — Milionerka! Chce włożyć parę tysięcy w tę miejscowość. Mają tu być pływalnie, eleganckie ogrody i sala taneczna, połowę tych domów rozbiorą i pobudują nowe...

— Napędzi do Malton pieniędzy — odrzekł przyjaciel pana Burnaby'ego, chudy, wymizerowany człowiek. W głosie jego brzmiała zawiść i niechęć.

— Tak, to gratka dla miasteczka! — przytaknął pan Burnaby. — Coś niebywałego, doprawdy!

Aż promieniał z radości. — Wszystkich nas to poderwie na nogi! — dodał.

— Ale nie tak jak za czasów Sir George'a! — zauważył chudzielec.

— Tylko że on dorobił się na koniach — rzekł wyrozumiale pan Burnaby. — Zawsze mu szczęście sprzyjało.

— Za ile to wszystko sprzedał?

— Podobno dostał bez trudu sześćdziesiąt tysięcy. Chudzielec aż gwizdnął.

— Powiadają, że będzie ją kosztować następne sześćdziesiąt, żeby tego dokonać — stwierdził pan Burnaby z triumfem.

— Do licha! — odrzekł chudzielec. — Skąd ona ma tyle forsy?

— Podobno z Ameryki. Matka jej była jedynaczką w rodzinie jakichś milionerów. Historia jak z filmu, co?

Dziewczyna wyszła z poczty i wsiadła do auta. Chudzielec nie spuszczał z niej wzroku, dopóki nie

odjechała.

— Moim zdaniem, to nie w porządku — mruczał. Pieniądze i uroda — tego za wiele! Bogata dziewczyna nie ma prawa być taka ładna. Bo to fakt, że jest ładna! Niczego jej nie brakuje. Coś tu jest nie w porządku.

Notatka z kroniki towarzyskiej gazety „Codzienna Błaga”:

*Wśród gości spożywających kolację w lokalu Chez Ma Tanie widziano piękną Linnet Ridgeway. Była w towarzystwie panny Joanny Southwood, Lorda Windleshama oraz pana Toby’go Bryce’a. Panna Ridgeway, jak powszechnie wiadomo, jest córką Melhuisha Ridgeway, który poślubił Annę Hartz. Po swym pradziadku, Leopoldzie Hartzu, dziedziczy niebywałą fortunę. Urocza Linnet jest sensacją dnia. Plotki głoszą, iż wkrótce mają się odbyć jej zaręczyny. Lord Windlesham był najwyraźniej oczarowany.*

— Sądzę, moja droga, że to będzie coś niezwykle cudownego — rzekła Joanna Southwood, siedząc z Linnet w jej sypialni w Wode Hall, wiejskiej posiadłości panny Ridgeway.

Z okna roztaczał się widok na ogrody i otwartą przestrzeń zakończoną błękitną smugą lasów.

— Kiedy to już jest cudowne — odrzekła Linnet. Oparła dłonie o parapet okienny. Twarz miała energiczną, żywą i pełną zapału.

Dwudziestosiedmioletnia, wysoka i szczupła Joanna Southwood, o pociągłej, mądrej twarzy, z misternie wyskubanymi brwiami, wyglądała przy Linnet dość blado.

— Mnóstwo zrobiłaś do tej pory. Miałaś chyba do pomocy wielu architektów?

— Trzech.

— Jacy w ogóle są architekci? Nie znam żadnego.

— Całkiem na poziomie. Czasem wydawali mi się niezbyt praktyczni.

— Zaraz ich pewnie przywołałaś do porządku. Jesteś przecież uosobieniem praktyczności.

Joanna wzięła z toaletki sznur pereł. — Na pewno są prawdziwe?

— Oczywiście!

— Oczywiście dla ciebie, droga Linnet. Dla innych co najwyżej lepsza lub gorsza imitacja. Są fantastyczne, moja droga, a jak znakomicie dobrane! Warte pewnie fortunę?

— Nie wydają ci się trochę wulgarne?

— Ale skądże! Są skończenie piękne! Jaka jest ich wartość?

— Około pięćdziesięciu tysięcy.

— Masa pieniędzy! Nie boisz się, że ktoś je ukradnie?

— Nie. Nosze je stale. Poza tym są ubezpieczone.

— Dasz mi ponosić trochę przed kolacją? Cóż to będą za emocje!

Linnet się roześmiała.

— Jeśli masz ochotę...

— Wiesz, Linnet, naprawdę ci zazdroszczę. Masz prawie wszystko. Jesteś niezależna, fantastycznie bogata, śliczna, masz dwadzieścia lat, doskonale zdrowie. A nawet rozum. Kiedy będziesz pełnoletnia?

— W przyszłym roku, w czerwcu. Wydam z tej okazji huczne przyjęcie w Londynie.

— A potem zamierzasz wyjść za mąż za Charlesa Windleshama? Wszyscy ci okropni, wścibscy reporterzy aż płoną z ciekawości. On jest naprawdę bardzo tobą zajęty.

Linnet wzruszyła ramionami.

— Sama nie wiem. Właściwie nie mam jeszcze zamiaru wychodzić za mąż.

— Słusznie, moja droga. Po ślubie nic już jest nie tak, jak było.

Zadzwonił donośnie telefon. Linnet podeszła do aparatu.

— Słucham.

— Dzwoni panna de Bellefort — oznajmił przez telefon kamerdyner. — Czy mam łączyć?

— Bellefort? Ależ oczywiście! Proszę łączyć. Brzęk w słuchawce, a potem głos, delikatny, żarliwy, niemal zdyszany. — Czy to panna Ridgeway? Linnet?

— Kochana Jackie! Tak długo się nie odzywałaś!

— To prawda. Aż mi wstyd! Bardzo się chcę z tobą zobaczyć, Linnet.

— Może byś tu przyjechała? Obejrzysz moją nową zabawkę. Bardzo bym chciała ci ją pokazać.

— Właśnie zamierzam to zrobić.

— Wsiadaj więc zaraz w pociąg lub samochód.

— Oczywiście, w mój sportowy gruchot, kupiony za piętnaście funtów. Przeważnie jeździ bez zarzutu, ale miewa humory. Jeśli nie zjawię się na podwieczorek, to znak, że mój wóz dziś właśnie jest w złym humorze. Do zobaczenia, moja droga!

Linnet odłożyła słuchawkę i podeszła do Joanny.

— Telefonowała moja przyjaciółka z dawnych lat, Jacqueline de Bellefort. Byłyśmy razem na pensji we Francji. Jackie prześladował okrutny pech. Ojcem jej był francuski hrabia, matka zaś pochodziła z Południowej Ameryki. Ojciec odszedł do innej kobiety, a matka straciła cały majątek podczas krachu na nowojorskiej giełdzie. Jackie została bez grosza. Nie mam pojęcia, jak radziła sobie przez ostatnie lata.

Joanna zajęta była polerowaniem wymanikiurowanych paznokci pożyczonymi od Linnet

przyborami. Przechyliła głowę, by należycie ocenić swe dzieło.

— Kochanie, to może być dość kłopotliwe — wycedziła. — Ilekroć moich przyjaciół zaczyna prześladować pech, natychmiast z nimi zrywam. Może to okrutne, ale oszczędza masę kłopotów na przyszłość. Tacy zawsze chcą pożyczać pieniądze albo biorą się do projektowania mody i trzeba pod przymusem kupować od nich koszarne kreacje. Albo malują ręcznie klosze do lamp lub jedwabne szaliki.

— Jeśli stracę cały majątek, czy też natychmiast ze mną zerwiesz?

— Oczywiście, moja droga. Nie możesz mi zarzucić braku szczerości. Cenię tylko ludzi, którym się powodzi. Przekonasz się, że wszyscy postępują tak samo, ale niewielu ma odwagę przyznać się do tego otwarcie. Mówią tylko, że im trudno wytrzymać z Mary, Emilią czy Pamelą, bo taka się biedactwo zrobiła cierpka od trosk i dziwaczna.

— Jesteś nieludzko okrutna, Joanno!

— Idę przez życie przebojem, jak inni.

— A ja nie!

— To oczywiste! Nie musisz żyć z wyrachowaniem, skoro dystyngowany, w średnim wieku amerykański adwokat co kwartał wypłaca ci olbrzymią rentę.

— Poza tym mylisz się co do Jacqueline — odrzekła Linnet. — Wyłudzenie pieniędzy nie leży w jej charakterze. Od dawna proponuję jej pomoc, ale się nie zgadza. Jest diabelnie dumna.

— Dlaczego tak jej spieszo zobaczyć się z tobą? Założę się, że czegoś potrzebuje. Zaczekaj, a przekonasz się.

— Była wyraźnie czymś podekscytowana — przyznała Linnet. — Jackie jest okropnie porywcza. Kiedyś nawet dźgnęła kogoś scyzorykiem.

— Ależ to pasjonujące, moja droga!

— Jakiegoś chłopca, który drażnił psa. Prosiła, żeby przestał, ale on nie posłuchał. Dopadła go i zaczęła szarpać, ale był silniejszy od niej, więc w końcu sięgnęła po scyzoryk i dźgnęła nim chłopca. Wynikła z tego okropna awantura.

— Wyobrażam sobie. To brzmi bardzo niepokojąco. Do pokoju weszła pokojówka Linnet. Mrucząc słowa przeproszenia, wyjęła z szafy suknię i wyszła z pokoju.

— Coś się Marii przydarzyło? — spytała Joanna. — Jest zapłakana.

— Biedaczka. Jak ci już wspominałam, chciała wyjść za męża. Mężczyzna ten pracuje w Egipcie. Niewiele o nim wiedziała. Pomyślałam, że lepiej upewnić się, kto to taki. Okazało się, że jest żonaty i ma troje dzieci.



— Iluż ty musisz przysparzać sobie wrogów, Linnet!

— Wrogów? — spytała zdumiona Linnet. Joanna potaknęła głową i sięgnęła po papierosa.

— Tak, kochanie. Wrogów. Twoja sprawność ma niszczycielską moc. Poza tym niebywale skutecznie działasz w słusznych sprawach.

Linnet zaśmiała się.

— Ależ skąd! Nie mam absolutnie żadnych wrogów.

Lord Windlesham siedząc pod cedrem przyglądał się pełnym uroku zarysom Wode Hall. Nic nie szpeciło urody wiekowej budowli, gdyż nowe budynki i dobudówki za węglem były stąd niewidoczne. Piękny i pełen spokoju pejzaż tonął w jesiennym słońcu. W miarę jak Charles Windlesham patrzył na Wode Hall, jawił mu się przed oczyma całkiem inny widok. Ujrzał przed sobą okazalszą, w elżbietańskim stylu siedzibę magnacką na tle rozległego, znacznie posepniejszego parku. Było to rodzinne gniazdo Windleshamów — Charltonbury, a na jego tle widniała postać dziewczyny o złotych włosach, ufnej i żywej twarzy... Linnet — pani na Charltonbury!

Odezuł przyływ nadziei. Odmowa ze strony Linnet nie była całkiem kategoryczna, brzmiała raczej jak prośba o zwłokę. Może więc z powodzeniem trochę z tym zaczekać...

Jakże się wszystko nadzwyczaj dobrze układało! Mógł się ożenić bogato, co było ze wszech miar słuszne, a przy tym nie musiał wcale tłumić głosu serca. Kochał Linnet. Choćby nawet nie miała grosza, chętniej ją by poślubił, niż którąkolwiek z posażnych angielskich panien. Na szczęście, była również najbogatszą panną w Anglii.

Bawił się snuciem pasjonujących planów na przyszłość: wejść w posiadanie Roxdale, być może odnowić zachodnie skrzydło budynku i żadnych już więcej imprez dochodowych jak polowania.

Charles Windlesham marzył w ciepłe słońca.

Była czwarta po południu, kiedy rozklekotany sportowy samochód zatrzymał się ze zgrzytem na zwirowanej ścieżce. Wsiadła z niego drobna, szczupła dziewczyna z chmurą czarnych włosów. Wbiegła po stopniach i pociągnęła za sznur dzwonka.

W parę minut później wprowadzono ją do podłużnego, okazałego salonu, a uroczysty kamerdyner zaanonsował odpowiednio pogrzebowym tonem: — Panna de Bellefort!

— Linnet!

— Jackie!

Windlesham stał nieco z boku spoglądając życzliwie na małą, rozpromienioną istotę, która z otwartymi ramionami rzuciła się ku Linnet.

— Lord Windlesham. Panna de Bellefort, moja najlepsza przyjaciółka.

„Co za śliczne dziecko — pomyślał. — Może nie tyle ładna, co zdecydowanie pociągająca z tymi ciemnymi, kręconymi włosami i wielkimi oczyma”.

Wymruczał parę uprzejmych i błahych słów i pożegnał obie przyjaciółki.

Jacqueline z miejsca zagadnęła, w typowy dla niej sposób, tak dobrze znany Linnet. — Windlesham? To za niego, podobno, wychodzisz za mąż? Pisano o tym w gazetach. Czy to prawda, Linnet? Powiedz!

— Być może — mruknęła Linnet.

— Jakże się cieszę, kochanie! Jest taki miły!

— Zaczekaj z wypowiedaniem opinii, bo jeszcze nie podjęłam decyzji.

— Naturalnie! Przecież królowa zawsze z wielką powagą traktuje wybór małżonka...

— Nie bądź śmieszna, Jackie!

— Przecież jesteś jak królowa, Linnet. Zawsze byłaś. *Sa Majesté, la reine Linette. Linette la blonde!*\* A ja jestem powiernicą królowej. Zaufaną damą dworu.

— Straszne głupstwa pleciesz, moja droga! Gdzieś się podziewała tyle czasu? Po prostu zniknęłaś! Nigdy nawet nie napiszesz.

— Nienawidzę pisania listów! Gdzie się podziewałam? Byłam pogrążona po uszy. W pracy! Wstrętnej pracy z wstrętnymi kobietami.

— Kochana moja! Gdybyś się tylko zgodziła...

— Skorzystać ze szczodroblewości królowej? Cóż, mówiąc szczerze, właśnie po to przyjechałam. Ale nie po pożyczkę. Jeszcze tak źle nie jest. Przyjechałam prosić o wielką, ważną dla mnie przysługę.

— Jaką? Powiedz.

— Skoro masz zamiar poślubić tego Windleshama, być może lepiej mnie nawet zrozumiesz.

Przez moment Linnet była wyraźnie zaskoczona, ale niebawem pojawił się na jej twarzy wyraz zrozumienia.

— Czy to znaczy, Jackie, że...

— Oczywiście, moja droga! Zaręczyłam się!

— Więc o to chodzi? Wydawało mi się, że jesteś dziś szczególnie ożywiona. Bardziej niż zwykle, choć i tak bywasz zawsze nadto żywa.

— Bo właśnie tak się czuję.

— Opowiedz mi o nim.

— Nazywa się Simon Doyle. Jest wysoki, barczysty, niewiarygodnie naiwny i chłopięcy, a przy tym nadzwyczaj miły. Z ziemiańskiej rodziny, jak wy to określicie, lecz bardzo zubożałej. Młodszy syn, po prostu. Rodzice jego pochodzą z Devon. Kocha wieś i wszystko, co wiejskie. Ostatnie pięć lat spędził w centrum Londynu, w dusznym biurze. Przeprowadzają tam redukcję urzędników, więc go zwolniono. Linnet, umrę, jeśli nie będę mogła wyjść za niego! Umrę, na pewno umrę!

— Nie bądź śmieszna, Jackie!

— Umrę! Zapewniam cię. Szaleję za nim, a on za mną. Nie możemy żyć bez siebie.

— Chyba za silnie to przeżywasz, moja droga.

— Wiem. Czy to nie straszne? Ale nie ma rady, kiedy miłość ogarnia człowieka.

Milczała przez chwilę. Jej szeroko otwarte, ciemne oczy nabrały tragicznego wyrazu. Przeszedł ją lekki dreszcz.

— Sama niekiedy lękam się z tego powodu. Jesteśmy z Simonem jakby dla siebie stworzeni. Nigdy nie będzie mi na nikim tak zależało. Naprawdę, musisz nam pomóc, Linnet. Słyszałam, że kupiłaś tę posiadłość, i przyszedł mi do głowy pomysł. Będiesz, jak sędzę, musiała zatrudnić administratora majątku. Chciałabym, byś dała tę pracę Simonowi...

Linnet była tym zaskoczona.

— Ma to wszystko w małym palcu — mówiła dalej Jacqueline. — Potrafi zarządzać majątkiem, przecież wychował się w majątku. Ma za sobą także praktykę handlową. Dasz mu tę posadę, Linnet? Prawda? Z miłości dla mnie. Jeśli nie będzie się nadawał, to go zwolnisz. Ale na pewno da sobie radę. Możemy zamieszkać w jakimś małym domku, będę cię często widywać i wszystko w ogrodzie będzie cudowne...

Wstała.

— Powiedz, że się zgadzasz, Linnet. Powiedz, że tak. Piękna Linnet! Smukła, złota Linnet! Moja jedyna! Powiedz, że się zgadzasz.

— Jackie!

— Więc zgadzasz się? Linnet wybuchnęła śmiechem.

— Jesteś zabawna! Przywieź tego młodzieńca, niech mu się przyjrzę. Wtedy omówimy sprawę.

Jackie rzuciła się ku Linnet, całując ją serdecznie.

— Najukochańsza! Jesteś prawdziwą przyjaciółką! Zawsze byłam tego pewna. Na tobie można polegać. Jesteś najbardziej kochanym stworzeniem na świecie. Do widzenia!

— Ależ, Jackie! Przecież zostajesz...

— Nie, skądże! Wracam do Londynu i przyjadę tu jutro z Simonem, żeby załatwić sprawę. Będiesz go uwielbiać. Jest taki kochany! — Nie mogłabyś zostać i napić się chociaż herbaty?

— Nie mogę czekać, Linnet. Jestem taka podniecona. Musze wracać i opowiedzieć wszystko Simonowi. Istna wariatka ze mnie. Ale cóż na to poradzę! Sądzę, że wyleczy mnie dopiero małżeństwo. Podobno w ogóle działa na ludzi trzeźwiąco.

Zatrzymała się przy drzwiach, odwróciła na chwilę i raz jeszcze podbiegła do Linnet, by ją uściskać. — Nie ma takiej drugiej na świecie jak ty, Linnet!

Pan Gaston Blondin, właściciel modnej restauracyjki Chez Ma Tante, nie miał zwyczaju chylić zbytnio czoła przed swą klientelą. Bogaci, znani z urody, sławni czy też wysoko urodzeni klienci na próżno czekali na serdeczny, gest powitania z jego strony lub oznaki szczególnej uwagi. Jedynie w bardzo rzadkich wypadkach pan Blondin witał gościa łaskawie, prowadził do uprzywilejowanego stolika i wymieniał w rozmowie odpowiednie i trafne uwagi.

Owego niezwykłego wieczoru pan Blondin aż trzykrotnie okazał królewski gest: raz wobec księżnej, następnie względem słynnego arystokraty — maniaka wyścigów konnych, a na koniec wobec niepozornego człowieka o komicznym wyglądzie i długich czarnych wąsach, który zdaniem postronnego obserwatora nie mógłby w żadnym wypadku swą obecnością przysporzyć chwały Chez Ma Tante.

Jednakże pan Blondin najwyraźniej okazywał mu niebywałą uprzejmość. Chociaż od pół godziny powtarzano już gościom, że nie ma wolnych stolików, to jednak znaleziono jeden i to ustawiony w najlepszym miejscu. Pan Blondin, nad wyraz ugrzeczniony, powiódł doń swego gościa.

— Ależ naturalnie! Dla pana Poirot zawsze znajdzie się stolik! Byłoby mi miło gościć tu pana częściej.

Herkules Poirot uśmiechnął się na wspomnienie pewnego wydarzenia z przeszłości, w którym udział brały: zwłoki człowieka, pewien kelner, bardzo urocza dama i pan Blondin.

— Jest pan nader uprzejmy, panie Blondin.

— Jest pan sam, panie Poirot?

— Oczywiście, że tak.

— Zatem Jules przygotowuje panu skromny posiłek, który będzie na pewno prawdziwym poematem. Kobiety, chociaż czarujące, mają tę wadę, że odwracają uwagę od jedzenia. Obiad będzie panu na pewno smakował, panie Poirot. Obiecuję. A teraz, co do wina...

Była to istna narada znawców, przy której asystował Jules, *maitre d'hôtel*\*.

Już na odehodnym, pan Blondin zatrzymał się na chwilę i zniżył konfidencjonalnie głos.

— Znów jakaś ponura sprawa na rozkładzie? Poirot pokręcił przecząco głową. — Jestem, niestety, na urlopie — odrzekł smutno. Udało mi się zaoszczędzić trochę czasu i teraz mogę oddawać się lenistwu.

— Jakże zazdroszczę!

— Niemądrze z pana strony. To wcale nie jest takie zabawne, jakby się z pozoru wydawało — westchnął. — Ileż prawdy tkwi w powiedzeniu, iż człowiek musiał wymyślić pracę, by uniknąć przymusu myślenia.

Pan Blondin rozłożył ręce. — Tyle rzeczy można przecież robić! Podróżować na przykład.

— Istotnie. Jak dotąd podróżowałem sporo. Chyba tej zimy wybiorę się do Egiptu. Klimat jest tam wspaniały! Świetna okazja, by uciec od mgły, szarżyny i ciągłego deszczu.

— Ach, Egipt! — westchnął pan Blondin.

— Zdaje się, że teraz można tam dojechać pociągiem, unikając podróży statkiem, z wyjątkiem przeprawy przez Kanał.

— Wnoszę z tego, że nie bardzo lubi pan morskie podróże?

Herkules Poirot przecząco pokręcił głową i lekko się wzdrygnął.

— Ja też nie — rzekł pan Blondin ze współczuciem. — Aż dziw bierze, jak to wpływa na żołądek.

— Tylko na pewne żołądki. Są ludzie, na których kołysanie nie robi żadnego wrażenia. Właściwie sprawia im nawet przyjemność.

— niesprawiedliwość ze strony Pana Boga — odrzekł pan Blondin, pokiwał ze smutkiem głową i odszedł rozważając w duchu tę myśl niepobożną.

Bezszelestnie poruszający się kelnerzy o sprawnych dłoniach podawali do stolików specjalne grzanki, masło, kubelki z lodem — wszelkie akcesoria wytwornego posiłku.

Murzyńska orkiestra buchnęła kaskadą dziwnych, dysharmonijnych dźwięków. Londyn tańczył.

Herkules Poirot rozglądał się dokoła i notował spostrzeżenia w swej usystematyzowanej i pedantycznej pamięci.

Jakże znudzone i wymęczone były niektóre twarze! Tam jacyś panowie bawili się nawet dobrze, ale za to na twarzach ich partnerek malowało się wyraźnie uczucie cierpliwej udręki.

Tu gruba niewiasta ubrana na fioletowo promieniała z uciechy. Niewątpliwie tusza ma swoje dobre strony: daje w zamian radosną witalność, której nie posiadają osoby o modniejszych kształtach. Siedzący tu i ówdzie młodzieńcy sprawiali wrażenie osamotnionych lub znudzonych, a niektórzy wręcz nieszczęśliwych. Jakimż absurdem jest nazywać młodość okresem szczęścia, porą największej wrażliwości!

Spojrzenie pana Poirot złagodniało na widok jednej z par. Niezwykle dobranej: wysokiego, barczystego mężczyzny i szczupłej delikatnej dziewczyny. Dwa te ciała poruszały się w idealnym rytmie szczęścia, szczęścia, że są razem, w danej chwili i miejscu.

Nagle taniec przerwano. Zaczęto klaskać i znów zabrzmiała muzyka. Po następnym tańcu dwoje młodych powróciło do swego stolika, nie opodal pana Poirot. Dziewczyna była zaróżowiona i promienna. Kiedy usiedli, mógł obserwować jej uśmiechniętą twarz wpatrzoną w młodzieńca. W oczach dziewczyny było jednak coś więcej poza rozbawieniem.

Herkules Poirot pokręcił głową z powątpiewaniem.

— Zbyt tej małej zależy na chłopcu — wymruczał do siebie. — To ryzykowne.

Wtedy to do jego uszu doleciało słowo „Egipt”. Głosy ich docierały do niego wyraźnie: dziewczyny — młodzieńczy, świeży, butny z lekkim nalotem miękko brzmiącego cudzoziemskiego r, młodzieńca zaś miły, niski i dystyngowany.

— Nigdy nie wołam hop, póki nie przeskoczę, Simon. Mówię ci, że nas Linnet nie zawiedzie.

— Ale może ja zawiodę jej oczekiwania?

— Nonsens! To jest posada w sam raz dla ciebie.

— W gruncie rzeczy i ja tak sędzę. Właściwie nie mam wątpliwości co do mych kwalifikacji. Poza tym będę się starał, jak tylko można. Dla twego dobra. Dziewczyna roześmiała się łagodnie, śmiechem czystego szczęścia.

— Zaczekamy trzy miesiące, żeby mieć pewność, że utrzymasz się na posadzie, a potem...

— Do nóg ci rzucę skarby świata i niech się co chce dzieje!

— Jak już powiedziałam, w podróż poślubną wyjedziemy do Egiptu. Pal licha koszty! Całe życie marzyłam o tej podróży. Nil, piramidy, piasek...

— Obejrzymy to razem — powiedział młodzieniec trochę niewyraźnie. — We dwoje, Jackie! Czy to nie cudowne?

— Zastanawiam się tylko, czy będzie to dla ciebie równie przyjemne? Czy pragniesz tego tak samo jak ja? — W głosie jej zabrzmiał ostry ton, a oczy rozszerzyły się z lęku.

— Przestań mówić głupstwa, Jackie! — odpowiedział szybko i stanowczo młodzieniec.

— Zastanawiam się jednak — powtórzyła dziewczyna, po czym wzruszyła ramionami i rzekła: — Zatańczmy!

— Jedno kocha, a drugie pozwala się kochać, jak mówią Francuzi — zamruczał do siebie Poirot. — Ja się też zastanawiam...



— A jeśli okaże się, że ma trudny charakter? — odezwała się Joanna Southwood.

Linnet pokręciła głową. — Nie sędzę. Polegam w całej pełni na guście Jacqueline.

— Zakochani są przeważnie ślepi — zamruczała Joanna.

Linnet potrząsnęła niecierpliwie głową i zmieniła temat rozmowy.

— Muszę zobaczyć się z panem Pierce w sprawie planów.

— Jakich planów? — spytała Joanna.

— Chodzi o te okropne, niehigieniczne wiejskie domy. Kazałam je burzyć, a mieszkańcom przenieść się gdzie indziej.

— Co za rzeczniczka higieny i społeczniczka z siebie!

— W każdym razie muszą się stąd wynieść. Ich domy szpeciłyby moją nowo wybudowaną pływalnię.

— Czy ci ludzie mają na to ochotę?

— Większość jest temu rada. Paru, najwyraźniej głupców, robi istotnie trudności. Czy nie mogą zrozumieć, jak bardzo poprawią sobie warunki życia?

— Spodziewam się, że jesteś wobec nich hojna?

— Naprawdę chodzi mi o ich dobro, droga Joanno!

— Oczywiście, kochanie. Jestem tego pewna. Przymusowa łaska!

Linnet skrzywiła się. Joanna wybuchnęła śmiechem.

— No, nie gniewaj się! Wiesz przecież sama, jaki z siebie tyran! Lub jak wolisz: tyran szczodrośliwy.

— Ależ nic podobnego!

— Lubisz jednak postawić na swoim.

— Nie zawsze.

— Spójrz mi w oczy, Linnet, i powiedz, czy chociaż raz zgodziłaś się, by coś było wbrew twej

woli?

— Wiele razy.

— Właśnie: wiele razy. Zamiast jednego konkretnego przykładu. Po prostu nie przypominasz sobie takiej okoliczności, choć bardzo wytężasz pamięć, moja miła. Triumfalna podróż przez życie Linnet Ridgeway w samochodzie ze złota. — Uważasz, że jestem samolubna? — spytała ostro Linnet.

— Nie. Tobie po prostu nie sposób się oprzeć. Łączysz majątność i wdzięk w jednej osobie. Wszystko chyli przed tobą czoła. Czego nie możesz zdobyć za pieniądze, kupujesz uśmiechem. A skutek tego taki, że jesteś Dziewczyną, Która Ma Wszystko — Linnet Ridgeway!

— Nie bądź śmieszna, Joanno!

— A co! Czy nie posiadasz wszystkiego?

— Oczywiście, że tak. Ale to wstrętne brzmi.

— Bo to naprawdę jest wstrętne, moja droga. Pewnego dnia poczujesz się strasznie znudzona i zblazowana. Ale póki czas, raduj się swym triumfalnym pochodem w złotym aucie! Ciekawi mnie jednak, co się stanie, kiedy dotrzesz do drogi, przed którą będzie napis: Przejazd zamknięty.

— To są idiotyczne brednie, Joanno.

— Strasznie mi Joanna nauręgała przed chwilą — powiedziała Linnet do lorda Windleshama, który właśnie do nich podszedł.

— Nie bez powodu, moja droga, nie bez powodu — odpowiedziała mgliście Joanna podnosząc się z fotela. Odeszła bez słowa usprawiedliwienia. Dostrzegła bowiem pewien błysk w oczach Windleshama.

Przybyły milczał chwilę, po czym od razu przystąpił do sedna sprawy.

— Zdecydowałaś się już, Linnet?

— Nie jestem potworem. Skoro nadal się waham, powinnam chyba dać ci negatywną odpowiedź.

— Nie sędzę. Potrzebny ci jest czas do namysłu. Chyba także wierzysz, że będziemy szczęśliwi.

— Zrozum mnie, proszę — powiedziała Linnet przepaszającym, niemal dziecinnym głosem. — Tu mnie wszystko tak cieszy! Zwłaszcza to — zatoczyła wokoło ręką. — Pragnę zrobić z Wode Hall idealną wiejską posiadłość. Czuję, że mi się to powiedzie.

— Pięknie! Znakomicie zaprojektowane. Masz wielki talent, Linnet.

— Charltonbury chyba także ci się podoba? — spytał Windlesham po chwili milczenia. — Wymaga oczywiście renowacji. Ale z twoim talentem w tej dziedzinie... Sprawi ci to na pewno dużą

przyjemność.

— Nie wątpię. Charltonbury jest zachwycające! Wypowiedziała te słowa z pozornym entuzjazmem, ale w głębi ducha zdała sobie sprawę z przenikającego ją nagle chłodu. Usłyszała w nich jakąś obcą nutę, która zmąciła w niej całą radość życia. Początkowo nie zaprzętała sobie tym głowy, dopiero kiedy Windlesham poszedł do domu, zaczęła zastanawiać się nad całą tą sprawą dogłębnie.

Charltonbury! Tak, to właśnie wzmianka o Charltonbury pobudziła jej niechęć. Ale dlaczego? Była to nawet sławna posiadłość, przodkowie Windleshama władali nią od czasów królowej Elżbiety. Rola pani na Charltonbury zapewniała niezachwianą pozycję towarzyską. A sam Windlesham był jednym z najbardziej pożądanych kandydatów na męża wśród parów Anglii. Przecież nie może on traktować poważnie Wode Hall, które nawet się nie umywa do Charltonbury.

Ale Wode Hall jest jej. Sama je wynalazła, kupiła, przebudowała nie oszczędzając kosztów. Było jej własnością, jej królestwem. W jakiś sposób jednak straci na ważności, jeśli ona poślubi Windleshama. Po co im wtedy dwie posiadłości? Trzeba będzie zrezygnować z Wode Hall. Ona sama też przestanie istnieć jako Linnet Ridgeway. Zostanie księżną Windlesham wnosząc wspaniałą posag do małżeństwa z panem na Charltonbury. Zostanie wtedy zaledwie księżną-mażonką, ale nigdy więcej królową.

— Jestem śmieszna — powiedziała do siebie Linnet. Dziwne, jak nienawistną była dla niej myśl o wyrzeczeniu się Wode Hall...

Czy jednak nie kryło się za tym coś jeszcze, co ją dotknęło głęboko — dziwnie łamiący się głos Jackie, kiedy mówiła: — „Umrę, jeśli go nie poślubię. Umrę...”

Ileż było w tym ufności i żaru. Czyż ona, Linnet, odezuwa to samo wobec Windleshama? Z pewnością nie. Nic potrafiłaby nigdy darzyć nikogo podobnym uczuciem! Jakież to musi być cudowne doznanie!

Przez otwarte okno doszedł ją warkot samochodu. Wzdrygnęła się niecierpliwie. To pewnie Jackie i ten młodzieniec. Wyjdzie, żeby ich przywitać.

Stała już w otwartych drzwiach, kiedy Jacqueline i Simon Doyle wysiadali z samochodu. Jackie podbiegła do niej.

— Linnet, to jest Simon. Poznajcie się. Linnet jest najcudowniejszą osobą na świecie — rzekła zwracając się do Simona.

Panna Ridgeway dojrzała wysokiego, barczystego młodzieńca o ciemnoniebieskich oczach, kędzierzawej czuprynie, kwadratowym podbródku i chłopięcym ujmującym uśmiechu.

Wyciągnęła ku niemu rękę. Uścisk jego dłoni był mocny i ciepły. Podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył: naiwny, pełen szczerzego zachwyty.

Skoro Jackie powiedziała, że Linnet jest cudowna, więc i on ją za taką uważa...

Ciepłe, słodkie uczucie upojenia przeniknęło ją na wskroś.

— Miło mi cię poznać — powiedziała. — Pozwól, Simon, że cię powitam jako mego nowego administratora.

„Czuje się bardzo szczęśliwa — pomyślała wskazując im drogę. — Podoba mi się ukochany Jacqueline. Ogromnie mi się podoba. Ona ma szczęście!” — stwierdziła z nagłym ukłuciem w sercu.

Tim Allerton rozparł się w trzcinowym fotelu i ziewając spoglądał na morze. Rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie na matkę.

Pani Allerton była przystojną, siwą, pięćdziesięcioletnią damą. Ilekroć spoglądała na syna, jej usta przybierały wyraz udawanej surowości, gdyż chciała w ten sposób ukryć głęboką do niego miłość. Nawet całkiem nieznanymi ludziami rzadko dawali się zwieść tym sztuczkom, Tim zaś przejrzał całą rzecz doskonale.

— Naprawdę lubisz Majorkę, mamo?

— No cóż. Jest tam tanio — odrzekła pani Allerton.

— I zimno — dorzucił Tim wstrząsając się lekko. Był wysokim, szczupłym młodzieńcem o ciemnych oczach i dość wąskich ramionach. Miał śliczne usta, melancholijne spojrzenie, mało energiczny podbródek i wąskie, delikatne dłonie.

Zagrożony gruźlicą przed paroma laty, nigdy nie osiągnął prawdziwej tężyzny fizycznej. Jakoby zajmował się „pisaniami”, ale w gronie przyjaciół wiedziano dobrze, z jaką niechęcią Tim przyjmował wszelkie pytania dotyczące jego literackiej twórczości.

— A co ty sądzisz, Tim? — zaniepokoiła się pani Allerton. W jej promiennych ciemnobrązowych oczach kryła się podejrzliwość. Tim uśmiechnął się kwaśno.

— Myślałem o Egipcie.

— Egipcie? — spytała pani Allerton z niedowierzaniem.

— Prawdziwe ciepło, kochana mamó. Nieruchome piaski. Nil. Bardzo bym chciał tam pojechać. A ty?

— Ja też — powiedziała sucho. — Ale to masę kosztuje. Nie dla tych, co muszą liczyć się z groszem.

Tim wybuchnął śmiechem. Wstał. Przeciągnął się. Nagle ożywił się i nabrał werwy. Nawet jego głos brzmiał raźniej.

— Wydatki biorę na siebie. Tak, droga mamó. Drobna spekulacja na giełdzie. I to z niezłym skutkiem. Miałem dziś rano wiadomość.

— Dziś rano? — spytała szorstko pani Allerton. — Dostałeś tylko jeden list i to od... — zamilkła i ugryzła się w wargę.

Tim jakby się wahał przez moment. Nie mógł w pierwszej chwili zdecydować się, czy go to złości, czy bawi, ale rozbawienie wzięło górę.

— Tak, od Joanny — dokończył chłodno. — Masz słuszość, mamó. Byłabyś królową detektywów. Słynny Herkules Poirot musiałby dobrze pilnować swych laurów, gdyby miał ciebie za przeciwnika.

Pani Allerton była wyraźnie obrażona.

— Ja tylko rzuciłam okiem na charakter pisma.

— I zaraz domyśliłaś się, że to nie od maklera. I nie myliłaś się. Prawdę mówiąc wiadomość od niego przyszła wczoraj. Pismo Joanny istotnie rzuca się w oczy. bo rozłazi się po kopercie jak pijany pająk.

— O czym pisze Joanna? Coś ciekawego?

Pani Allerton usiłowała nadać głosowi zwykłe, obojętne brzmienie. Przyjaźń syna z daleką kuzynką, Joanną Southwood, zawsze ją bardzo irytowała. Ale nie dlatego, że uroiła sobie, że coś się za tym kryje. Nie wierzyła w to. Tim nigdy nie był uczuciowo zainteresowany Joanną ani ona nim. Łączyło ich, jak się zdaje, obopólne zamiłowanie do plotek i liczne grono wspólnych przyjaciół i znajomych. Oboje Ignęli do ludzi i lubili o nich rozmawiać. Joanna była dowcipna i miała cięty język.

Nie miała powodów do obaw, że Tim może zakochać się w Joannie, a jednak sztywniała na widok dziewczyny lub listu od niej.

Było to trudne do określenia uczucie bezwiednej jakby zazdrości o to, że Tim zawsze z taką niekłamana przyjemnością przebywa w towarzystwie Joanny.

Pani Allerton była tak idealnie zżyta z synem, iż widok Tima zainteresowanego i pochłoniętego inną kobietą trochę ją niepokoił. Wydawało jej się w takich sytuacjach, że swą obecnością stwarza barierę między dwojgiem przedstawicieli młodszego pokolenia.

Czasem natykała się na nich całkowicie pogrążonych w rozmowie, którą przerywali na jej widok, i odnosiła wtedy wrażenie, iż przyjmują ją do swego towarzystwa najwyraźniej przez grzeczność, jakby z poczucia obowiązku.

Pani Allerton zdecydowanie nie lubiła Joanny Southwood. Uważała ją za nieszczerą, sztuczną, a przede wszystkim powierzchowną. Z trudem powstrzymywała się, by nie powiedzieć czegoś podniesionym głosem.

W odpowiedzi na jej pytanie Tim wyciągnął z kieszeni list i szybko przebiegł go oczyma. Pani Allerton zauważyła, że list był dość długi.

— Nic specjalnego — rzekł Tim. — Państwo Devilish rozwodzą się. Stary Monty miał sprawę w sądzie za prowadzenie samochodu po pijanemu. Windlesham wyjechał do Kanady. Zdaje się, że bardzo przeżył kosza, jakiego dała mu Linnet. Zdecydowała się wyjść za mąż za swego administratora. — Nie do wiary. Bardzo jest okropny?

— Ależ skąd! To jeden z Doyle'ów z hrabstwa Devonshire. Oczywiście bez grosza i zaręczony właśnie z najlepszą przyjaciółką panny Ridgeway. Bardzo niesmaczna sprawa.

— Też uważam, że to nie jest ładne — odrzekła pani Allerton z wypiekami na twarzy.

Tim rzucił w jej stronę szybkie, czułe spojrzenie.

— Wiem, droga mamó. Ty nie pochwalasz przywłaszczania sobie cudzych mężów i temu podobnych rzeczy.

— Moje pokolenie miało swoje zasady — powiedziała pani Allerton. — I to było dobre. Obecnie młodzi najwyraźniej uważają, że mogą robić, co im się żywnie podoba.

Tim uśmiechnął się.

— Nie tylko uważają, ale tak postępują. Na przykład Linnet Ridgeway.

— To mnie oburza! Tim mrugnął do matki.

— Nie przejmuj się tym, moja konserwatystko. Chyba nawet podzielałam twe zdanie. Jak dotąd nie przywłaszczyłam sobie ani cudzej żony, ani narzeczonej.

— Nigdy byś czegoś podobnego nie zrobił — rzekła pani Allerton i dodała z otuchą w głosie: — Bo wychowałam cię należycie.

— Zatem całe uznanie dla ciebie. Uśmiechnął się złośliwie, kiedy składał list.

„Daje mi większość listów do czytania — przemknęło przez głowę pani Allerton — ale z tych od Joanny czyta mi tylko fragmenty”. Natychmiast jednak odpędziła od siebie tę niktzemną myśl i postanowiła zachowywać się jak na damę przystało.

— Dobrze się wiecie Joannie?

— Znośnie. Zamierza otworzyć sklep z delikatesami w zamożnej dzielnicy.

— Ciągłe mówi o swym trudnym położeniu — odezwała się pani Allerton z jadem w głosie — a przecież stale gdzieś bywa i stroje muszą ją kosztować masę pieniędzy. Ma zawsze takie śliczne suknie.

— No cóż — odpowiedział Tim. — Chyba za nie nie płaci. Nie mam na myśli nic zdrożnego w tym staroświeckim znaczeniu tego słowa. Sądzę, że ona dosłownie nie płaci za nie rachunków.

Pani Allerton westchnęła.

— Nie wyobrażam sobie doprawdy, jak można robić coś podobnego.

— Wymaga to specjalnego talentu — odrzekł Tim.

— Trzeba mieć dość ekstrawagancki gust, żadnego poczucia wartości pieniądza, a ma się u ludzi nieograniczony kredyt.

— Ale w końcu dochodzi się do bankructwa i rozprawy sądowej, jak w wypadku biednego Sir George'a Wode'a.

— Masz wyraźną słabość do tego starego, zwariowanego koniarza. Pewnie dlatego, że w roku osiemset siedemdziesiątym dziewiątym nazwał cię w tańcu pączkiem.

— Ależ mnie wtedy jeszcze nie było na świecie

— odparła stanowczo pani Allerton. — Sir George ma poza tym czarujące maniery. Nie zniosę, jeśli będziesz go nazywał zwariowanym koniarzem.

— Słyszałem o nim zabawne historie od jego znajomych.

— Oboje z Joanną nie liczycie się wcale z ludźmi w waszych rozmowach. Wszystko przyjmujecie za prawdę, jeśli jest dostatecznie złośliwa.

Tim uniósł brwi.

— Zbyt to sobie bierzesz do serca, droga mamó. Nie wiedziałem, że tak lubisz starego Wode'a. — Nie wyobrażasz sobie, jak mu ciężko było, kiedy musiał sprzedać Wode Hall. Był tak ogromnie przywiązany do tej posiadłości.

Tim mógł z łatwością zbyć matkę gładką uwagą. Ale czyż miał prawo kogoś osądzać? Wobec tego powiedział znacząco: — Myślę, że jesteś bliska prawdy. Odmówił Linnet dość niegrzecznie, kiedy go zaprosiła, by przyjechał obejrzeć, czego dokonała w pałacu.

— Nie ma się co dziwić. Powinna była zastanowić się trochę, nim wysłała zaproszenie.

— Mam wrażenie, że jest bardzo wobec niej zjadliwy. Mruczy coś pod nosem, ilekroć ją widzi. Nie może jej darować, że mu aż tyle zapłaciła za te zmurszałe, rodzinne dobra.

— Tobie wydaje się to niezrozumiałe? — spytała szorstko pani Allerton.

— Prawdę mówiąc, tak. Nie rozumiem, po co żyć przeszłością? Po co tak uparcie trwać przy tym, co minęło?

— A czym proponujesz to zastąpić?

— Jakimiś emocjami! Czymś nowym! Radością, że nie wiadomo, co się jutro zdarzy. Zamiast dziedziczyć bezużyteczny szmat ziemi, wolałbym samodzielnie zarabiać pieniądze, własną głową i konceptem.

— To znaczy za pomocą chytrych machinacji na giełdzie?

— Czemużby nie! — roześmiał się Tim.

— A jeśli przydarzy się strata?

— To już jest nietaktowne, droga mamó. Zupełnie nie na miejscu. Zwłaszcza dzisiaj. Co sądzisz o wyjeździe do Egiptu?

— No cóż...

— Więc już postanowione — wtrącił energicznie Tim uśmiechając się do matki. — Zawsze pragnęliśmy zobaczyć Egipt.

— Kiedy proponujesz wyruszyć?

— W przyszłym miesiącu. Styczeń jest najlepszą porą. Zostaniemy więc tu w hotelu jeszcze parę tygodni, rozkoszując się doborowym towarzystwem.

— Tim! — wykrzyknęła karcąco pani Allerton i dodała potulnie. — Obiecałam, niestety, pani Leech, że pójdziesz z nią na posterunek policji. Ona nie mówi słowa po hiszpańsku.

Tim skrzywił się.



— W sprawie pierścionka? Tego z krwistym rubinem? Czy dalej się upiera, że go ukradziono? Pójdę, jeśli chcesz, ale to tylko strata czasu. Jeszcze wpędzi w kłopoty jakąś nieszczęsną pokojówkę. Wyraźnie przecież widziałem ten pierścionek na ręce pani Leech, kiedy szła się kąpać tamtego dnia. Zsunął się jej z palca i nawet tego nie zauważyła.

— Mówi, że jest pewna, że go zdjęła i położyła na toalecie.

— Tak jej się tylko zdaje. Widziałem przecież na własne oczy. Co za głupia kobieta! Musi być głupia, skoro wchodzi do morza w grudniu udając, że woda jest ciepła, tylko dlatego, że słońce przez chwilę jaśniej zaświeciło. Należałoby zabronić tęgim kobietom kąpieli w morzu. Wyglądają w kostiumach wręcz odrażająco.

— Czy mam wobec tego zrezygnować z kąpania się w morzu? — burknęła pani Allerton.

Tim wybuchnął śmiechem.

— Ty? Mogłabyś pod tym względem zdystansować większość młodych kobiet.

Pani Allerton westchnęła.

— Jaka szkoda, że nie masz tu trochę młodzieży do towarzystwa — powiedziała.

— Nie żałuję tego. Dobrze jest spędzać tak czas we dwoje, bez żadnych zakłóceń z zewnątrz. — Chciałbyś jednak, żeby tu była Joanna?

— Nie — odparł stanowczo Tim. — Mylisz się, mam. Joanna bawi mnie, ale prawdę mówiąc, to za nią nie przepadam. Jej towarzystwo na dłuższą metę działałoby mi na nerwy. Cieszę się, że jej tu nie ma. Nie czułbym żalu, gdybym miał jej już więcej nie oglądać. Jest tylko jedna osoba na świecie — dodał prawie szeptem — którą naprawdę szanuje i wielbię. Sądzę, droga pani Allerton, że bardzo dobrze wiesz, kto nią jest.

Pani Allerton zarumieniła się i wyglądała na zmieszaną.

— Mało jest na świecie naprawdę miłych kobiet — rzekł ponuro Tim. — Ale tak się właśnie składa, że ty jesteś jedną z nich.

— Czy to nie cudowne? — wykrzyknęła pani Robson w mieszkaniu, którego okna wychodziły na nowojorski Central Park. — Masz naprawdę szczęście, Kornelio!

Kornelia Robson zareagowała na to zmieszaniem. Była rosłą, niezdarną dziewczyną i miała brązowe oczy o psim spojrzeniu.

— Rzeczywiście, cudowne — wyszeptała z zachwytem.

Sędziwa panna Van Schuyler skinęła łaskawie głową zadowolona z właściwego zachowania się swych ubogich krewnych.

— Zawsze marzyłam o podróży do Europy — westchnęła Kornelia. — Ale nie przypuszczałam nigdy, że tam kiedykolwiek będę.

— Panna Bowers, oczywiście, pojedzie ze mną jak zawsze — oznajmiła panna Van Schuyler. — Ale na damę do towarzystwa jest, moim zdaniem, zbyt ograniczona. Kornelia zaś będzie mi bardzo pomocna w wielu drobnych sprawach.

— Z rozkoszą będę wszystko robić, kuzynko Mario

— powiedziała żartobliwie Kornelia.

— No to w porządku. Sprawa załatwiona — odrzekła panna Van Schuyler. — Idź poszukać panny Bowers, moja droga. Już czas na mój kogel-mogel.

Kornelia wyszła.

— Moja droga Mario — powiedziała pani Robson.

— Jestem ci nad wyraz wdzięczna. Zdaje mi się, że Kornelii strasznie dokucza brak powodzenia w towarzystwie. Czuje się przez to jakby poza nawiasem życia. Gdyby mnie stać było na wozenie jej po świecie... ale wiesz przecie, jak się sprawy mają od śmierci Neda.

— Z przyjemnością wezmę ją ze sobą — rzekła panna Van Schuyler.

— Kornelia jest miłą i usłużną dziewczyną, chętną do spełniania poleceń i nie tak samolubną jak dzisiejsza młodzież.

Pani Robson wstała, ucałowała bogatą krewną w pomarszczony i nieco pożółkły policzek.

— Jestem ci niebywale wdzięczna — oświadczyła. Na schodach minęła wysoką kobietę o energicznym

wyglądzie, która niosła szklanę wypełnioną żółtawym pianistym płynem.

— Zatem wybiera się pani do Europy, panno Bowers?

— Tak jest, pani Robson.

— Cóż to będzie za urocza podróż!

— Zdaje mi się, że tak.

— Ale pani była już kiedyś za granicą? — Oczywiście. Jeździłyśmy z panną Van Schuyler do Paryżu zeszłej jesieni. Ale nigdy jeszcze nie byłam w Egipcie.

Pani Robson zawahała się przez moment.

— Ufam, że nie będziecie miały żadnych kłopotów — rzekła zniżając głos.

— Oczywiście, że nie — odpowiedziała na to normalnym głosem panna Bowers. — Już ja się o to postaram. Zawsze mam na wszystko baczące oko.

Na twarzy pani Robson pozostał jednak cień wątpliwości, kiedy schodziła wolno po schodach.

W swoim biurze w śródmieściu pan Andrew Pennington przeglądał osobistą korespondencję. Nagle pięść jego zacisnęła się bezwiednie i z hałasem opadła na biurko. Twarz nabiegła krwią i dwie wielkie żyły wystąpiły na czoło. Nacisnął dzwonek zamocowany na biurku i z godną pochwałą szybkością pojawiła się przystojna stenotypistka.

— Proszę powiedzieć panu Rockfordowi, żeby do mnie wstąpił.

— Dobrze, proszę pana.

W parę minut później Sterndale Rockford, wspólnik pana Penningtona, zjawił się w biurze. Byli nawet do siebie podobni: obaj wysocy, o siwiejących skroniach i gładko wygolonych rozumnych twarzach.

— Coś się stało?

Pennington spojrzał znad listu, który właśnie odezytywał na nowo.

— Linnet wyszła za mąż.

— Co?

— Już powiedziałem. Linnet wyszła za mąż.

— Jak to? Kiedy? Dlaczego my o tym nie wiemy? Pennington spojrzał na kalendarz stojący na biurku.

— Pisała ten list jeszcze przed ślubem, ale teraz już jest mężatką. Czwartego rano. To znaczy dzisiaj.

Rockford zwałił się na krzesło.

— Tak bez żadnego zawiadomienia? Za kogo? Pennington ponownie zerknął do listu.

— Doyle. Simon Doyle.

— Któż to taki? Słyszałeś o nim kiedy?

— Nie. Ona też pisze niewiele.

Przebiegł oczyma linijki zapisane wyraźnym, strzelistym pismem.

— Odnoszę wrażenie, że coś się za tym wszystkim kryje. Ale to nieważne. Najistotniejsze jest, że wyszła za mąż.

Spojrzeni sobie w oczy. Rockford pokiwał głową.

— Ta sprawa wymaga małego przemyślenia — dodał ze spokojem.

— A co potem?

— O to samo chciałem ciebie zapytać. Siedzieli w milczeniu.

— Masz jakiś pomysł? — zagadnął Rockford.

— Dziś odpływa „Normandie” — wycedził Pennington. — Jeden z nas z powodzeniem mógłby się zabrać.

— Zwariowałeś? I to ma być ten wspaniały pomysł?

— Ci brytyjscy prawnicy — zaczął Pennington i zamilkł.

— Co przez to rozumiesz? Nie zamierzasz chyba wciągnąć ich do tego. Byłoby to szaleństwem!

— Czy ja mówię, żeby jechać do Anglii?

— Więc na czym ten wspaniały pomysł polega? Pennington wygładził leżący na biurku list. — Linnet jedzie w podróż poślubną do Egiptu. Prawdopodobnie spędzi tam miesiąc lub dwa.

— Do Egiptu, powiadasz?

Rockford zastanowił się w milczeniu. Potem uniósł głowę i spojrzał w oczy współnikowi.

— Egipt? — mruknął. — Więc taki jest twój plan?

— Tak. Przypadkowe spotkanie. Podezas wycieczki. Z Linnet i jej mężem. W aurze podróży poślubnej. Plan ma szansę powodzenia.

— Linnet jest jednak ogromnie bystra — odrzekł Rockford sceptycznie.

— Myślę, że znajdzie się sposób, żeby ją wymanewrować — powiedział łagodnie Pennington.

Znów spojrzeli sobie w oczy. Rockford skinął głową.

— Zgoda, mój stary. Pennington popatrzył na zegarek.

— Komu w drogę, temu czas. Więc który z nas jedzie?

— Pojedziesz ty — rzekł stanowczo Rockford. — Zawsze wspaniale radziłeś sobie z Linnet. Wujcio Andrew! Oto żelazny argument!

Twarz Penningtona stężała.

— Ufam, że uda mi się to załatwić — powiedział.

— Musi się udać — dodał wspólnik. — Jesteśmy w krytycznym położeniu.

— Proszę przysłać do mnie pana Jima — rzekł William Carmichael do chudego, nadmiernie wyrosniętego młodzieńca, który otworzył drzwi i zajrzał z pytającym wyrazem twarzy.

Jim Fanthorp wszedł i spojrzał wyczekująco na wuja. Starszy pan zerknął w jego stronę, kiwnął głową i chrząknął.

— Dobrze, że jesteś.

— Wezwałeś mnie, wuju.

— Proszę, rzuć na to okiem.

Młodzieniec usiadł i przysunął ku sobie plik papierów. Starszy pan bacznie go obserwował.

— No i co?

— Wygląda mi to dość podejrzanie — odpowiedział

nie zwlekając młodzieniec.

Starszy wspólnik firmy Carmichael, Grant i Carmichael wydał z siebie charakterystyczne chrząknięcie.

Jim Fanthorp przeczytał raz jeszcze list, który nadszedł pocztą lotniczą z Egiptu:

*...Pisanie urzędowych listów w taki dzień może wydawać się niestosowne. Od tygodnia jesteśmy w Kairze, w Mena House, i zrobiliśmy już wyprawę do Fajum. Pojutrze ruszamy statkiem w górę Nilu do Luksoru i Asuanu, a być może i do Chartumu. Proszę zgadnąć, kto był pierwszą napotkaną przez nas osobą kiedy zjawiliśmy się w biurze Cooka dziś rano, by załatwić bilety. Mój amerykański opiekun prawny, Andrew Pennington. Zdaje mi się, że go Pan poznał przed dwoma laty, kiedy bawił w Anglii. Nie miał pojęcia, że jestem w Egipcie. Ja go się też tu nie spodziewałam. W dodatku nie wiedział, że wyszłam za mąż. List, w którym zawiadomiłam go o ślubie, widać nie dotarł do niego na czas. Pan Pennington płynie w górę Nilu w tej samej grupie, co my. Czy to nie zbieg okoliczności?*

*Dziękuję serdecznie za wszystko, co Pan uczynił w tym tak gorączkowym okresie.*

*Z poważaniem...*

W chwili kiedy młodzieniec odwracał kartkę, pan Carmichael odebrał mu list.

— To wszystko — powiedział. — Reszta nie jest ważna. Co o tym sądzisz?

Młodzieniec chwilę się zastanawiał.

— Jestem przekonany, że to nie był zbieg okoliczności — rzekł.

Pan Carmichael skinął potakująco głową.

— Masz ochotę na wycieczkę do Egiptu? — zagadnął.

— Czy to konieczne?

— Myślę, że nie ma czasu do stracenia.

— Ale dlaczego ja?

— Rusz głową, chłopcze! Linnet Ridgeway nigdy cię nie widziała. Pennington też. Jeśli polecisz samolotem, zdążysz na czas.

— Ależ ja nie mam ochoty. Co mam tam robić?

— Mieć oczy i uszy otwarte. Kieruj się rozumem, o ile go masz. Jeśli zajdzie potrzeba — działaj.

— Kiedy ja nie mam ochoty...

— Rozumiem cię, ale musisz to zrobić.

— Czy to konieczne?

— Moim zdaniem absolutnie konieczne — stwierdził pan Carmichael.



Pani Otterbourne, poprawiając upięty na głowie turban z tkaniny miejscowego wyrobu, powiedziała z rozdrażnieniem:

— Właściwie dlaczego nie miałybyśmy pojechać do Egiptu? Już mnie Jerozolima męczy i nudzi.

Córka jej nie zareagowała.

— Mogłabyś chociaż się odezwać, kiedy się do ciebie mówi!

Rozalia Otterbourne wpatrywała się w fotografię zamieszczoną w gazecie. Tekst poniżej brzmiał:

*Pani Linnet Doyle. Przed zamążpójściem znana w sferach towarzyskich piękność, panna Linnet Ridgeway. Państwo Doyle bawią na czasach w Egipcie.*

— Więc chciałabyś pojechać do Egiptu, mamó? — spytała Rozalia.

— Oczywiście! — pani Otterbourne strzeliła palcami.

— Doszłam do wniosku, że nas tu traktują trochę lekceważąco. Mój pobyt tutaj jest dla nich reklamą. Powinni zatem udzielić nam specjalnego rabatu. Zrobiłam na ten temat aluzję, ale oni zachowali się, moim zdaniem, bardzo niegrzecznie. Powiedziałam więc, co o nich myślę.

Rozalia westchnęła.

— Wszystkie miejscowości są do siebie podobne — rzekła. — Chciałabym już stąd wyjechać.

— Dziś rano — mówiła dalej pani Otterbourne — zarządzający miał czelność powiedzieć mi, że wszystkie pokoje są od dawna zarezerwowane, a nasz będzie mu potrzebny za dwa dni.

— Wobec tego musimy stąd wyjechać.

— Nie sądzę. Jestem gotowa walczyć o swoje prawa.

— Możemy z powodzeniem jechać do Egiptu — wymruczała pod nosem Rozalia. — Nic nie stoi temu na przeszkodzie.

— Oczywiście, że nie jest to kwestia życia czy śmierci — odrzekła zgodnym tonem pani Otterbourne.

Mylła się jednak całkowicie, była to bowiem kwestia życia albo śmierci.

# Rozdział II

— To jest Herkules Poirot, ten detektyw — powiedziała pani Allerton. Siedziała z synem w pomalowanych na jaskrawą czerwień trzciniowych fotelach przed hotelem Katarakta w Asuanie. Obserwowali oddalające się sylwetki dwóch osób: niskiego mężczyzny w białym garniturze z jedwabiu i wysokiej, smukłej dziewczyny.

Tim Allerton wiercił się niespokojnie w fotelu.

— Ten śmieszny człowieczek? — spytał z niedowierzaniem.

— Ten właśnie śmieszny człowieczek.

— Cóż on, u licha, tu robi? — spytał. Pani Allerton wybuchnęła śmiechem.

— Widzę, żeś się przejął, kochanie. Dlaczego mężczyźni pasjonują się zbrodnią? Nienawidzę powieści kryminalnych i nigdy ich nie czytam. Nie sądzę jednak, by pan Poirot przyjechał tu z jakimś ukrytym zamiarem. Zarobił tyle pieniędzy, toteż pewnie używa życia.

— Upatrzył sobie, zdaje się, najprzystojniejszą z dziewczyn.

Pani Allerton przechyliła na bok głowę obserwując oddalającego się Poirota z towarzyszką. Dziewczyna owa przewyższała go znacznie wzrostem, chód miała ładny, wcale nie sztywny ani też rozlazły.

— Według mnie jest całkiem przystojna — rzekła pani Allerton. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Tima. Ku jej rozbawieniu ryba z miejsca połknęła przynętę.

— Nawet bardzo przystojna. Szkoda tylko, że taka zła i ponura.

— Może robi tylko takie wrażenie, mój drogi.

— Niesympatyczna młoda jędza. Ale jest bardzo ładna.

Obiekt niniejszych uwag szedł wolno u boku pana Poirot. Rozalia kręciła zwiniętą parasolką, a wyraz twarzy miała właśnie taki, jak określił Tim. Brwi były gniewnie zmarszczone, a kąciki pąsowych ust opuszczone.

Za hotelową bramą skręcili w lewo i weszli do chłodnego, cienistego parku. Herkules Poirot paplał miło, a twarz promieniała mu znakomitym humorem. Miał na sobie biały garnitur z surowego jedwabiu, starannie odprasowany, i słomkowy kapelusz, a w dłoni trzymał ozdobny przyrząd z rączką z imitacji bursztynu, służący do odpędzania much.

— Tak mnie to wszystko zachwyca! — mówił. — Czarne skały Elefantyny, i to słońce, i łodzie na

rzece. Jak dobrze jest żyć!

Zamilkł na chwilę, a potem dodał: — Pani też jest tego zdania?

— Niezupełnie. Dla mnie Asuan to ponure miasto. Hotel prawie pusty, dookoła przeważnie stuletni starcy...

Przerwała i ugryzła się w wargi. Herkules Poirot zamrugał oczyma.

— To prawda. Ja też stoję już jedną nogą w grobie.

— Nie pana miałam na myśli. Przepraszam. Wyraziłam się niegrzecznie.

— Ależ głupstwo! Potrzeba towarzystwa w tym samym wieku to rzecz naturalna. W każdym razie mamy tu jednego młodzieńca.

— Czy tego, który stale przesiaduje z własną matką? Ona mi się podoba, ale on jest okropny. Strasznie zarozumiały.

Poirot uśmiechnął się.

— A ja nie jestem zarozumiały?

— Nie sędzę.

Wykazywała wyraźny brak zainteresowania, ale Poirot nie był tym zrażony.

— Mój najlepszy przyjaciel powiada, że jestem bardzo zarozumiały — stwierdził tylko z pogodną satysfakcją.

— No cóż — odburknęła mu na to Rozalia. — Pan przynajmniej ma z czego się puszyć. Niestety, zbrodnie wcale mnie nie interesują.

— Cieszy mnie bardzo wiadomość, że nie ma pani żadnych tajemnych zbrodni do ukrycia — rzekł uroczyście detektyw.

Posępny grymas na twarzy Rozalii zniknął na chwilę, gdy rzuciła w stronę pana Poirot pytające spojrzenie. Ale on jakby tego nie dostrzegł i kontynuował rozmowę.

— *Madame*, matka pani nie była dziś na lunchu. Czyżby zaniemogła?

— Pobyt tutaj wyraźnie jej szkodzi. Będę rada, gdy stąd wyjedziemy.

— Zdaje się, że jesteśmy uczestnikami tej samej wycieczki do Wadi Halfa i Drugiej Katarakty?

— Tak.

Wyszli z cienistego parku na pylistą drogę wiodącą brzegiem rzeki.

Pięciu czujnych sprzedawców paciorków, dwóch sprzedawców pocztówek, trzech sprzedawców gipsowych skarabeuszy, dwóch młodocianych poganiaczy osłów, kilkoro płochliwych, lecz pełnych nadziei maleńkich obdartusów otoczyło ich kołem.

— Pan chce korale? Bardzo ładne! Bardzo tanio!

— Pani chce skarabeusza? Proszę! To sama królowa! Przynosi szczęście!

— Niech pan spojrzy. Prawdziwy lapis. Bardzo tanio!

— Pan chce jechać na osiołku? Bardzo dobry! Nazywa się Whisky.

— Do kamieniołomów? Ten osiołek dla pana? Bardzo dobry... Tamten bardzo zły... On zrzuca...

— Może pocztówki... Bardzo tanie... Bardzo śliczne...

— Niech pani spojrzy... Tylko dziesięć piastrów... Bardzo tanio... Sam lapis i kość słoniowa...

— Do odpędzania much? Bardzo dobra. Wszystko z bursztynu.

— Łódkę, proszę pana? Mam bardzo dobrą łódź...

— Chce pan jechać do hotelu? To osiołek pierwsza klasa...

Herkules Poirot robił niezdarne gesty, żeby się uwolnić od tej czeredy ludzi. Rozalia szła prosto przed siebie w tłum jak lunatyczka.

— Najlepiej udawać, że się jest ślepy i głuchy — stwierdziła.

Chmara dzieci biegła za nimi wołając żałośnie:

— Bakszysz? Bakszysz? Hip–hip hura! Bardzo dobrze. Barwne ich łachmany powiewały malowniczo, a w kącikach oczu roiły się muchy. Dzieci były najwytrwalsze. Inni odpadli. Ruszyli właśnie do ataku na nowego przechodnia.

Rozalia i Poirot niemal biegiem mijali przepastne kramy wśród uprzejmych i natarczywych nawoływań:

— Był pan dziś w moim sklepie? Życzy pan sobie krokodyla z kości słoniowej? Pan jeszcze nie był u mnie? Mam przepiękne rzeczy do sprzedania!

Weszli dopiero do piątego sklepu, gdzie Rozalia oddała garść rolek filmowych, co było celem ich spaceru.

Ruszyli następnie ku przystani. Jeden ze statków kursujących po Nilu przybił właśnie do brzegu. Poirot i Rozalia zaciekawieni przyglądali się pasażerom.

— Ależ tłum, prawda? — zauważyła Rozalia. Obejrzała się, kiedy Tim Allerton podszedł i przyłączył się do ich towarzystwa. Był trochę zdyszany, jakby po szybkim marszu. Stali przez parę minut w milczeniu.

— Straszny tłum ludzi, jak zawsze — stwierdził wyniośle wskazując na wysiadających pasażerów.

— I to dość okropnych — dodała Rozalia.

Wszyscy troje spoglądali na nowo przybyłych z wyższością, której nabierają ludzie już zadomowieni w jakiejś miejscowości.

— No proszę! — zawołał Tim i głos mu się nagle ożywił. — Jeśli się nie mylę, jest tu także Linnet Ridgeway!

Pan Poirot przyjął to obojętnie, ale za to Rozalia była wręcz wstrząśnięta. Wychyliła się do przodu, a chmurna mina na jej twarzy znikła bez śladu.

— Gdzie? Ta ubrana na biało? — wypytywała Tima.

— Tak. W towarzystwie wysokiego mężczyzny. Właśnie schodzą na brzeg. To pewnie jej niedawno poślubiony mąż. Nie pamiętam, jakie nosi ona teraz nazwisko.

— Doyle — odrzekła Rozalia. — Pisano o tym w gazetach. Ma furę pieniędzy, prawda?

— Jest tylko najbogatszą dziewczyną w Anglii — odrzekł wesoło Tim.

Cała trójka stała w milczeniu, obserwując schodzących na ląd pasażerów.

Poirot przyglądał się z ciekawością osobie, która była obiektem tych uwag.

— Istna piękność — zamruczał.

— Są ludzie, którzy mają wszystko — stwierdziła z goryczą Rozalia. Kiedy się wpatrywała w ową dziewczynę zbliżającą się do pomostu, twarz jej przybrała wyraz osobliwej niechęci.

Linnet Doyle prezentowała się tak olśniewająco, jakby miała podczas rewii wkroczyć na sam środek podium.

Biła też z niej pewność siebie znakomitej aktorki. Przyzwyczała się już do tego, że ją obserwują i podziwiają, że skupia na sobie powszechną uwagę, gdziekolwiek się pojawi. Była świadoma ciekawych spojrzeń skierowanych w jej stronę, ale jednocześnie prawie ich nie dostrzegała. Hołdy stały się częścią jej życia.

Zstąpiła na ląd grając, aczkolwiek bezwiednie, swą rolę bogatej, pięknej, znanej w sferach towarzyskich młodej mężatki, która odbywa podróż poślubną.

Obróciła się i lekko uśmiechnięta podzieliła się jakąś drobną uwagą z wysokim mężczyzną u jej

boku. Ten jej coś odpowiedział, a dźwięk jego głosu wyraźnie zafrapował Herkulesa Poirot. Oczy mu błysnęły spod ściągniętych brwi. Słyszał, jak Simon Doyle powiedział:

— Najpierw się rozejrzemy, a potem zadecydujemy. Możemy śmiało tu zostać przez tydzień lub dwa, jeśli ci się spodoba.

W wyrazie jego twarzy zwróconej ku Linnet było oddanie, uwielbienie i uległość.

Poirot uważnie zlustrował postać młodzieńca, jego kwadratowe ramiona, wygoloną twarz, ciemnoniebieskie oczy i uśmiech pełen dziecięcej prostoty.

— Szczęściarz z niego — zauważył Tim, gdy Simon ich minął. — Znalazł bajecznie zamożną pannę, która w dodatku nie ma ani platfusa, ani polipów w nosie.

— Wyglądają na bardzo szczęśliwych — powiedziała Rozalia z nutką zazdrości z głosem. — Co za niesprawiedliwość! — dorzuciła nagle, ale tak cicho, że Tim tego nie słyszał. Usłyszał to jednak Poirot. Właśnie myślał nad czymś skomplikowanym. Niemniej rzucił w stronę Rozalii szybkie spojrzenie.

— Muszę jeszcze odebrać przesyłki dla matki — rzekł Tim. Uchylił kapelusza i odszedł. Prawie bezwiednie Poirot i Rozalia ruszyli powoli w stronę hotelu opędzając się nowej fali poganiaczy osłów.

— Na czym polega ta niesprawiedliwość, moja panno? — zagadnął ciepło Poirot.

Dziewczyna aż poczerwieniała z irytacji.

— Nie wiem, o co panu chodzi!

— Powtarzam tylko słowa, które burknęła pani pod nosem. Czy tak nie było?

Rozalia Otterbourne wzruszyła ramionami.

— Bo doprawdy aż nadto tego dobrego jak na jedną osobę. Majątek, uroda, cudowna figura i... — zamilkła.

— I miłość — rzekł Poirot. — O to chodzi, prawda? Ale skąd ma pani pewność, że nie poślubił jej dla posagu?

— Przecież widział pan, jak na nią patrzy?

— Moja miła panno! Widziałem wszystko, co tylko było do zobaczenia. I jeszcze coś, co pani przeoczyła.

— Co znowu takiego?

— Dostrzegłem, moja panno — mówił z wolna Poirot — cienie pod oczyma młodej damy...

Widziałem jej rękę ściskającą parasol tak mocno, że aż zbieleły nadgarstki.

Rozalia patrzyła z uwagą na pana Poirot.

— Czym pan to sobie tłumaczy?

— Tym, że nie wszystko złoto, co się świeci. Choć młoda pani jest bogata, piękna i uwielbiana, jednak nie wszystko układa się tak, jak należy. I wiem jeszcze coś.

— A co?

— Słyszałem już gdzieś i kiedyś głos pana Doyle'a — rzekł marszcząc czoło Poirot. — Nie mogę sobie tylko przypomnieć, gdzie to było.

Ale Rozalia już tego nie słuchała. Zapadła jakby w letarg. Końcem parasolki kreśliła jakieś linie w sypkim piasku.

— Jestem wstrętna! — wykrzyknęła nagle ze złością. — Naprawdę wstrętna! Niczym zwierzę. Z rozkoszą podarłabym na niej suknię i deptała po tej ślicznej, bezczelnej i butnej twarzy. Czuję się jak zazdrosna kobieta. Taka jest strasznie pewna siebie i wyniosła, a jednak szczęście bardzo jej sprzyja.

Herkules Poirot był tym wybuchem nieco zdziwiony. Ujął Rozalię za ramiona i po przyjacielsku lekko nią potrząsnął.

— *Tenez\**! Poczuj się pani lepiej wyrzuciwszy to z siebie.

— Ja jej po prostu nie cierpię! Jeszcze nikogo tak nie nienawidziłam od pierwszego wejrzenia.

— To doskonale!

Rozalia popatrzyła na niego z powątpiewaniem, skrzywiła usta, a potem parsknęła śmiechem.

— *Bien!\** — wyrzekł Poirot i także się roześmiał. W przyjaznym nastroju powrócili do hotelu.

— Muszę odszukać mamę — powiedziała Rozalia, kiedy znaleźli się w chłodnym, mrocznym hallu.

Poirot skierował kroki w drugą stronę, na taras wychodzący na Nil. Stoliki nakryto już do podwieczorku, chociaż było jeszcze wcześniej. Stał parę minut przyglądając się rzece, a potem udał się na przechadzkę do ogrodu.

Parę osób grało w tenisa w słonecznym żarze. Poirot zatrzymał się, przyglądał im się przez chwilę, a potem zaczął schodzić stromą ścieżką. I właśnie tam ujrzał siedzącą na ławce, nad Nilem, ową dziewczynę z restauracji Chez Ma Tante. Poznał ją od razu. Twarz dziewczyny wryła mu się bowiem



głęboko w pamięć, gdy tak na nią patrzył owego wieczoru. Teraz widział na niej zupełnie inny wyraz. Dziewczyna była bledsza, chudsza, wyraźnie przygnębiona i smutna.

Poirot cofnął się nieco. Dziewczyna go nie spostrzegła. Toteż bez wzbudzania uwagi mógł ją teraz przez chwilę obserwować. Drobną stopą uderzała nerwowo o ziemię. W jej płomiennych oczach był jakiś dziwny wyraz bolesnego, gorzkiego triumfu. Spoglądała na Nil, gdzie białe żaglówki płynęły w górę rzeki lub z jej biegiem.

Ta twarz i ten głos. Poirot skojarzył jedno z drugim. Tę dziewczęcą twarz i głos, który niedawno usłyszał, głos młodego małżonka.

A kiedy tak stał patrząc na nieświadomą niczego dziewczynę, rozegrała się równocześnie następna scena dramatu.

W górze rozległy się głosy. Dziewczyna na ławce skoczyła na równe nogi. Linnet Doyle wraz z mężem schodziła w dół po ścieżce. Głos Linnet był rozradowany i pełen ufności. Ustąpiły niepokój i napięcie mięśni. Linnet czuła się szczęśliwa.

Dziewczyna zrobiła parę kroków do przodu. Tamci dwoje stanęli jak wryci.

— Witaj, Linnet — powiedziała Jacqueline de Bellefort. — Jesteś więc tutaj. Chyba nigdy nie przestaniemy sobie wchodzić w drogę? Witaj, Simon! Jak się miewasz?

Linnet Doyle cofnęła się ku skale wydając cichy okrzyk. Przystojna twarz Simona Doyle'a skurczyła się nagle z gniewu. Ruszył przed siebie, jak gdyby chciał rzucić się na drobną, dziewczęcą postać. Szybkim jak u ptaka ruchem głowy Jacqueline dała mu znać o obecności nieznanego osoby. Simon odwrócił się i dostrzegł Poirota.

— Witaj, Jacqueline — powiedział niezręcznie.

— Nie spodziewaliśmy się spotkać tu ciebie. Co za miła niespodzianka!

Słowa te brzmiały okropnie nieprzekonywająco. Dziewczyna błysnęła bielą zębów.

— Więc jednak zrobiłam wam niespodziankę?

— Skinęła im głową i poszła ścieżką pod górę. Poirot ruszył taktownie w przeciwną stronę. Usłyszał wtedy, jak Linnet Doyle powiedziała: — Simon, na miłość boską, co robić?

# Rozdział III

Obiad dobiegł końca. Taras przed hotelem Katarakta tonął w łagodnym świetle. Większość hotelowych gości siedziała jeszcze przy stolikach. Simon i Linnet wyszli w towarzystwie wysokiego, nobliwego mężczyzny o siwych włosach i łagodnej, na amerykańską modłę wygolonej twarzy.

Kiedy zatrzymali się chwilę przy wyjściu, siedzący w pobliżu Tim Allerton podniósł się z fotela i podszedł ku nim.

— Czy pani mnie jeszcze pamięta? — zagadnął sympatycznie Linnet. — Jestem kuzynem Joanny Southwood.

— Naturalnie! Jakże mogłabym zapomnieć? Pan Tim Allerton. Oto mój mąż — głos jej drżał lekko, może z dumy albo onieśmienia. — A to jest mój amerykański opiekun prawny, pan Pennington.

— Pragnę, aby pani poznała moją matkę.

Parę minut później siedzieli już razem, Linnet w rogu, między Timem a Penningtonem, którzy zabawiali ją rozmową i aż wychodzili ze skóry, aby zwrócić na siebie jej uwagę. Pani Allerton gawędziła z Simonem Doylem.

Zawirowały obrotowe drzwi. Piękna kobieta, siedząca godnie w rogu między dwoma mężczyznami, zaczęła przejawiać oznaki niepokoju. Ale kiedy na taras wyszedł niewysoki mężczyzna, wyraźnie się uspokoiła.

— Nie tylko pani jest tu obiektem podziwu, moja droga — odezwała się pani Allerton. — Ten zabawny, niski pan to Herkules Poirot.

Powiedziała to swobodnie, z wrodzonym taktem, żeby przerwać kłopotliwe milczenie, a tymczasem Linnet wyraźnie przejęła się tą wzmianką.

— Herkules Poirot! Oczywiście! Słyszałam o nim! Popadła w jakieś osobliwe roztargnienie. Siedzący u jej boku panowie byli zupełnie zbici z tropu. Poirot skierował kroki ku narożnikowi tarasu.

— Proszę tu usiąść, panie Poirot! — ktoś nagle zawołał. — Co za cudowny wieczór!

Poirot przyjął zaproszenie.

— *Mais oui, madame!*\* Istotnie przepiękny! Uśmiechnął się grzecznie do pani Otterbourne. Co za draperie z czarnego szyfonu i do tego dziwaczny turban!

— Masę znakomości mamy wśród nas — zaczęła rozmowę cienkim, zasmuconym głosem. —

Chyba wkrótce będzie o tym wzmianka w gazetach? Znana piękność, słynni powieściopisarze...

Zamilkła na chwilę, a potem zachichotała cicho, lecz szyderczo.

Poirot szybciej wyczuł, niż dostrzegł naprzeciw siebie obecność posępnej, zgnębionej dziewczyny, która wzdrygnęła się i zacisnęła niezwykle mocno usta.

— Ma pani jakąś powieść na ukończeniu, *madame*? — spytał.

Pani Otterbourne znów na wpół świadomie wydała z siebie krótki chichot.

— Okropnie się rozleniwiłam. Muszę istotnie wziąć się w karby. Moi czytelnicy naprawdę się już niecierpliwiają. Podobnie jak mój biedny wydawca. Codziennie śle błagalne listy. Nawet depesze!

Znów odezwał, jak dziewczyna drgnęła w półmroku.

— Mogę panu zdradzić, panie Poirot, że przyjechałam tutaj, by studiować realia. *Zaśnieżona pustynia* — to tytuł mej najnowszej książki. Mocny... Sugestywny. Śnieg na pustyni... topnieje... od pierwszego tchnienia gorącej namiętności.

Rozalia podniosła się burcząc coś pod nosem i poszła w głąb mrocznego ogrodu.

— Człowiek musi być silny — ciągnęła pani Otterbourne kiwając patetycznie turbanem. — Moje powieści są jak krwisty befsztyk. Rzecz nie bez znaczenia! To nieważne, że są zakazane w czytelnich. Bo ja piszę prawdę! Seks! Otóż to! Proszę pana, dlaczego wszyscy tak się boją seksu? Przecież to filar wszechświata! Czytał pan moje książki?

— Niestety, *madame*. Pani wybaczy, ja nie czytuję powieści. Moja praca...

— Muszę więc ofiarować panu egzemplarz mego dzieła „Pod figowym drzewem” — powiedziała stanowczym głosem pani Otterbourne. — Z pewnością uzna pan tę powieść za wybitną. Jest szczerą i jakże prawdziwą!

— Pani jest bardzo łaskawa, *madame*. Przeczytam z rozkoszą!

Pani Otterbourne zamilkła na parę chwil. Bawiła się długim sznurem koralu dwukrotnie okręconym wokół szyi. Zerknęła to w jedną, to w drugą stronę.

— Chyba skoczę do siebie i zaraz ją panu przyniosę.

— Proszę się nie fatygować, łaskawa pani. Później...

— Ależ to żaden kłopot. — Wstała. — Chciałabym, żeby pan zobaczył...

— Potrzebujesz czegoś, mamó? Rozalia pojawiła się nagle u boku matki.

— Nic takiego, kochanie. Właśnie chciałam pójść po książkę dla pana Poirot.

— „Pod figowym drzewem”? Zaraz ci ją przyniosę.

— Pójdę po nią sama. Nie wiesz, gdzie leży.

— Poszukam i przyniosę.

Rozalia ruszyła energicznym krokiem w kierunku hotelu.

— Zechce pani przyjąć moje gratulacje, *madame*. Ma pani uroczą córkę — powiedział skłoniwszy głowę pan Poirot.

— Rozalia? Tak... dość ładna. Ale ma trudny charakter. Cienia współczucia dla mojej choroby. Przekonana, że wszystko wie najlepiej. Myśli, że zna się lepiej na moim zdrowiu niż ja sama.

Poirot skinął na przechodzącego kelnera.

— Ma pani ochotę na likier? Chartreuse? Może Creme de Menthe?

Pani Otterbourne energicznie pokręciła głową.

— Nie, dziękuję. Właściwie jestem abstynentką. Pewnie pan zauważył, że pijam tylko wodę lub najwyżej lemoniadę. Nie znoszę smaku alkoholu.

— Czy mogę zamówić dla pani lemoniadę? Poprosił kelnera o lemoniadę i kieliszek benedyktyna.

Zawirowały obrotowe drzwi. Wyłoniła się z nich Rozalia i podeszła do stolika z książką w ręce.

— Proszę, oto powieść.

Głos miała bezbarwny. Aż zastanawiające obojętny.

— Pan Poirot właśnie zamówił dla mnie lemoniadę — powiedziała pani Otterbourne.

— A pani na co ma ochotę, panno Rozalio?

— Na nic! — Widocznie jednak odpowiedź wydała jej się za krótka, bo dodała: — Naprawdę dziękuję!

Poirot wziął książkę, podaną mu przez panią Otterbourne. Miała bardzo kolorową okładkę, na której widniała dama o modnie, krótko przyciętych włosach i wymalowanych na czerwono paznokciach. Siedziała na tygryziej skórze w przysłowiowym stroju Ewy. Nad nią rosło drzewo o dębowych liściach, obwieszane niezmiernie kolorowymi jabłkami.

Napis brzmiał: Salome Otterbourne *Pod figowym drzewem*. Wewnątrz znajdowała się notka od wydawcy. Obwieszczała słowami pełnymi entuzjazmu o niebywalej odwadze i realizmie niniejszego studium na temat miłosnego życia nowoczesnej kobiety. Polecano je jako śmiałe, oryginalne i prawdziwe.

Poirot schylił się w ukłonie.

— Czuję się zaszczycony, *madame*.

Kiedy uniósł głowę, wzrok jego napotkał oczy Rozalii. Poirot aż osłupiał. Tak go zaskoczył i zmartwił wyraz nieukrywanego bólu, jaki w nich dostrzegł.

Właśnie podano zamówione napoje, co wywołało pożądaną chwilę odprężenia.

— *A votre santé, madame, mademoiselle!*\* — rzekł Poirot unosząc z galanterią kieliszek.

— Jakaż orzeźwiająca — szeptała pani Otterbourne sącząc lemoniadę. — Doskonała!

Wszyscy troje zamilkli. Spoglądali ku czarnym, połyskującym skałom na Nilu. W świetle księżyca wyglądały wprost niesamowicie, jak olbrzymie przedpotopowe stwory na wpół wychylone z wody.

Nagle zerwał się lekki wiatr, który równie nagle ucichł. Coś tajemniczego pojawiło się w powietrzu, jakieś pełne napięcia oczekiwanie. Poirot zwrócił oczy na taras i siedzących tam gości. Może istotnie tak było, a może zdawało mu się, że i tam trwa pełne napięcia wyczekiwanie. Jak w teatrze, gdy na scenie ma się pojawić wybitna aktorka.

Wtem zakręciły się obrotowe drzwi. Zdawało się, że ich wirowanie ma tym razem szczególnie ważne znaczenie. Ucichły rozmowy, a oczy zebranych zwróciły się w stronę drzwi. Ukazała się w nich ciemnowłosa, smukła dziewczyna w wieczorowej sukni kołom wina. Stała chwilę, a potem zdecydowanym krokiem przeszła przez taras i usiadła przy wolnym stoliku. Nie było w jej zachowaniu nic przesadnego czy niezwykłego, a jednak miało ono w sobie jakiś zamierzony efekt teatralnego wejścia.

— No cóż. Pewnie się uważa za coś nadzwyczajnego — odezwała się pani Otterbourne kiwając spowitą w turban głową.

Poirot milczał. Obserwował. Dziewczyna usiadła w miejscu, skąd mogła spokojnie wpatrywać się w Linnet Doyle. Nagle Poirot dostrzegł, jak Linnet pochyła się, coś mówi, a potem siada na innym krześle, odwrócona plecami do drzwi.

Poirot pokiwał w zamyśleniu głową. Nie minęło parę minut, gdy z kolei przesiadła się owa dziewczyna. Zajęła stolik po przeciwległej stronie tarasu. Paląc papierosa uśmiechała się łagodnie. Istny obraz zadowolenia i spokoju. Ale ciągle jakby bezwiednie kierowała pełen zadumy wzrok w stronę żony Simona Doyle'a.

Po kwadransie Linnet Doyle nagle wstała i opuściła taras. Mąż podążył niezwłocznie za nią. Jacqueline de Bellefort uśmiechnęła się i przestawiła krzesło w odwrotnym kierunku. Zapaliła papierosa i spoglądała w stronę Nilu. Uśmiech nie schodził jej z ust.

# Rozdział IV

— Panie Poirot!

Detektyw zerwał się na równe nogi. Ciągle jeszcze siedział na tarasie, który tymczasem całkiem opustoszał. Pogrążony w myślach utkwiał wzrok w gładkich, błyszczących skałach i ocknął się nagle na dźwięk swego nazwiska.

Głos, który je wypowiedział, był wytworny, z nutką pewności siebie, ogromnie czarujący, choć nieco arogancki.

Herkules Poirot wstał szybko i zobaczył władeze spojrzenie Linnet. Na białą jedwabną suknię włożyła aksamitną fioletową narzutkę i Poirot uznał, że wygląda w tym nad wyraz pięknie i godnie.

— Pan Herkules Poirot, nieprawdaż? — spytała Linnet, chociaż z trudem można to było uznać za pytanie.

— Do pani usług, *madame*.

— Pan zapewne wie, kim jestem?

— Oczywiście! Pani nazwisko jest mi znane. Wiem doskonale, kim pani jest.

Linnet skinęła głową. Spodziewała się takiej odpowiedzi.

— Zechce pan przejść się ze mną do saloniku — rzekła czarująco władezym tonem. — Pragnę z panem pomówić.

— Naturalnie, *madame*.

Skierowała kroki w stronę hotelu. Poirot podążył za nią. Wprowadziła go do opustoszałego saloniku i ruchem ręki nakazała, by zamknął za sobą drzwi. Usiadła w fotelu przy jednym ze stołów, a Poirot usadowił się na wprost niej.

— Mnóstwo o panu słyszałam — bez chwili namysłu, od razu rozpoczęła zamierzoną rozmowę — wiem, że jest pan bardzo inteligentnym człowiekiem. Tak się właśnie składa, że potrzebuję niezwłocznie czyjejś pomocy i myślę, że być może pan mógłby mi jej udzielić.

Poirot skłonił głowę. — Pani jest bardzo miła, *madame*. Niestety, jestem na urlopie. Nie zajmuję się wówczas sprawami zawodowymi.

— Chyba da się to jakoś ułożyć... Można przecież jedno z drugim pogodzić. — W tonie jej słów nie było nic obraźliwego, kryła się w nim tylko cicha ufność młodej damy, która zawsze potrafi załatwić pomyślnie każdą sprawę.

— Jestem obiektem nikczemnych prześladowań. Trzeba położyć temu kres. Zamierzałam zawiadomić policję, ale mąż sądzi, że to nic nie pomoże.

— Zechce mi to pani wyjaśnić cokolwiek dokładniej — rzekł cicho i uprzejmie Poirot.

— Bardzo chętnie — odparła znów bez zająknięcia czy śladu wahania. — Sprawa jest niezwykle prosta.

Linnet Doyle miała precyzyjny umysł człowieka interesów. Zamilkła na chwilę, ale po to tylko, żeby przedstawić fakty możliwie jak najzwięźlej.

— Kiedy poznałam mego męża — mówiła — był on już zaręczony z panną de Bellefort, która była też moją przyjaciółką. Zerwał tamte zaręczyny, gdyż zupełnie do siebie nie pasowali. Z przykrością stwierdzam, że bardzo głęboko przeżywała ona to rozstanie. Smutna to rzecz, ale nie było na to rady. Miotła nawet jakieś groźby, do których nie przywiązywałam większej wagi, ale leż, jak mogę stwierdzić, nie usiłowała ich spełnić. Nabrała natomiast dziwnego zwyczaju jeżdżenia za nami dosłownie... wszędzie.

Poirot uniósł brwi. — No cóż. Dość to niezwykły rodzaj... zemsty — stwierdził. — Istotnie niezwykły i bardzo irytujący — dodała Linnet i zagryzła wargę.

— Wyobrażam sobie — rzekł kiwając głową. — Państwo są, jak mniemam, w podróży poślubnej?

— Tak. Pierwszy raz zdarzyło się to w Wenecji. Natknęliśmy się na nią w hotelu. Dość kłopotliwe, ale nic więcej. Potem spotkaliśmy ją na pokładzie statku w Brindisi. Sądziliśmy, że jedzie do Palestyny, bo nam się wydawało, że nie wysiadła z nami. Ale kiedy dotarliśmy do hotelu Mena House w Kairze, ona już tam na nas czekała.

Poirot pokręcił głową. — A potem? — spytał.

— Wyruszyliśmy w górę Nilu statkiem. Byłam nawet trochę przygotowana, że spotkamy ją na pokładzie, ale jej tam nie było. Doszłam do wniosku, że pewnie zrezygnowała z tej dziecinady. Kiedy jednak przyjechaliśmy tutaj, już czekała na miejscu.

Przez chwilę Poirot przyglądał się Linnet badawczo. Nadal była cudownie opanowana, tylko pobielwały jej kostki palców u ręki, którą zaciskała na stole.

— Obawia się pani, że taki stan może trwać dalej? — spytał Poirot.

— Tak. — Milczała chwilę. — Jest w tym jednak coś absurdalnego! Ona się w ten sposób po prostu ośmiesza! Sądziłam, że ma w sobie więcej dumy lub godności.

Poirot machnął lekko ręką.

— Przychodzi chwila, *madame*, kiedy wyrzuca się godność za burtę! Bo zjawiają się inne, silniejsze uczucia.

— Możliwe — rzekła niecierpliwie Linnet. — Ale co chce przez to osiągnąć, u licha?

— Nie zawsze chodzi o to, aby coś zyskać, *madame*.

Coś w jego tonie zaskoczyło Linnet w nieprzyjemny sposób. Zaczerwieniła się.

— Ma pan słuszość — dodała spiesznie. — Nie ma sensu roztrząsać motywów. Chodzi o to, żeby położyć temu kres.

— Jak pani chciałaby to osiągnąć? — spytał Poirot.

— Nie możemy już dłużej znosić z mężem tej udręki. Musi istnieć jakiś prawny przepis zakazujący takich praktyk?

— Wypowiadała publicznie jakieś konkretne groźby pod pani adresem? — pytał Poirot i patrzył na Linnet z uwagą. — Czy używała obelżywych słów? Okaleczyła panią może?

— Nie!

— W takim razie, *madame*, nie sędzę, mówiąc szczerze, by dało się tu coś zrobić. Jeśli młodej damie sprawia przyjemność odbywanie podróży do miejsc, w których pani z mężem akurat przebywa, to nie ma w tym jeszcze nic złego. Każdemu wolno podróżować! Spotkania z nią zawsze przecież zdarzały się w miejscach publicznych? Prawda?

— Więc nie ma sposobu, by temu zaradzić? — w głosie Linnet brzmiało niedowierzenie.

— Sama pani widzi, że nie ma — odrzekł uspokajająco Poirot. — Panna de Bellefort nie narusza prawa.

— Przecież to czysty obłąd! I mam się z tym pogodzić? Ależ to nie do zniesienia!

— Współczuję pani — powiedział chłodno Poirot. — Zdaję sobie bowiem sprawę, że nieczęsto musi się pani w życiu godzić z koniecznością.

Linnet wyglądała na zgnębioną.

— Musi być na to jakiś sposób — powiedziała cicho.

Poirot wzruszył ramionami.

— Można przecież wyjechać — stwierdził.

— Ale ona i tak pojedzie za nami!

— Prawdopodobnie... tak.

— Ależ to idiotyzm!



— Naturalnie, *madame*.

— Dlaczego mielibyśmy przed nią uciekać? Jak gdybyśmy... nie wiem co... — urwała nagle.

— No. właśnie, *madame*. Jak gdyby... co? A może jednak coś w tym jest?

Linnet uniosła głowę i spojrzała na Poirota.

— Co pan chciał przez to powiedzieć? Poirot zmienił ton. Pochylił się ku Linnet.

— Dlaczego pani tak się tym wszystkim przejmuje? — spytał łagodnie, życzliwym już i bezpośrednim tonem.

— Dlaczego? Bo to jakiś absurd! Coś w najwyższym stopniu irytującego! To chyba oczywiste!

— Niezupełnie, *madame* — rzekł Poirot kręcąc głową.

— Nie bardzo wiem, o co panu chodzi?

— Proszę posłuchać. Opowiem pani o jednym drobnym zdarzeniu. Pewnego dnia, w Londynie, parę miesięcy temu, jadłem obiad w restauracji. Przy stoliku obok siedzi młoda para. Są najwyraźniej szczęśliwi i bardzo w sobie zakochani. Rozmawiają ufnie o przyszłości. Nie podsluchuję tej rozmowy, bo nie mam tego w zwyczaju. Zresztą im jest to całkiem obojętne.

Młodzieniec siedzi tyłem do mnie, ale mogę za to obserwować twarz dziewczyny. Bije z niej bezmiar uczucia. Kocha duszą i sercem, a nie należy do tych istot, co zakochują się łatwo i często. Widać jasno, że to dla niej sprawa życia i śmierci. Mają się pobrać, tyle bowiem zdołałem wydedukować, i rozmawiają, jak sędzę, o miodowym miesiącu. Pragną jechać do Egiptu...

Zamilkł. Linnet spytała sucho: — I co dalej?

— Mija parę miesięcy — podjął na nowo Poirot — a twarz tej dziewczyny ciągle tkwi mi w pamięci. Wiem, że ją rozpoznam, gdziekolwiek tylko zobaczę. Podobnie jak głos mężczyzny. I domyśla się pani, że raptem znów to samo słyszę, a widzę jednak coś innego. Tutaj, w Egipcie. Ten sam młodzieniec jest w podróży poślubnej... tak... ale z inną kobietą.

— To co z tego? — powiedziała ostro Linnet.

— Przecież fakty już podałam.

— Fakty tak.

— To chyba wystarczy. O co więcej jeszcze chodzi?

— Dziewczyna z restauracji — mówił wolno Poirot — opowiadała o swej przyjaciółce, która, jak zapewniała, nigdy jej nie zawiedzie. Ową przyjaciółką, jak mniemam, była pani, *madame*.

Linnet poczerwieniła. — Powiedziałam już panu, że byliśmy zaprzyjaźnione.

— Darzyła panią zaufaniem?

— Tak! — Zastanawiała się nad czymś gryząc niecierpliwie wargę, Poirot natomiast nie przejawiał wyraźnej ochoty do rozmowy.

— Nieszczęśliwy to splot okoliczności, przyznaję — odezwała się nagle Linnet. — Ale przecież takie rzeczy się zdarzają!

— Zdarzają się, istotnie. — Przerwał na moment. — Pani jest wyznania anglikańskiego, jak sędzę?

— Tak — odpowiedziała Linnet lekko zmieszana.

— Zapewne słuchała pani w kościele czytanych na głos fragmentów Biblii. O królu Dawidzie albo mężu bogatym, co miał liczne trzody i stada, i o biednym mężu, który posiadał tylko „maluczką” owieczkę. I o tym, jak bogacz odebrał ją biedakowi. Tu stała się rzecz podobna, *madame*.

Linnet siedziała wyprostowana, a oczy błyszczały jej gniewnie.

— Widzę aż nadto jasno, do czego pan zmierza. Sądzi pan, nazywając rzecz po imieniu, że skradłam ukochanego własnej przyjaciółce. Traktując sprawę sentymentalnie, a myślę, że dla ludzi pana pokolenia jest to prawie jedyny punkt widzenia, tak to wygląda naprawdę. Ale obiektywna prawda jest inna. Jackie była, nie przeczę, na śmierć zakochana w Simonie, ale wydaje mi się, że nie bierze pan pod uwagę faktu, że być może on nie był wcale tak mocno do niej przywiązany. Lubił ją, ale sędzę, że zaczął już zdawać sobie sprawę, iż popełnił omyłkę. Niech pan spojrzy na to trzeźwo: Simon uświadamia sobie, że nie ją kocha, lecz mnie. Jak ma zatem postąpić? Czy być bohaterko szlachetnym i poślubić dziewczynę, do której nic nie czuje, i złamać w ten sposób życie trzem osobom, bo wątpliwe jest, by mógł uszczęśliwić Jackie w takiej sytuacji. Gdyby już wówczas był mężem Jackie, to zgadzam się, że jego obowiązkiem byłoby zostać przy niej, chociaż nie jestem znów tak bardzo tego pewna. Jeśli jedna osoba jest nieszczęśliwa, druga też cierpi. Ale zaręczyny to jeszcze nic wiążącego. Jeśli popełniło się błąd, lepiej śmiało spojrzeć w oczy faktom, nim będzie za późno. Przyznaję, że był to bolesny cios dla Jackie i bardzo mi przykro z tego powodu. Było to jednak nieuniknione.

— Jedno mnie tylko zastanawia...

Linnet spojrzała na Poirota. — Co, mianowicie?

— Wszystko to brzmi bardzo rozsądnie i logicznie. Ale nie ukazuje jednej rzeczy?

— Jakiej?

— Pani własnego stosunku do tej sprawy. Owo uparte prześladowanie pani osoby można by tłumaczyć dwojako. Albo chęcią rozzłoszczenia pani, albo pragnieniem wzbudzenia litości dla przyjaciółki, którą spotkała taka krzywda, że aż zaczęła lekceważyć nakazy dobrego wychowania... Ale pani zareagowała inaczej. Potraktowała rzecz całą jako nieznośne prześladowanie. A dlaczego

tak się stało? Można to tylko jednym tłumaczyć — że się pani poczuwa do winy.

Linnet zerwała się na równe nogi.

— Jak pan śmie! — krzyknęła. — Pan, doprawdy, posuwa się za daleko.

— Śmiem. I robię to celowo, *madame*. Będę mówił z panią całkowicie otwarcie. Twierdzę, że chociaż starała się pani, być może, upiększać na swój użytek te fakty, to jednak odebranie przyjaciółce narzeczonego było ze strony pani świadomym zamierzeniem. Twierdzę też, że pan Doyle zafascynował panią od pierwszego wejrzenia. Przypuszczam, że był nawet taki moment, kiedy pani się zawahała, kiedy pani uświadomiła sobie, że trzeba będzie dokonać wyboru i albo się wycofać, albo brnąć dalej. Uważam, że inicjatywa wyszła ze strony pani, a nie Simona Doyle'a. Pani jest piękna, majątna, mądra, bystra i pełna uroku. Mogła pani wykorzystać swój czar albo tego zaniechać. Posiada pani wszystko, co tylko można mieć w życiu, *madame*. Dla pani przyjaciółki wszystkim był ten człowiek, jego jedyne tylko miała. Pani o tym wiedziała, a jednak mimo wahań wyciągnęła pani rękę po zdobycz. Wyciągnęła rękę na podobieństwo owego bogacza z Biblii, który odebrał biedakowi jego jedyną owieczkę.

Zaległo milczenie. Linnet z trudem panowała nad sobą.

— Ależ to czysty nonsens — rzekła chłodno.

— Nic podobnego! Tłumaczę pani właśnie, dlaczego pojawienie się panny de Bellefort tak panią przygnębiło. Bo choć jej postępowanie nie licuje, być może, z godnością kobiety, to jednak w pani wewnętrznym przekonaniu racja jest po jej stronie. — To nieprawda!

Poirot wzruszył ramionami.

— Nie chce być pani uczciwą wobec siebie?

— Nic podobnego!

— Wolałaby pani — powiedział łagodnie Poirot — usłyszeć ode mnie o tym, jak jest pani w życiu szczęśliwa, zawsze dobra i hojna dla ludzi?

— Staram się być taka — odparła Linnet. Pełna zniecierpliwienia złość zniknęła z jej twarzy. Mówiła teraz zwykłym, prawie bezradnym tonem.

— To właśnie świadomość, że zraniła pani czyjeś uczucia, tak bardzo panią przygnębia i nie pozwala uznać swojej racji za pewnik. Proszę mi darować, jeśli byłem nieuprzejmy, ale psychologia jest najważniejszym czynnikiem w tej sprawie.

— Jeśli przyjmiemy, że to, co pan mówi, jest prawdą, której ja nic chcę zaaprobować — powiedziała wolno Linnet — to i tak nic na to nie poradzimy. Przeszłości zmienić nie sposób. Trzeba więc liczyć się z rzeczywistością.

— Bystra z pani istota — pokręcił głową Poirot.

— Oczywiście, nie można odwrócić tego, co minęło, i należy brać rzeczy takimi, jakimi są! Jednak czasami, *madame*, trzeba wziąć na siebie konsekwencje własnych czynów z przeszłości.

— Chce pan powiedzieć — mówiła z niedowierzaniem Linnet — że nie ma wyjścia z tej sytuacji?

— Musi pani znosić to dzielnie, *madame*. Tak mi się wydaje.

— A nic mógłby pan porozmawiać z Jackie, to jest z panną de Bellefort? Przemówić jej do rozsądku?

— Oczywiście, że mógłbym, i zrobię to, jeśli pani tego sobie życzy. Ale proszę nie oczekiwać zbyt wiele. Zdaje się, że panna de Bellefort tak już uległa owej manii, że nie sposób będzie jej to wyperswadować.

— Może jednak uda się nam jakoś z tego wybrnąć?

— Oczywiście, może pani wrócić do Anglii i zainstalować się we własnym domu.

— Cóż z tego! Jestem pewna, że Jackie zdoła i tak usadzić się w pobliskiej wiosce, by mi stawać na drodze, ilekroć wyjdę poza teren ogrodu.

— To prawda — wtrącił Poirot.

— Poza tym nie wiem, czy Simon będzie miał ochotę na taką ucieczkę?

— A jakie jest jego nastawienie do tej sprawy?

— Jest wściekły. Po prostu wściekły.

Poirot kiwał głową w zamyśleniu.

— Zechce więc pan łaskawie z nią pomówić? Prawda? — pytała Linnet z prośbą w głosie.

— Oczywiście! Jestem jednak zdania, że nie na wiele się to zda.

— Jackie jest nieobliczalna — powiedziała gniewnie Linnet. — Trudno przewidzieć, jak postąpi.

— Wspomniała pani przed chwilą o jakichś jej pogroźkach. Chciałbym wiedzieć, czym pani groziła?

— Groziła... hm... że zabije nas oboje. Odzywa się w niej czasami temperament kobiety Południa.

— Rozumiem — odrzekł z powagą Poirot.

— Może zechce pan jednak zająć się moją sprawą? — spytała błagalnie Linnet.

— Nie, *madame* — odpowiedział stanowczo. — Nie przyjmę od pani zlecenia. Uczynię tylko, co w mej mocy, ale w imię powszechnego dobra. I koniec na tym. Sytuacja jest dość trudna i

niebezpieczna. Dołożę wszelkich starań, aby ją rozładować, ale nic jestem przekonany, czy mi się to uda.

— Więc nie będzie pan dla mnie pracował? — rzekła z naciskiem Linnet.

— Nie, *madame* — odpowiedział jej na to Poirot.

# Rozdział V

Herkules Poirot napotkał Jacqueline de Bellefort siedzącą na skalistym brzegu Nilu. Był w duchu przekonany, że nie poszła jeszcze spać i że ją na pewno spotka gdzieś w hotelowym ogrodzie.

Siedziała wtuliwszy podbródek w dłonie i ani drgnęła, ani się obejrzała na odgłos zbliżających się kroków.

— Panna de Bellefort? — spytał Poirot. — Pozwoli pani, że pomówię z nią chwilę.

Jacqueline odwróciła powoli głowę. Cień uśmiechu błąkał się na jej ustach.

— Bardzo proszę— odrzekła. Pan Herkules Poirot, jeśli się nic mylę? Czy zgadłam? Linnet Doyle pana wynajęła. Obiecała sowitą zapłatę, jeśli załatwi pan sprawę pomyślnie?

Poirot usiadł na ławeczce obok dziewczyny.

— Zgadła pani, ale tylko częściowo — odrzekł / uśmiechem. — Rozmawiałem niedawno z panią Doyle, ale nie przyjąłem od niej żadnego honorarium i mówiąc ściśle, wcale dla niej nie pracuję.

Jacqueline przyglądała mu się badawczo.

— To w jakim celu pan tu przyszedł? — spytała zniecierpliwiona.

— Czy pani widziała mnie już kiedykolwiek przedtem? — zagadnął ją Poirot zamiast odpowiedzieć.

Jacqueline pokręciła przecząco głową. — Zdaje mi się, że nie.

— Natomiast ja już panią widziałem. Razu pewnego siedziałem na wprost pani w restauracji Chez Ma Tante. Była tam pani w towarzystwie Simona Doyle'a.

Dziwny, podobny do maski grymas pojawił się na twarzy dziewczyny.

— Pamiętam ten wieczór — odrzekła.

— Od tego czasu wiele się zdarzyło — zauważył Poirot.

— Ma pan słuszość — powiedziała twardym głosem, w którym kryło się głębokie rozgoryczenie.

— Dlatego też proszę jako przyjaciel: wybaczcie sobie wszystko i pogódźcie się.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Co takiego?

— Niech pani pogrzebie to, co było, i spojrzysz przed siebie w przyszłość. Co się stało, już nie wróci. Gorycz niczego nie rozwiąże.

— To by cudownie odpowiadało naszej drogiej Linnet! — zawołała Jacqueline.

Poirot machnął ręką.

— Nie ją mam teraz na myśli. Tylko panią. Taki bezmiar cierpień ma pani za sobą, a w ten sposób jeszcze je pani przedłuża.

Jacqueline pokręciła głową.

— Myli się pan. Zdarzają się chwile, kiedy mi to nawet sprawia ogromną przyjemność.

— A to jest właśnie najgorsze ze wszystkiego.

— To nie jest głupie, co pan mówi — odrzekła spoglądając bystro na Poirota. — Nawet wierzę, że kieruje się pan życzliwością — dodała cedząc słowa.

— Proszę wracać do domu, panienko. Jest pani młoda, ma dobrze w głowie, a świat stoi przed panią otworem.

Jacqueline kręciła przecząco głową.

— Albo pan tego nie rozumie, albo nie chce zrozumieć, że Simon jest dla mnie całym światem.

— Miłość to jeszcze nie wszystko, moja panno — odparł łagodnie Poirot. — Tak nam się tylko wydaje, kiedy jesteśmy młodzi.

Dziewczyna raz jeszcze pokręciła przecząco głową.

— Czy pan tego nie rozumie? Zna pan przecież całą sprawę? Rozmawiał pan z Linnet. Był pan w restauracji owego wieczoru... Bardzo kochaliśmy się z Simonem.

— Wiem, że pani go kochała — rzekł Poirot i natychmiast ujął ją tonem tych słów.

— Kochaliśmy się bardzo. Kochałam także Linnet. Ufałam jej. Była moją najlepszą przyjaciółką. Całe życie mogła kupować wszystko, na co miała ochotę. Nigdy sobie niczego nie odmawiała. Kiedy zobaczyła Simona, zapragnęła mieć go na własność i dopięła tego.

— A on pozwolił się tak... kupić?

Jacqueline pokręciła łagodnie głową.

— Nie całkiem. Gdyby tak się stało, nie byłoby mnie tutaj. Pan sugeruje, że nie warto zaprzętać

sobie głowy Simonem. Istotnie nie byłby wart tego, gdyby się ożenił z Linnet dla pieniędzy. Ale on jej nie poślubił dla majątku. Sprawa jest znacznie bardziej żałosna. Istnieje taka rzecz jak urok osobisty. A pieniądze jeszcze bardziej go podkreślają. Właśnie taki czar roztaczała wokół Linnet. Była niczym władczyni jakiegoś królestwa, młoda księżniczka, wytworna w każdym calu. Miało to jakiś teatralny przepych. Świat jej się ścielił do nóg, a jeden z najbogatszych i cieszących się wielkim wzięciem parów Anglii chciał ją poślubić.

Ona zaś raptem zniża się do jakiegoś nie znanego nikomu Simona Doyle'a. Dziwi się pan, że mu to uderzyło do głowy? — Nagle wyciągnęła rękę. — Niech pan, proszę, spojrzysz na księżyc. Widzi go pan wyraźnie. Jest on najzupełniej realny. A jeśli zaświeci słońce? To pan wcale księżyc nie dostrzeże! Tak właśnie miały się sprawy. Byłam księżycem. Kiedy wzeszło słońce, Simon przestał mnie dostrzegać. Był oślepiiony blaskiem. Niczego nie widział prócz słońca, którym była... Linnet.

— To był właśnie ów czar — odezwała się Jacqueline po krótkim milczeniu. — Zawróciła mu w głowie. A jeśli się jeszcze doda do tego jej absolutną pewność siebie i wrodzoną zaborczość? Dlatego ludzie jej ulegają — Simon okazał się słaby, być może, ale jest za to ogromnie prostoduszny. Kochałby mnie wiernie, gdyby nie pojawiła się Linnet i nie porwała go do swej złotej karocy. Jestem też przekonana, że nigdy by się w niej nie zakochał, gdyby go do tego nie zmusiła?

— Tak pani uważa?

— Ja to wiem. Simon kochał mnie i znów będzie kochał.

— Nawet teraz? — spytał Poirot.

Już chciała coś odpowiedzieć, ale się powstrzymała. Spojrzała na Poirota i głęboki rumieniec oblat jej twarz. Odwróciła oczy.

— Wiem, że on mnie teraz nienawidzi — powiedziała bezbarwnym, cichym głosem. — Ale niech lepiej ma się na baczności... — Szybkim ruchem zanurzyła rękę w srebrnej torebce, która leżała na ławce. I oto na otwartej dłoni pojawił się mały rewolwer o rękojeści z masy perłowej, delikatny jak zabawka.

— Miły przedmiocik. co? — spytała. — Wygląda niepoważnie, ale jest prawdziwy. Jedna z kul trafi mężczyznę lub kobietę. A strzelam dobrze! — uśmiechnęła się lekko, prawie niedostrzegalnie.

— Raz w dzieciństwie pojechałam z matką w jej rodzinne strony, do Południowej Karoliny. Dziadek nauczył mnie wtedy strzelać. Był to człowiek starej daty, który wierzył w skuteczność strzelania, zwłaszcza gdy szło o sprawę honoru. Mój ojciec także pojedynkował się parę razy, kiedy był młody. Świetnie władał szablą. Raz zabił człowieka. Poszło o kobietę...

Jak pan widzi — patrzyła mu prosto w oczy — mam w żyłach gorącą krew. Rewolwer kupiłam zaraz po tym wszystkim.

Chciałam zabić jedno z nich, tylko nie mogłam zdecydować się kogo. Zabicie ich dwojga nie dałoby mi zadowolenia.



Gdybym miała pewność, że nastraszę Linnet. Ale ona niczego się nie boi. Nie sposób jej zastraszyć... Wtedy postanowiłam zaczekać. Coraz bardziej mi to odpowiada. Mogę to przecież zrobić w każdej chwili. To znacznie większa przyjemność tak napawać się myślą...

Wtedy wpadłam na pomysł, żeby jechać za nimi. Gdziekolwiek tylko pojedą, by cieszyć się swoim szczęściem, choćby nawet nie wiem jak daleko, będą musieli na mnie patrzeć. I udało się! Linnet dostała za swoje, jak jeszcze nigdy w życiu. Zalażłam jej dobrze za skórę. Zaczęłam odnajdywać w tym przyjemność. Linnet nic mi nic może zrobić. Jestem zawsze bardzo miła i uprzejma. Nie mają o co się do mnie przyczepić. To im zatruwa wszystko, absolutnie wszystko!

Zaniosła się dziewczęcym, perlistym śmiechem. Poirot chwycił ją za ramię. — Niech się pani opamięta! Proszę się uspokoić!

Jacqueline spojrzała na niego.

— A panu co do tego? — spytała. W uśmiechu jej kryło się wyraźne wyzwanie.

— Panno Jacqueline, błagam, niech pani zaniecha tego!

— I zostawi Linnet w spokoju, co?

— Tu chodzi o coś ważniejszego — perswadował Poirot. — Nie wolno pani wpuścić szatana do swego serca!

Dziewczyna otworzyła usta, a w jej oczach pojawił się wyraz zmieszania.

— Bo wystarczy tylko otworzyć serce — mówił z powagą Poirot — a zjawi się na pewno. Natychmiast w nim zagości i nie da się stamtąd wyrugować.

Jacqueline stała wpatrzona w Poirota, a w jej spojrzeniu migotały niepewność i wahanie.

— Sama już nie wiem... — rzekła i dodała stanowczo: — Ale nie uda się panu mnie powstrzymać!

— Istotnie — odparł Poirot ze smutkiem w głosie.

— Widzę, że nie.

— Jeśli zapragnę zgładzić Linnet, to i tak pan nic u mnie nic wskóra!

— Niestety. Ale będzie pani musiała ponieść za to karę!

— Nie boję się śmierci — powiedziała ze śmiechem.

— Nic mam i tak po co żyć. Według pana, złem jest zabijać tego, kto nas skrzywdził, zabierając nam wszystko, co mieliśmy w życiu najdroższego.

— Tak jest, *madame* — odrzekł spokojnie Poirot.

— Zabijanie to czyn niewybaczalny. Jacqueline znów się roześmiała.

— W takim razie musi pan aprobować moją obecną metodę zemsty, bo dopóki przy niej trwam, dopóty nie użyję rewolweru. Boję się jednak, czasami naprawdę się lękam, że mnie coś napadnie i zapragnę dźgnąć Linnet nożem albo przyłożyć jej do głowy mój kochany pistolecik i pociągnąć za cyngiel... Ojej!

Poirot przeląkł się tego okrzyku.

— Co się stało? — spytał.

Jacqueline odwróciła głowę i zaczęła wypatrywać czegoś w mroku.

— Ktoś tam stał na górze! Przed chwilą! Herkules Poirot natychmiast rozejrzał się dokoła, ale niczego nie dostrzegł.

— Zdaje się, że prócz nas nie ma tu nikogo, *mademoiselle*. — Wstał z ławki. — W każdym razie powiedziałem pani to, co zamierzałem. *Życzę dobrej nocy!*

Jacqueline też się podniosła.

— Niech pan zrozumie — powiedziała błagalnie. — Nie mogę zrobić tego, o co pan mnie prosi.

Poirot pokręcił głową.

— Ależ może pani! Zawsze się znajdzie sposobna chwila. Był taki moment, kiedy przyjaciółka pani, Linnet, mogła była powiedzieć sobie: stop! Ale nie zrobiła tego. I musi już brnąć dalej, bo drugi raz taka sposobność może się nie zdarzyć.

— Druga taka sposobność... —powtórzyła Jacqueline de Bellefort.

Myślała nad czymś przez chwilę, a potem uniosła głowę i rzekła: — Dobranoc panu.

Skinął jej głową, zasmucony, i podążył za nią alejką prowadzącą do hotelu.

# Rozdział VI

Nazajutrz rano Simon Doyle podszedł do pana Poirot, gdy ten wychodził właśnie z hotelu udając się do miasta.

— Dzień dobry panu. Idzie pan do miasta. Mógłbym towarzyszyć?

— Dzień dobry. Ależ proszę bardzo! Będzie mi ogromnie miło!

Szli obok siebie. Minęli bramę i zanurzyli się w chłodny cień ogrodu. Simon wyjął z ust fajkę.

— Zdaje się, że moja żona odbyła z panem wczoraj rozmowę?

— Istotnie, odbyła.

Simon Doyle ściągnął w zamyśleniu brwi. Należał do tego typu energicznych mężczyzn, którym niełatwo przychodzi ubierać w słowa własne myśli i wypowiadać się jasno.

— Cieszy mnie jedna rzecz — powiedział. — Dowiódł pan Linnet wyraźnie, że jesteśmy zupełnie bezradni w tej sprawie.

— Niestety, nie ma tu żadnej konkretnej podstawy prawnej — stwierdził Poirot.

— Naturalnie. Jednakże Linnet nie może tego pojąć — rzekł Simon uśmiechając się blado. — Wyrosła w przekonaniu, że każdej niegodziwości można położyć kres z pomocą policji.

— Nie byłoby źle, gdyby istniała taka możliwość. Zapadło milczenie.

— To wprost haniebne, że właśnie Linnet stała się obiektem prześladowań — odezwał się nagle Simon i twarz mu poczerwieniała. — Przecież w niczym nie zawiniła. Prędzej już mnie można zrobić zarzut, że postąpiłem wobec niej jak łajdak. I wcale temu nie zaprzeczę.

Poirot zwiesił ponuro głowę i nie odezwał się słowem.

— Czy rozmawiał pan już z Jackie... to jest z panną de Bellefort?

— Tak, rozmawiałem.

— Czy przemówił jej pan do rozsądku?

— Niestety, nie.

— Czy ona nie widzi, że wystawia siebie na pośmiewisko? — zawołał Simon poirytowanym głosem.

— Jak dobrze wychowana osoba może tak postępować? Czy nie ma w sobie krzty godności ani dumy?

Poirot wzruszył ramionami. — Pcha ją do tego, zdaje mi się, poczucie krzywdy...

— Niech to diabli! Porządna dziewczyna nie będzie się tak zachowywać! Wszystkiemu ja zawiniłem, przyznaję. Obszedłem się z nią podle, to fakt. Raczej bym się spodziewał, że ma mnie dosyć raz na zawsze. I nigdy nie spojrzy nawet w moją stronę. Ale że będzie się za mną włóczyć? To wprost nieprzyzwoite! Robi z siebie pośmiewisko! Co chce przez to osiągnąć?

— Może to jakiś rodzaj zemsty?

— Nonsens! Prędzej bym ją zrozumiał, gdyby się porwała na melodramatyczny gest... próbowała mnie zastrzelić.

— Sądzi pan, że to do niej podobne? — spytał Poirot.

— Szczerze mówiąc, tak. Jest bardzo porywcza i ma nieokiełznany temperament. Opętana szałem, zdolna jest do wszystkiego. Ale żeby szpiegować? — Simon kręcił przecząco głową.

— Bo to bardziej wyrafinowane... Inteligentniejsze... — dorzucił Poirot.

Doyle wytrzeszczył na niego oczy.

— Pan tego nie rozumie? — zawołał. — Przecież to straszna udręka dla nerwów Linnet.

— A dla pana nerwów nie? Simon spojrzał na niego zdumiony.

— Dla moich? Z rozkoszą ukręciłbym kark tej diablicy!

— Zatem nic już nie zostało z dawnych uczuć?

— Drogi panie! Jakby to panu wytłumaczyć? Hm! Kiedy nagle zaświeci słońce, to co się wtedy dzieje z księżycem. Przestajemy go dostrzegać! Kiedy poznałem Linnet, Jackie przestała dla mnie istnieć.

— *Tiens, c'est drôle, ça!*\* — szepnął Poirot.

— Przepraszam, nic dosłyszałem — rzekł Simon Doyle.

— Pańskie porównanie bardzo mnie zafrapowało. To wszystko.

Simon znów się zaczerwienił.

— Pewnie Jackie nagadała panu, że ożeniłem się z Linnet tylko dla pieniędzy. To wierutne kłamstwo! Nie poślubiłbym żadnej kobiety dla majątku. Jackie nie potrafi zrozumieć, jakie to niezdolne dla mężczyzny, gdy kobieta narzuca się mu z uczuciami. Tak jak ona w stosunku do mnie.

Poirot spojrział na niego surowo.

— To nikczemne, że tak mówię — brnął niezręcznie Simon, — ale Jackie darzyła mnie uczuciem aż do przesady.

— *Une qui aime et un qui laisse aimer*\* — wymruczał Poirot.

— Co pan powiedział? W gruncie rzeczy mężczyzna nie bardzo znosi, gdy kobieta więcej zabiega o jego

— Głos Simona stawał się coraz serdeczniejszy. — Nie lubi, gdy mu się daje odezuć, że jest czyjąś własnością razem z duszą i ciałem. Wszystkiemu winna ta przekłeta zaborczość. Jest mój, należy do mnie. Tego już było dla mnie za wiele! Zresztą, żaden mężczyzna nie ścierpi takiej rzeczy. Zapragnie uciec i być znów wolnym. To on chce posiadać kobietę, a nie odwrotnie, być jej własnością.

Umilkł i lekko drżącymi rękami zapalił fajkę.

— Tak właśnie czuł się pan z Jacqueline?

Simon zastanowił się chwilę. — Tak istotnie było — wyznał. Ona sobie nie zdaje z tego sprawy. Zresztą nie potrafiłem jakoś jej tego powiedzieć. Okropnie się tym dręczyłem. Wtedy właśnie poznałem Linnet, która z miejsca zawładnęła mym sercem. Nie spotkałem nigdy równie uroczej istoty. Czy to nie nadzwyczajne? Każdy padał przed nią plackiem, a ona raptem wybrała takiego hołysza jak ja. — W głosie jego brzmiał chłopięcy zachwyt i zdumienie.

— No tak. Rozumiem — rzekł Poirot kiwając głową w zamyśleniu.

— Czemuż to Jacqueline nie potrafi podejść do tego po męsku? — upierał się Simon pełen urazy.

Górna warga Poirota drgnęła w lekkim uśmiechu.

— No cóż, zacznijmy od tego, że nie jest mężczyzną.

— Nie chodzi o to. Ale powinna się zachowywać jak dobry kompan. Każdy musi w końcu połączyć jakąś gorzką pigułkę, kiedy przychodzi taka chwila. Przyznaję, że wina jest po mojej stronie. Ale cóż z tego! Jeśli komuś przestaje zależeć na dziewczynie — mówił Simon — żenić się z nią byłoby czystym szaleństwem! Kiedy teraz widzę, jaka naprawdę jest Jackie i do jakich ostateczności może się posunąć, czuję, że miałem wielkie szczęście uciekając w porę.

— Do jakich ostateczności... może się posunąć... — powtórzył w zamyśleniu Poirot i spytał: — A pan wie do... jakich?

Simon spojrział na niego zaniepokojony.

— Nie mam pojęcia — odrzekł. — Ale co pan przez to rozumie?

— Czy pan wie, że ona nosi rewolwer?

Simon ściągnął brwi, a potem pokręcił przecząco głową.

— Nie wierzę, by zrobiła z niego użytek. Zwłaszcza teraz. Może dawniej... tak. Jestem przekonany, że nic nam nie grozi. Poza złośliwością z jej strony. Teraz już chce się tylko na nas obojgu odegrać.

Poirot zbył to wzruszeniem ramion. — Być może — dodał z powątpiewaniem.

— Właściwie to martwię się tylko o Linnet — oświadczył bez szczególnej potrzeby Simon.

— Całkiem pana rozumiem — odpowiedział Poirot.

— Nie boję się, że Jackie urządzi jakąś melodramatyczną strzelaninę. Ale to szpiegowanie, włóczenie się za nami doprowadza Linnet do białej gorączki.

Przedstawię panu teraz plan, jaki ułożyłem. Proszę łaskawie mnie skorygować, jeśli trzeba. Rozgłosiłem przede wszystkim, że postanawiamy zostać tu dziesięć dni. Tymczasem jutro siatek „Karnak” wyrusza z Schellâl do Wadi Halfa. Zamierzam kupić bilety na ten rejs pod przybranym nazwiskiem. Wybierzemy się jutro z wycieczką na wyspę Filae. Pokojówka Linnet zabierze tymczasem stąd nasze bagaże. My zaś odpłyniemy na „Karnaku” z Shellâl. Jackie poniewczasie dowie się o tym, że nie wróciliśmy, kiedy będziemy już daleko stąd. Zrozumie, żeśmy się jej wymknęli, i wróci do Kairu. Mógłbym nawet przekupić portiera, żeby jej to oznajmił. Chodzenie do biur podróży niewiele jej da, bo naszych nazwisk tam nie będzie. Jak się panu podoba mój plan?

— Nieźle wymyślone. A jeśli ona zechce tu czekać do waszego powrotu?

— Nie wiadomo, czy tu wrócimy. Może pojedziemy dalej do Chartumu, a stamtąd samolotem do Kenii? Nic będzie przecież wlec się za nami po całym ziemskim globie?

— Oczywiście. Musi przyjść taki moment, kiedy brak funduszków stanie temu na przeszkodzie. Domyślam się, że pieniędzy ma niewiele.

Simon spojrzał na Poirota z uznaniem.

— Pan jest nadzwyczajny. Bo mnie to nie przyszło do głowy. Jacqueline jest biedna.

— A jednak mogła sobie pozwolić na taką daleką podróż aż tutaj?

— Zdaje się, że ma jakiś niewielki kapitał. Chyba koło dwustu funtów rocznego dochodu. Widocznie spieniężyła akcje, by mieć swobodę działania.

— Przyjdzie więc taka chwila, kiedy wyczerpie swoje zasoby i zostanie bez grosza? — zapytał Poirot.

— Tak.

Simon stał się niespokojny. Myśl ta wyraźnie go dręczyła. Poirot nie spuszczał z niego oka.

— To podłość tak rozmawiać — powiedział Simon i dodał jakby trochę rozzłoszczony. — Nic mnie to zresztą nie obchodzi! Chciałbym wiedzieć, co pan sądzi o moim planie?

— Ma szansę powodzenia. Ale jest to, rzecz jasna... ucieczka.

Simon poczerwieniał na twarzy.

— Tak pan sądzi? Pewnie ma pan rację. Ale Linnet...

Poirot rzucił w stronę Simona badawcze spojrzenie.

— Przecież pan sam uznał to za najlepsze wyjście — powiedział. — Proszę jednak pamiętać, że panna de Bellefort ma głowę nie od parady.

— Czuję, że pewnego dnia — rzekł ponuro Simon — dojdzie między nami do spięcia. W jej postępowaniu nie ma krzty rozsądku!

— Rozsądku! *Mon Dieu!*\* — wykrzyknął Poirot.

— Dlaczego kobiety nic mogą zachowywać się jak rozumne istoty? — stwierdził flegmatycznie Simon.

— Czasem tak się zachowują — odparł szorstko Poirot. Jest to bardziej jeszcze przygnębiające. Ja też będę na „Karnaku” — dodał. — Taką sobie wybrałem trasę.

Simon zawahał się, a potem dobierając słowa powiedział nieco zakłopotany: — Ale chyba... nie z naszego powodu. Bardzo bym nie chciał, żeby...

— Ale skądże! Wszystko zostało zaplanowane, zanim jeszcze wyjechałem z Londynu — wyprowadził go spiesznie z błędu pan Poirot. — Zawsze układam plany podróży z dużym wyprzedzeniem.

— Więc nie jeździ pan z miejsca na miejsce, dokądkolwiek tylko przyjdzie panu ochota? To chyba przyjemniejsze?

— Być może. Jednak żeby osiągnąć w życiu powodzenie, trzeba zawczasu planować każdy szczegół.

Simon roześmiał się.

— Przypuszczam, że w taki sam sposób postępuje wytrawny morderca?

— Niewątpliwie. Chociaż muszę przyznać, że najdoskonalsza i najtrudniejsza do rozwikłania zbrodnia, jaką pamiętam, dokonana została pod naciskiem chwili.

— Opowie mi pan coś o swych przygodach, kiedy będziemy na statku? — spytał Simon niemal chłopięcym tonem.

— Niestety. Nie rozmawiam na tematy zawodowe.

— Słusznie. Jednak są to tematy wyjątkowo pasjonujące. Tak uważa pani Allerton. Marzy, żeby wziąć pana w krzyżowy ogień pytań.

— Pani Allerton? Ta czarująca, siwa dama, która ma takiego oddanego syna?

— Tak. Oni też będą na „Karnaku”.

— Czy ona wie, że pan... — zapytał Poirot.

— Na pewno nie — odpowiedział stanowczo Simon. — O tym nikt nie wie. Kieruję się w życiu zasadą, że najlepiej nie ufać nikomu.

— Godna pochwały zasada, którą ja też się kieruje. Przy okazji chciałbym o coś zapytać? Jest tu z państwem trzecia osoba: wysoki, siwowłosy pan.

— Pennington?

— Czy podróżujecie państwo razem?

— Pewnie dziwi to pana? Dość niezwykle jak na poślubną podróż, co? — mówił ponuro Simon. — Pennington jest opiekunem prawnym Linnet, z Ameryki. Natknęliśmy się na niego przypadkiem w Kairze.

— *Ah, vraiment!*\* Przepraszam, że pytam. Żona pana jest pełnoletnia?

Simon był wyraźnie ubawiony.

— Jeszcze nie. Nie musiała jednak prosić nikogo o zgodę na zawarcie małżeństwa. Niemniej było to dla Penningtona wielkim zaskoczeniem. Wypłynął z Nowego Jorku na „Carmanicu”, a list Linnet zawiadamiający o jej ślubie przyszedł dopiero w dwa dni później. Więc Pennington o niczym nie wiedział...

— „Carmanic”? — wymruczał Poirot.

— Niezmiernie się zdziwił, kiedy nas ujrzał w hotelu Shepherd w Kairze.

— Co za zbieg okoliczności! — rzekł Poirot.

— Okazało się w dodatku, że także wybiera się w podróż po Nilu. Nie było więc innego przyzwoitego wyjścia, jak podróżować razem. Pod pewnym względem jest to dla nas nawet wygodne...



Na twarzy Simona pojawił się wyraz zakłopotania.

— Rozumie pan, Linnet bardzo się denerwowała, że Jackie może pojawić się wszędzie i w każdej chwili. Nawet kiedy byliśmy tylko we dwoje, ciągle wracaliśmy do tej sprawy. Obecność pana Penningtona zmuszała nas niejako do rozmowy na inne tematy.

— Czy żona zwierzała się panu Penningtonowi? Simon zacisnął gwałtownie szczęki.

— Nie! — odrzekł. — To wyłącznie nasza osobista sprawa. Sądziliśmy, ruszając w podróż po Nilu, że Jackie dała już za wygraną.

Poirot pokiwał głową,

— A ona tymczasem działa dalej — rzekł. — I nie ma zamiaru przestać?

— Bardzo to przygnębiające, co pan mówi — odrzekł Simon.

Poirot spojrział na niego odrobinę poirytowany.

„Ach, ten Anglosas! — pomyślał w duchu. — Niczego poza sportem nie traktuje poważnie. Czas, żeby dojrzał i wydorósł. Tylko Linnet i Jacqueline biorą tę sprawę głęboko do serca!”

W zachowaniu Simona Poirot dostrzegł jedynie typowe męskie zniecierpliwienie i złość.

— Pozwoli pan, że zadam niedyskretne pytanie? — rzekł Poirot. — Czy to był pana pomysł, aby w podróż poślubną jechać do Egiptu? Simon zaczerwienił się.

— Oczywiście że nie! W gruncie rzeczy było mi wszystko jedno, ale Linnet bardzo tego chciała. Toteż więc...

Nagle zabrakło mu słów. Było to dla niego bowiem oczywiste, że skoro Linnet czegoś chciała, to tak być musi.

„Słyszałem już trzy osobne relacje o tej samej sprawie: relację Linnet Doyle, Jacqueline de Bellefort i Simona Doyle’a. Która jest najbliższa prawdy?”

# Rozdział VII

Simon i Linnet Doyle wyruszyli na zwiedzanie wyspy Filae około jedenastej następnego dnia. Jacqueline de Bellefort siedziała na balkonie w hotelu i patrzyła, jak wsiadają do malowniczej żaglówki. Nie widziała natomiast, że wyładowane bagażami auto, w którym siedziała poważnie wyglądająca służąca, odjechało sprzed hotelu kierując się w stronę Shellâl.

Herkules Poirot postanowił spędzić pozostałe do lunchu dwie godziny na wyspie Elefantynie, położonej na wprost hotelu.

Udał się na przystań. Do jednej z należących do hotelu łodzi wsiadało właśnie dwóch mężczyzn. Poirot przyłączył się do nich.

Ci dwaj wyraźnie się nie znali.

Jeden z nich, młodszy, przyjechał poprzedniego dnia pociągiem. Był to wysoki, ciemnowłosy młodzieniec o pociągłej twarzy i energicznym podbródku znamionującym kłótniwy charakter. Miał na sobie wełniane, okropnie brudne spodnie i pulower z kołnierzem polo. zupełnie nieodpowiedni do tutejszej aury.

Drugi z nich — tęgi, w średnim wieku mężczyzna — nie tracąc czasu rozpoczął z Poirotem rozmowę w dość płynnej, ale lekko łamanej angielszczyźnie.

Młodzieniec wyraźnie nie przejawiał ochoty do rozmowy, tylko przyglądał się im z kwaśną miną, a potem celowo odwrócił się do nich plecami i podziwiał, z jaką zręcznością nubijski przewoźnik ustawia żagiel i porusza sterem za pomocą sznurków założonych na duże palce u nóg.

Rzeka była spokojna. Straszne, czarne skały, wielkie i gładkie, przesuwały się mimo nich, a łagodny wiatr owiewał im twarze. Szybko dotarli na Elefantynę i po wyjściu na brzeg Poirot oraz jego rozmowny towarzysz skierowali swe kroki do muzeum. Po drodze jegomość ów wręczył Poirotowi kartę wizytową, na której było napisane:

*Signor Guido Richetti, Archeologo.*

Poirot nie zwlekając zrewanżował mu się ukłonem i wyciągnął własną kartę wizytową. Po dopełnieniu ceremoniału prezentacji dwaj panowie udali się do muzeum. Włoch wylewał z siebie potok naukowych informacji. Tym razem rozmawiali już po francusku. Młodzieniec w wełnianych spodniach przechadzał się apatycznie po muzeum, ziewał od czasu do czasu, a potem wymknął się na powietrze.

Poirot i signor Richetti zrobili z czasem to samo. Włoch z niesłychaną energią zajął się badaniem ruin, a Poirot, gdy tylko wypatrzył i rozpoznał na przybrzeżnych skałach parasolkę z zieloną podszewką, zaraz pomknął w tamtym kierunku.

Pani Allerton siedziała na ogromnym głazie ze szkicownikem w ręce i książką na kolanach. Poirot uchylił uprzejmie kapelusza, pani Allerton zaś natychmiast rozpoczęła rozmowę.

— Dzień dobry! — powiedziała. — Zdaje mi się, że nie sposób będzie pozbyć się tych okropnych dzieci.

Otaczała ją gromadka drobnych postaci. Uśmiechały się, krygowały, wyciągały błagalnie ręce szepcząc raz po raz „bakszysz” z nadzieją w głosie.

— Myślałam, że im się to znudzi. Już od dwóch godzin tak mi się przyglądają, przybliżając się z wolna, a kiedy są tuż przy mnie, wykrzykuję „imszi!” i przeganiam je parasolką. Rozbiegają się na parę minut. Ale znów przyłazą i gapią się bez przerwy, mają odrażające oczy i takie sanie nosy, a ja zaczynam nabierać przekonania, że nie cierpię dzieci, chyba że są mniej więcej umyte i jako tako wychowane.

Zaśmiała się smutno. Poirot z gracją usiłował pomóc pani Allerton rozpedzić dzieci, ale bez powodzenia. Uciekały, lecz wnet zbijały się w gromadkę i zbliżały od nowa.

— Gdyby można było mieć choć trochę spokoju, to by mi się Egipt jeszcze bardziej podobał — rzekła pani Allerton. — Ale przecież tu nigdy nie można być samym. Zawsze ktoś człowieka nagabuje o datek albo namawia do przejażdżki na ośle lub na kupno koralu, na wyprawę do pobliskiej wioski albo strzelanie do kaczek...

— Jest to istotnie wielki minus — przytaknął Poirot. Rozłożył starannie chustkę do nosa na skale i usiadł na niej z pewną ostrożnością.

— Syn nie dotrzymuje dziś pani towarzystwa? — zagadnął.

— Nie. Ma parę listów do wysłania przed wyjazdem. Wie pan, jedziemy na wycieczkę do Drugiej Katarakty.

— Ja też.

— Jakże się cieszę! Muszę panu wyznać, że jestem ogromnie przejęta poznaniem pana osobiście. W czasie naszego pobytu na Majorce bawiła tam niejaka panna Leech, która opowiadała nam o panu nadzwyczajne rzeczy. Zgubiła kąpiąc się w morzu pierścionek z rubinem i rozpacziała, że nie ma tam pana do pomocy w szukaniu.

— *Parbleu* \*, nie jestem przecież nurkującą foką!

Oboje wybuchnęli śmiechem.

— Widziałam dziś z okna, jak pan szedł z Simonem Doylem. Ciekawa jestem, co pan o nim sądzi? Wszyscy jesteśmy okropnie zaintrygowani jego osobą.

— Naprawdę?

— Oczywiście! Jego małżeństwo z Linnet Ridgeway było dla nas prawdziwym zaskoczeniem. Wszyscy przypuszczali, że wyjdzie za lorda Windleshama, a ona raptem zaręczyła się z człowiekiem, o którym nikt nigdy nie słyszał.

— Wnoszę z tego, że pani ją dobrze zna, *madame*?

— Niezupełnie. Natomiast moja kuzynka, Joanna Southwood, jest jej najbliższą przyjaciółką.

— Ach tak? Znam to nazwisko z gazet. Często napotykam w prasie wzmianki o tej młodej damie, Joannie Southwood — dodał po chwili milczenia.

— Cóż, potrafi ona reklamować swą osobę nader umiejętnie — dorzuciła złośliwie pani Allerton.

— Pani jej nie lubi, *madame*?

— Nikczemne to z mej strony, że tak o niej mówię — rzekła pani Allerton ze skruszoną miną. — Jestem jednak dość staroświecka. Nie przepadam za nią. Natomiast Tim jest z nią w ogromnej przyjaźni.

— Rozumiem — odrzekł Poirot.

Pani Allerton obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

— Jakże mało jest tu młodzieży — powiedziała zmieniając temat. — Ta śliczna dziewczyna o kasztanowych włosach z okropną matką w turbanie jest tu chyba jedynym młodym stworzeniem. Zauważyłam, że pan bardzo dużo z nią rozmawia. Ona mnie ogromnie interesuje.

— Z jakiej to przyczyny, *madame*?

— Bardzo mi jej żal. Życie nie szczędzi cierpień, gdy się jest młodym i wrażliwym. Jestem pewna, że ona cierpi.

— To prawda. Nie jest szczęśliwa, biedactwo...

— Oboje z Timem nazywamy ją „chmurną dziewczyną”. Próbowałam kilkakrotnie nawiązać z nią rozmowę, ale mnie za każdym razem ofuknęła. Zdaje się, że też płynie na wycieczkę Nilem, sądzę więc, że będziemy zmuszone nawiązać jakoś przyjazny kontakt.

— Całkiem to możliwe, droga pani.

— Jestem z natury życzliwa ludziom. Bardzo mnie interesują, wszyscy, bez wyjątku.

Mówił mi Tim — dodała po chwili — że ta kruczowłosa, szczupła dziewczyna, o nazwisku de Bellefort, była przedtem zaręczona z Simonem Doylem. Jakież przykre musi być dla nich takie spotkanie!

— Istotnie, przykre — potaknął Poirot.

Pani Allerton rzuciła w jego stronę bystre spojrzenie.

— Może to się panu wyda głupie, ale ta panna de Bellefort mnie przeraża. Wygląda na bardzo... gwałtowną.

— I nie myli się pani. Potęga uczucia zawsze przeraża.

— Czy pana leż interesują ludzie? Czy też zachowuje pan swą ciekawość tylko dla potencjalnych przestępców?

— Łaskawa pani, gdyby przyjąć taki podział, trzeba by wziąć w rachubę wszystkich niemal ludzi.

Pani Allerton była tymi słowami zaskoczona.

— Pan tak naprawdę uważa?

— To znaczy, jeśli zaistnieje dostatecznie silny bodziec... — dodał Poirot. — I zakłóci normalny tok spraw...

— Naturalnie.

Pani Allerton wahała się przez chwilę, ale nie przestawała lekko się uśmiechać.

— Więc i ja też byłabym zdolna...

— Matki, droga pani, są szczególnie bezwzględne, gdy ich dzieciom zagraża niebezpieczeństwo.

— To prawda — rzekła z ponurą powagą. — Ma pan absolutną rację.

— Staram się uzmysłwić sobie odpowiednie motywy, które mogłyby poszczególnych gości z hotelu pchnąć do popełnienia zbrodni — rzekła z uśmiechem po paru minutach milczenia. — Bardzo to zabawne. Weźmy, na przykład, Simona Doyle'a.

— Byłaby to dość pospolita zbrodnia — odrzekł z uśmiechem Poirot. — Raz, dwa... i po wszystkim. Żadnych subtelności czy też ceregieli...

— I zapewnię bardzo prosta do wykrycia?

— Oczywiście. Trudno tu oczekiwać jakichś przebłysków genialności.

— A Linnet?

— Byłoby to coś w stylu królowej z „Alicji w Krainie Czarów”, która kazała ścinać głowę.

— Naturalnie! Boskie prawo władzyni! Trochę jak z przypowieści o Winnicy Pańskiej. Czy ta niebezpieczna dziewczyna, Jacqueline de Bellefort, mogłaby popełnić morderstwo?

Poirot namyślał się przez chwilę.

— Sądzę, że tak... — odpowiedział z wahaniem.

— Ale nie jest pan pewny?

— Nie. W tej młodej osobie jest coś dla mnie niepojętego.

— Nie myślę, by pan Pennington był zdolny do morderstwa. Jak pan sądzi? Wygląda na zasuszonego i cierpiącego na niestrawność człowieka, bez kropli gorącej krwi w żyłach.

— Ale zapewne z silnym instynktem samozachowawczym...

— Niewątpliwie.

— A nieszczęsna pani Otterbourne, w turbanie?

— Próżność też wchodzi w rachubę.

— Jako motyw zbrodni? — spytała powątpiewająco pani Allerton.

— Motywy zbrodni często bywają dość błahe, *madame*.

— Jakie motywy są najpospolitsze?

— Najczęściej chodzi o pieniądze. To znaczy o zysk w rozmaitej postaci. Następnie — zemsta. Miłość albo strach. Czysta nienawiść lub uczynność...

— Ależ... panie Poirot?

— Naprawdę, droga pani. Znam takie przypadki. Osoba A, powiedzmy, ginie z ręki osoby B, która robi to wyłącznie dla dobra osoby C. W imię takiego hasła dokonuje się najczęściej morderstw politycznych. Ktoś płaci życiem za to, że go uznano za szkodliwego dla cywilizacji. Ludzie zapominają, że śmierć i życie to sprawa dobrego Pana Boga.

Mówił to z powagą w głosie.

— Cieszy mnie, że pan tak myśli. Jednakże Bóg wybiera ludzi jako swe narzędzie — dorzuciła pani Allerton cichym głosem.

— To niebezpieczny pogląd, *madame*.

— Po takiej rozmowie — zauważyła pani Allerton przybierając weselszy ton — dziwnym będzie mi się wydawać, że nadal jesteśmy przy życiu. — Trzeba już wracać — powiedziała wstając. — Musimy wyruszyć zaraz po lunchu.

Kiedy dotarli do przystani, młodzieniec w pulowerze wsiadł właśnie do łodzi, w której czekał już signor Richetti. Nubijski przewoźnik wyluzował żagle i ruszyli w drogę.

— Wiele jest cudownych rzeczy do obejrzenia w Egipcie, prawda? — zagadnął uprzejmie Poirot nieznanego młodzieńca, który palił fajkę w nieco głośny sposób.

Młodzieniec wyjął fajkę z ust.

— Mdło mi się robi na ich widok — odrzekł krótko, lecz dobitnie.

Pani Allerton przytknęła do oczu pince-nez i przyglądała mu się z zainteresowaniem. — Czyżby? Z jakiego powodu? — zapytał Poirot.

— Weźmy na przykład piramidy. Olbrzymie bloki bezużytecznych budowli wzniesione dla dogodzenia miłości własnej despotycznego, rozpasanego władcy. Pomyślmy o rzeszach złanych potem ludzi, które trudziły się wznosząc te budowle i ginęły przy pracy. Niedobrze mi się robi na myśl o cierpieniach i udrękach, jakich doznawali.

— Wolałby pan, żeby nie było piramid ani Partenonu, żadnych wspaniałych grobowców lub świątyń — odezwała się żywo pani Allerton. — A ludzie, żeby w zamian za to mieli radosną pewność, że mają trzy razy na dzień co jeść i że umrą we własnym łóżku.

Młodzieniec skierował w jej stronę gniewne spojrzenie.

— Moim zdaniem ludzie znaczą więcej od kamieni.

— Ale nie są tak długowieczni jak one — dorzucił Herkules Poirot.

— Wolę dobrze odżywionego robotnika od jakiegokolwiek dzieła sztuki. Liczy się tylko przyszłość, a nie to, co minęło.

Tego już było za wiele dla signora Richettiego, który poirytowany wybuchnął potokiem słów chwilami trudnych do zrozumienia.

W odpowiedzi na to młodzieniec wyjaśnił wszystko, co myśli o kapitalistycznym systemie. A wypowiadał swe poglądy z niezwykłym sarkazmem. Tyrada jego dobiegła końca, gdy łódź przybiła do hotelowej przystani.

— Ładnie, ładnie — zawołała wesoło pani Allerton wysiadając na brzeg.

Młodzieniec rzucił w jej stronę złowrogie spojrzenie.

W hotelowym hallu Poirot natknął się na Jacqueline de Bellefort. Miała na sobie strój do konnej jazdy. Złożyła przed detektywem lekki, ironiczny ukłon.

— Idę przejechać się na ośle. Czy warto, zdaniem pana zwiedzić okoliczne wioski?

— Taką wycieczkę zaplanowała sobie pani na dziś? Wioski są oczywiście malownicze, tylko niech pani nie wyrzuca pieniędzy na miejscowe pamiątki.

— Które sprowadza się tu z Europy? Nie jestem tak naiwna, żeby się na to nabrać. — Skinęła lekko głową i wyszła na oślepiające słońce.

Poirot skończył pakowanie, co było sprawą niezwykle prostą, ponieważ utrzymywał rzeczy w pedantycznym ładzie. Następnie poszedł do jadalni i zjadł wczesny lunch. Po lunchu uczestnicy wycieczki pojechali hotelowym autokarem na stację kolejową, gdzie mieli wsiąść do dziennego ekspresu z Kairu, by przejechać dziesięciominutową trasę do Shellâl.

W grupie tej byli Allertonowie, Poirot, młodzieniec w brudnych, wełnianych spodniach i signor Richetti. Pani Otterbourne z córką pojechały na wycieczkę do Tamy oraz na wyspę Filae i miały dołączyć do grupy w Shellâl.

Kairski ekspres spóźnił się około dwudziestu minut. Kiedy wreszcie nadjechał, zrobił się wielki ruch i zamieszanie.

Miejscowi tragarze, wynoszący walizki z wagonów. Zderzali się z tragarzami wnoszącymi bagaże do pociągu.

W końcu nieco zasapany Poirot znalazł się w przedziale z częścią swych rzeczy pomieszanych z bagażami Allertonów i jeszcze jakimiś nic znanymi pakunkami, gdy tymczasem Tim wraz z matką przebywali w innym przedziale z resztą bagażu.

Przedział, do którego wszedł osamotniony Poirot, zajmowała starsza, wyniosła, biała lady o pomarszczonej twarzy, obwieszona gęsto brylantami, pełna pogardy dla większej części ludzkości.

Obdarzyła łaskawie Herkulesa Poirot porcją arystokratycznego splendoru i pogрузyła się w czytaniu jakiegoś amerykańskiego ilustrowanego pisma.

Naprzeciw niej siedziała niezgrabna młoda kobieta, lat około trzydziestu. Miała łagodne brązowe oczy, przypominające oczy psa, niesforne włosy i niebывałą wprost chęć dogodzenia wszystkim ludziom.

Co jakiś czas starsza dania rzucała spojrzenie znad czasopisma i wydawała jej polecenia: — Poskładaj pledy, Kornelio! Daj baczenie na mój neseser, kiedy przyjedziemy na miejsce! Nie pozwól w żadnym wypadku, by go ktoś dotykał! Pamiętaj o nożu do rozcinania papieru!

Podróż pociągiem trwała krótko. Po dziesięciu minutach przybyli na molo, gdzie czekał na nich S/S „Karnak”. Panie Otterbourne znajdowały się już na pokładzie.

„Karnak” był znacznie mniejszy od „Papirusa” czy „Lotosu” kursujących do Pierwszej Katarakty, które były nazbyt wielkie, by się przecisnąć przez śluzy Tamy Asuańskiej.

Pasażerowie weszli na pokład, a potem do wskazanych im kajut. Większość z nich otrzymała kajuty na spacerowym pokładzie, gdyż nic było wielkiego natłoku podróżnych. Całą część pokładu na dziobie zajmował oszklony salon, skąd pasażerowie mogli obserwować rozpościerającą się przed nimi rzekę. Na pokładzie poniżej była palarnia i mały bar, a jeszcze niżej jadalnia.



Poirot dopilnował, by mu wstawiono bagaże do kajuty, po czym wrócił na pokład, żeby popatrzeć na krzątaninę przy odpływie statku.

Przyłączył się do Rozali Otterbourne, która stała wychylona za burtę.

— Zatem jedziemy do Nubii! Cieszy się pani z tego?

Dziewczyna wciągnęła haust powietrza.

— Bardzo się cieszę! Czuję, że się naprawdę wreszcie od czegoś oddalamy.

Zrobiła gest ręką. Było coś dzikiego w bezmiarze wody przed nimi i wysokich, pozbawionych roślinności skalach, które schodziły wprost do rzeki. Można było dojrzeć tu i ówdzie opuszczone domostwa, obrócone w ruinę przez spiętrzone masy wód. Cała ta sceneria tchnęła melancholią i jakimś prawie złowieszczym czarem.

— Oddalamy... od ludzi — dorzuciła Rozalia Otterbourne.

— Prócz tych z pani grona — dodał Poirot. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Jest coś w tym kraju — rzekła — co budzi we mnie złe skłonności! Wydobywa na wierzch to, co nurtuje w głębi. Jakież to wszystko okrutne i niesprawiedliwe!

— A ja uważam, że nie należy sądzić wszystkiego po pozorach.

— Niech pan się przyjrzy matkom innych ludzi i mojej — zamruczała Rozalia. — Nic ma Boga prócz Sexu, a Salome Otterbourne jest jego Prorokiem. — Nie powinnam może tego mówić... — dodała po chwili milczenia.

Poirot machnął ręką.

— Dlaczego nie miałaby pani powiedzieć tego mnie? Niemało już się w życiu nasłuchałem. Jeśli naprawdę wszystko w pani wrze jak w garnku, trzeba pozwolić, by szumowiny wypłynęły na wierzch, a wtedy odeedzić je... do rzeki.

Zrobił ruch ręką, jakby coś wylewał do Nilu.

— Niezwykły z pana człowiek — rzekła Rozalia. Jej smutne usta skrzywiły się w uśmiechu. Nagle znieruchomiała i wykrzyknęła: — Przecież to pani Doyle z mężem! Nie spodziewałam się, że wybiorą się na tę samą wycieczkę! Linnet wyłoniła się właśnie z którejś ze środkowych kabin. Za nią podążał Simon. Poirot był wprost zaskoczony wyglądem Linnet. Była promienna i niezwykle spokojna. I jakaś zdecydowanie odpychająca w tym swoim szczęściu. Simon Doyle też uległ przeobrażeniu. Uśmiechał się szeroko i wyglądał jak uradowany młokos.

— Coś wspaniałego! — powiedział przechylając się za burtę. — Tak się cieszę na tę podróż! A ty, Linnet? To już nic jest jakaś tam zwykła wycieczka, ale wyprawa w tajemniczą głąb Egiptu.

— Masz słuszość — odpowiedziała mu niezwłocznie Linnet. — Jest tu rzeczywiście dość dziko!

Wsunęła rękę pod ramię Simona, który przycisnął ją mocno do swego boku.

— Spójrz, Linnet, odpływamy — wyszeptał. Statek zaczął się powoli oddalać od brzegu. Ruszali w siedmiodniową podróż do Drugiej Katarakty.

Rozległ się za nimi delikatny, perlisty śmiech. Linnet obejrzała się spiesznie. Stała tam Jacqueline de Bellefort, najwyraźniej uradowana.

— Witaj, Linnet. Nie spodziewałam się spotkać tu ciebie. Powiedziałaś przecież, że zostajecie na dziesięć dni w Asuanie. Co za niespodzianka!

Linnet odebrało mowę. Z wielkim wysiłkiem zdobyła się na upiorny, konwencjonalny uśmiech.

— Ja też nie spodziewałam się spotkać tu... ciebie.

— Naprawdę? — Jacqueline przeszła na drugą stronę pokładu.

Linnet zacisnęła rękę na ramieniu męża.

— Simon... Simon...

Pryśła bez śladu wrodzona mu dobroduszną radość życia. Był najwyraźniej wściekły. Zaciskał bezwiednie pięści, choć starał się, jak mógł, panować nad sobą. Potem oboje przesunęli się nieco dalej. Nie odwracając głowy Poirot słyszał poszczególnie słowa z ich rozmowy.

— Wracać... Niemożliwe... Moglibyśmy... — potem cichy śmiech, a następnie już wyraźniej głos Simona zropaczony, ale i surowy zarazem.

— Nie możemy ciągle uciekać, Lin! Teraz już musimy przez to wszystko przebrnąć.

Minęło parę godzin. Światło dnia zaczęło już gasnąć. Poirot stał w oszklonym salonie i spoglądał w dal. „Karnak” płynął właśnie wąską gardzielą. Skały piętrzyły się dziko po obu stronach rzeki, której głęboki nurt chyżo mknął między nimi. Znajdowali się już w Nubii.

Poirot posłyszał szelest. Tuż obok stanęła Linnet. Zaciskała dłonie, to je znów rozkurczała. W takim stanie Poirot nigdy jej nic widział. Było w niej coś z rozgniewanej dziewczynki.

— Wszystko napawa mnie lękiem — rzekła. — Nigdy dotąd nie doznawałam podobnych uczuć. Te dzikie skały, straszne i ponure pustkowia. Dokąd płyniemy? Co będzie z nami dalej? Boję się. proszę mi wierzyć. Wszyscy mnie nienawidzą. Nie przeżywałam jeszcze czegoś podobnego. Zawsze staram się być dobra dla ludzi! Tyle dla nich zrobiłam, a oni mnie nienawidzą! Wielu mnie nienawidzi! Wszyscy są do mnie wrogo nastawieni, prócz Simona. To straszne uczucie być otoczoną ludźmi, którzy mnie darzą nienawiścią.

— Co to wszystko znaczy, *madame*? Potrząsnęła głową.

— Myślę, że to... nerwy. Wszędzie dokoła wyczuwam jakieś niebezpieczeństwo.

Obejrzała się nerwowo.

— Czym się to wszystko skończy? — dodała szorstko. — Jesteśmy zamknięci. Niczym w pułapce. Nie ma stąd wyjścia. Trzeba brnąć dalej. Sama już nie wiem, gdzie teraz jestem...

Osunęła się na krzesło. Poirot przyglądał się jej z ponurą powagą. W jego spojrzeniu nie było śladu współczucia.

— Skąd ona wiedziała, że popłyniemy tym statkiem? — spytała Linnet. — Jak się o tym dowiedziała?

— Jak pani widzi, ma głowę na karku — rzekł Poirot.

— Czuję, że się nigdy od niej nie uwolnimy.

— Jest na to sposób i państwo mogli go zastosować — odrzekł Poirot. — Dziwię się nawet, że nic przyszło to pani do głowy. Wszak pieniądze nie stanowią tu chyba problemu... Dlaczego więc nie najęła pani sobie prywatnie łodzi *dahabiyeh*?

Linnet pokręciła bezradnie głową.

— Gdyby można było zawczasu to wszystko przewidzieć, ale któż mógł wiedzieć... Poza tym, wie pan, byłoby mi trudno... — aż poczerwieniała ze zniecierpliwienia.

— Pan nie rozumie połowy mych kłopotów. Muszę być bardzo ostrożna wobec Simona. On jest w absurdalny sposób drażliwy na punkcie pieniędzy. Z tego powodu, że mam ich tak wiele. Pragnął, żebym pojechała z nim do jakiejś małej miejsciny w Hiszpanii i sam chciał finansować naszą podróż poślubną. Jakby to istotnie coś znaczyło! Mężczyźni są głupi. Simon musi dopiero przywyknąć do życia wśród wygod. Sam pomysł wynajęcia *dahabiyeh*, jako niepotrzebny wydatek, już go przygnębia. Muszę go stopniowo uczyć wygodnego życia...

Uniosła głowę i zagryzła wargę ze złością, jakby uświadomiła sobie, że rozprawiała o swych kłopotach w mało powściągliwy sposób.

— Muszę się przebrać — rzekła wstając. — Proszę mi wybaczyć, panie Poirot. Zdaje się, że powiedziałam mnóstwo bredni.

# Rozdział VIII

Pani Allerton, ubrana w wieczorową suknię, w której wyglądała łagodnie i nobliwie, zeszła o dwa piętra niżej do jadalni. Syn dogonił ją dopiero przy samych drzwiach.

— Przepraszam, droga manio! Już myślałem, że się spóźnię.

— Ciekawa jestem, gdzie nas posadzą?

Jadalnia zastawiona była stolikami. Pani Allerton czekała, aż steward usadzi grupkę gości i podejdzie, by zająć się nią i synem.

— Wiesz, zaprosiłam małego Herkulesa Poirot, żeby jadał przy naszym stole — powiedziała do Tima.

— Po co? Mamo! — Tim był najwyraźniej zaskoczony i zły.

Matka spojrzała na niego zdumiona, gdyż na ogół odznaczał się łagodnością.

— Masz coś przeciwko temu?

— Oczywiście! To nieokrzesany prostak!

— Mylisz się, Tim. Wcale się z tobą nie zgadzam.

— Po co nam zresztą zawierać znajomości z kimś obcym! To jest zawsze bardzo męczące, kiedy się przebywa na tak zatłoczonym statku. On będzie z nami rano, w południe i wieczór.

— Bardzo cię za to przepraszam, mój drogi — rzekła pani Allerton wyraźnie zdetonowana. — Sądziłam, doprawdy, że cię to zabawi. On miał tyle przeżyć. A ty przepadasz za kryminalnymi powieściami.

Tim chrząknął.

— Osobiście żałuję, żeś wpadła na tak genialny pomysł, mamo. Chyba nie da się już tego zmienić.

— Ależ Tim! Przecież to nie wypada! — Trzeba wice będzie się z tym pogodzić.

W tejże właśnie chwili nadszedł steward i poprowadził ich do stolika.

Pani Allerton poszła za nim, a na jej twarzy malowało się zdziwienie. Tim był zazwyczaj łagodny i łatwy we współżyciu. Nie spodziewała się po nim tak gwałtownej reakcji. To było coś więcej niż typowo brytyjska niechęć i nieufność do cudzoziemców. Zawsze był zadeklarowanym kosmopolitą.

— Jakże trudno jest zrozumieć mężczyzn — westchnęła. — Nawet ci najbliżsi i kochani miewają nieoczekiwane reakcje i odezucia.

Kiedy zajęli już miejsca, spiesznie i cicho wszedł do jadalni Poirot. Przystanął na chwilę kładąc rękę na oparciu trzeciego krzesła.

— Czy naprawdę, *madame*, mogę skorzystać z pani łaskawego zaproszenia?

— Oczywiście! Proszę usiąść.

— Jestem pani niesłychanie wdzięczny. Zaniepokoiła się, gdyż zdawało jej się, że Poirot siadając przy stole spojrział przelotnie na Tima, który nie potrafił ukryć nadąsanej miny.

Pani Allerton zajęła się więc stwarzaniem przyjemnej atmosfery. Kiedy zjedli zupę, wzięła do ręki listę gości, która leżała obok jej nakrycia.

— Spróbujmy zidentyfikować każdą z tych osób — zaproponowała wesoło. — To mnie zawsze bardzo bawi.

— Pani Allerton i pan Tim Allerton — zaczęła czytać. — To nietrudno odgadnąć. Panna de Bellefort. Widzę, że ją posadzono przy stole razem z paniami Otterbourne. Ciekawa jestem, jak będą znosić się nawzajem z Rozalią. Kogóż to mamy następnie. Doktor Bessner? Kto potrafi zidentyfikować doktora Bessnera?

Zerknęła bokiem na stół, przy którym siedziało czterech panów.

— Myślę, że to ten tęgi z wąsami i gładko wygoloną głową. Jest, jak sądzę, Niemcem. Widać, że mu bardzo smakuje zupa...

Dolatywały ich bowiem jakieś odgłosy mlaskania.

— Panna Bowers — ciągnęła pani Allerton. — Spróbujemy odgadnąć, która to panna Bowers! Mamy tu parę kobiet. Ach, lepiej zostawmy to na później. Teraz pan i pani Doyle. Chłuba naszego towarzystwa! Ona jest naprawdę piękna. Jaką ma śliczną suknię!

Tim obrócił się w krześle. Linnet z mężem oraz pan Andrew Pennington dostali stolik w rogu sali.

— To jakaś strasznie prosta kreacja — zauważył. — Kawalek materiału przepasany ozdobnym sznurkiem.

— Iście męski, wdzięczny opis sukni, która jest modelem za osiemdziesiąt gwinei, mój drogi — stwierdziła pani Allerton.

— Nie pojmuję, dlaczego kobiety płacą tyle pieniędzy za suknię — rzekł Tim. — Uważam to za absurd.

Pani Allerton podjęła na nowo zabawę w identyfikację gości.

— Pan Fanthorp. To zapewne jeden z tej czwórki przy stole. Niezwykle spokojny młodzieniec, który cały czas milczy. Miła twarz, rozważny... a przy tym inteligentny.

— Na pewno jest inteligentny — potwierdził Poirot.

— Nic nie mówi, ale słucha uważnie, a przy tym także obserwuje. Robi dobry użytek ze swych oczu. Nie jest to jednak typ człowieka, który dla przyjemności przywędrował w te strony. Ciekaw jestem, co on tutaj robi?

— Pan Ferguson? — odeztywała pani Allerton.

— Czuję, że jest to ten nasz antykapitalistycznie nastawiony znajomy. Panie Otterbourne? O nich wiemy wszystko. Pan Pennington? Prezentuje się nieźle. Sądzę, że...

— Daj spokój, mamó! — wtrącił Tim.

— Uważam, że jest bardzo przystojny, ale jednocześnie strasznie oschły — oświadczyła pani Allerton.

— Ma bardzo brutalne szczęki, często czyta się w gazetach o takich typach. Przeważnie działają oni przy... albo raczej... na Wall Street. Wygląda na bardzo zamożnego. Następny to pan Herkules Poirot, który doprawdy marnuje swoje talenty. Nie mógłbyś wymyślić jakiejś zbrodni dla niego, Tim?

Ten w dobrej intencji wypowiedziany żart znów najwyraźniej zirytował syna, który skrzywił się kwaśno.

— Pan Richetti — powiedziała spieszenie pani Allerton.

— Nasz zaprzyjaźniony włoski archeolog. Następnie panna Robson, a na koniec panna Van Schuyler. Z tą nie będzie trudności. To la brzydka, stara Amerykanka, która zapewne uważa się na statku za królową i usiłuje zachować jak największy dystans i nie odzywać się do nikogo z wyjątkiem pani uznanych znakomitości. Jest niebywała, prawda? Istny relikwiny minionej epoki! Dwie kobiety przy niej to zapewne panna Bowers i panna Robson. Ta chuda w binoklach to chyba sekretarka, a ta druga to uboga krewna. Żalosne dziewczę. Wygląda jednak na zadowoloną z losu, choć traktowana jest jak czarna niewolnica. Wydaje mi się, że stosunki między panną Bowers, sekretarką, a panną Robson są dalekie od serdeczności.

— Mylisz się, mamó! — wtrącił z uśmiechem Tim. Widać nagle odzyskał swój zwykły pogodny nastrój.

— Skąd wiesz?

— Byłem w saloniku tuż przed obiadem, kiedy ta stara wiedźma powiedziała do swej towarzyszki: „Gdzie panna Bowers? Sprowadź ją tu natychmiast, Kornelio!” — a Kornelia podreptała jak posłuszne psisko.

— Będę musiała porozmawiać z panną Van Schuyler — rzekła w zadumie pani Allerton.

— Ofuknie cię, mammo!

— Nie sędzę. Znajdę na nią sposób! Najpierw siądę w pobliżu niej i będę mówiła cicho, lecz dobitnie, wytwornym tonem o każdym z mych arystokratycznych krewnych i przyjaciół, który mi tylko przyjdzie na myśl. Sędzę, że cudowny skutek wyrze, kiedy wspomnę mimochodem o mym dalekim kuzynie w prostej linii, księciu Glasgow.

— Jesteś pozbawiona skrupułów, mammo!

Badacz natury ludzkiej znalazłby w wydarzeniach, które nastąpiły po zakończeniu obiadu, niemało humorystycznych momentów.

Młodzieniec o wywrotowych poglądach (okazało się, że jest to istotnie pan Ferguson, jak wnioskowano uprzednio) wyniósł się do palarni wzgardziwszy towarzystwem gości zgromadzonych w oszklonym salonie na najwyższym pokładzie. Panna Van Schuyler zdobyła sobie najlepsze i osłonięte od przeciągów miejsce podehodząc do stolika, gdzie siedziała pani Otterbourne.

— Przepraszam — rzekła — ale na pewno tutaj zostawiłam moją robótkę z drutami.

Przygwożdżona jej hipnotycznym spojrzeniem osoba w turbanie chrząknęła i podniosła się z miejsca. Panna Van Schuyler rozsiadła się przy stoliku w otoczeniu swej świty.

Pani Otterbourne zajęła miejsce w pobliżu i zaryzykowała parę rozmaitych uwag, które potraktowano z tak chłodną uprzejmością, że wkrótce dała temu spokój. Panna Van Schuyler trwała już odtąd w dumnej izolacji.

Linnet i Simon Doyle siedzieli z Allertonami. Doktor Bessner wybrał sobie za towarzysza małomównego pana Fanthorpa. Jacqueline de Bellefort siedziała samotnie z książką.

Rozalia Otterbourne okazywała wyraźny niepokój. Pani Allerton próbowała parokrotnie wciągnąć ją do swego towarzystwa, ale dziewczyna zareagowała na to niechęcią.

Herkules Poirot spędził wieczór słuchając wywodów pani Otterbourne na temat jej literackiej misji.

Kiedy wracał owego wieczora do kabiny, natknął się na Jacqueline de Bellefort. Stała wychylona za burtę, a kiedy odwróciła głowę, Poirotom wstrząsnął wyraz głębokiego cierpienia malujący się na jej twarzy. Nie dopatrywał się w niej ni śladu beztroskiej radości, złośliwego wyzwania ani leż mrocznego płomienia triumfu.

— Dobranoc, *mademoiselle*!

— Dobranoc panu — odpowiedziała i zawahała się na moment. — Jest pan zapewne zaskoczony moją tu obecnością?

— Nic tyle zaskoczony, co pełen... wielkiego współczucia — odparł z powagą w głosie Poirot.

— Współczucia? Dla mnie?

— Tak jest. Wybrała pani bardzo niebezpieczną grę. I tak jak my ruszyliśmy na wyprawę tym statkiem, podobnie i pani ruszyła w swą prywatną podróż, rwącą rzeką, wśród niebezpiecznych skal zdążając ku nie znanym jeszcze nieszczęściom, które mogą z biegiem czasu się wydarzyć...

— Po co mi pan to wszystko mówi?

— Bo taka jest prawda. Przecięła pani więzy, które trzymały ją na bezpiecznym gruncie. I wątpię, czy uda się pani zawrócić jeszcze z drogi, jeśli pani tego nagle zapragnie.

— Ma pan istotnie słuszość — rzekła powoli. Odrzuciła do tyłu głowę. — Nie ma rady. Trzeba iść za własną gwiazdą, tam, gdzie ona prowadzi.

— Niech się pani ma na baczności, bo może to być fałszywa gwiazda.

Jacqueline roześmiała się naśladując piskliwe wrzaski poganiaczy osłów.

— To bardzo nieszczęśliwa gwiazda, proszę pana, która już leci w dół...

Zasypiał prawie, kiedy go doleciał szmer rozmowy.

Był to głos Simona Doyle'a, powtarzający te same słowa, które Poirot usłyszał w chwili, kiedy statek odpływał z Shellâl.

— Teraz już musimy przez to wszystko przebrnąć. Tak — pomyślał sobie w duchu Poirot. — Teraz już musimy przez to wszystko przebrnąć...

Nie czuł się szczęśliwy.



# Rozdział IX

Nazajutrz, wczesnym rankiem, statek przybił do Ez-Sebúa.

Kornelia Robson z promienną twarzą i w kapeluszu z wielkim rondem była jedną z pierwszych osób, które pospieszyły na ląd. Nie umiała należycie zachować dystansu wobec ludzi. Nie potrafiła być wobec nich opryskliwa. Miała łagodne usposobienie i była życzliwie nastawiona do wszystkich ludzi.

Nie drgnęła też na widok pana Poirot w białym garniturze, różowej koszuli z wielką ogromną muchą, w korkowym hełmie na głowie, jak zapewne drgnęłaby arystokratyczna panna Van Schuyler.

A kiedy szli obok siebie aleją sfinksów, chętnie odpowiadała na jego zdawkowe pytania, będące wstępem do rozmowy.

— Towarzyszki pani nie zeszły na brzeg, by obejrzeć świątynię?

— Widzi pan, kuzynka Maria, to jest panna Van Schuyler, niestety nigdy nie wstaje o tak wczesnej porze. Niezwykle dba o swoje zdrowie. Uważała, że panna Bowers, wykwalifikowana pielęgniarka, będzie jej do czegoś potrzebna. Kuzynka Maria powiedziała, że ta świątynia to żaden wielki zabytek, ale uznała, że dla mnie nadaje się w sam raz do obejrzenia, za co jestem jej straszliwie wdzięczna...

— Bardzo to uprzejmie z jej strony — odpowiedział chłodno Poirot.

Prostoduszna Kornelia bez śladu podejrzenia przytaknęła skwapliwie.

— Ona jest taka dobra! Czy to nic nadzwyczajna łaska z jej strony, że zabrała mnie w taką podróż? Miałam, doprawdy szczęście. Z początku wprost nie mogłam w to uwierzyć, kiedy zaproponowała mamie, Że mnie weźmie ze sobą.

— Jest pani tym zachwycona, jak widzę?

— To wszystko jest takie cudowne! Pojechaliśmy do Włoch! Byłam w Wenecji, Padwie i Pizie, a potem w Kairze. Niestety, kuzynka Maria nie czuła się dobrze, toteż nie mogłam wiele zwiedzić. A teraz ta wspaniała podróż do Wadi Halfa!

— Ma pani szczęśliwe usposobienie, *mademoiselle* — oświadczył z uśmiechem Poirot i popatrzył na milczącą, chmurną Rozalię, która szła samotnie przed siebie.

— Prawda, że ona jest bardzo ładna? — powiedziała Kornelia śledząc spojrzenie pana Poirot. — Szkoda, że ma taką nadętą minę. Jest, co prawda, bardzo angielska. Ale nie taka śliczna jak pani Doyle, którą uważam za najśliczniejszą i najelegantszą kobietę na świecie. A jej mąż to niemal wielbi ziemię, po której stąpa pani Doyle. Prawda? I ta siwowłosa pani jest także bardzo wytworna,

nie sądzi pan? Jest, zdaje się, kuzynką jakiegoś księcia. Siedziała blisko nas i właśnie o tym mówiła zeszłego wieczora. Ale ona osobiście nie ma chyba żadnego tytułu, prawda?

I paplała tak, dopóki przewodnik wycieczki nie nakazał im, aby stanęli.

— Świątynia ta — zaczął charakterystycznym tonem — była poświęcona egipskiemu bogu Amonowi i bogu Słońca Re–Harachti, którego symbolizowała głowa jastrzębia...

Zaczęły się monotonne objaśnienia. Doktor Bessner czytał coś po niemiecku półgłosem z bedekera, gdyż wolał korzystać z drukowanych objaśnień. Tim Allerton trzymał się na uboczu. Jego matka przełamywała pierwsze lody w rozmowie, którą nawiązała z, pełnym rezerwy panem Fanthorpem. Andrew Pennington, trzymając pod rękę Linnet Doyle, słuchał uważnie objaśnień, wyraźnie zaintrygowany wymiarami, które podawał przewodnik.

— Sześćdziesiąt sześć stóp wysokości? Czy to możliwe? Sądziłem, że jest znacznie mniej... Niebywała postać ten Ramzes! Symbol żywotnej siły Egiptu!

— I wielki biznesmen, wujku — dodała Linnet. Andrew Pennington spojrzał na nią z uznaniem.

— Pięknie dziś wyglądasz, Linnet. Trochę się o ciebie niepokoiłem ostatnio. Wyglądałaś bardzo mizernie. Byłaś ciągle czymś straszliwie zdenerwowana.

Gawędząc powrócili na statek. „Karnak” ruszył w dalszą drogę. Krajobraz był teraz mniej surowy. Pokazały się palmy i uprawne pola. Zmiana krajobrazu położyła kres tajemniczemu przygnębieniu, któremu ulegli podróżni. Tim Allerton nie popadał już w zamyślenie, Rozalia była znacznie mniej ponura, Linnet zaś robiła wrażenie osoby pokrzepionej na duchu.

— Wielki to nietakt mówić o interesach z młodą mężatką podczas miodowego miesiąca — odezwał się pan Pennington. — Zebrało się jednak parę spraw...

— I cóż w tym złego, wujku!

Linnet była z miejsca gotowa przystąpić do ich omawiania.

— Spodziewam się, że moje małżeństwo pociągnie za sobą różne zmiany...

— No właśnie! Dlatego potrzebny mi jest twój podpis na paru dokumentach — powiedział Andrew Pennington.

— Załatwmy to od razu!

Pennington rozejrzał się dokoła. W rogu oszklonego salonu było zupełnie pusto. Większość pasażerów przebywała na otwartym pokładzie między salonem a kabinami. Wewnątrz pozostali tylko: przy środkowym stoliku pijący piwo pan Ferguson, który w wyciągnąwszy przed siebie nogi w brudnawych, wełnianych spodniach, pogwizdywał z cicha w przerwach między jednym a drugim łykiem, tudzież pan Poirot siedzący tuż przy szklanej ścianie, wpatrzony z uwagą w roztaczający się przed nim krajobraz, oraz w narożniku panna Van Schuyler zaczytana w książce na temat Egiptu.

— Świetnie! — odrzekł pan Pennington i wyszedł z salonu.

Linnet i Simon uśmiechnęli się do siebie, a trwało to dłuższą chwilę, nim blady z początku uśmiech osiągnął swą pełnię.

— Wszystko w porządku, moja miła? — zapytał Simon.

— Jak dotąd, tak. Zabawne, ale już nie czuję się taka roztrzęsiona.

— Jesteś nadzwyczajna! — odrzekł Simon z przekonaniem.

Powrócił właśnie Pennington. Niósł ze sobą plik gęsto zapisanych dokumentów.

— Litości! — wykrzyknęła Linnet. — Mam to wszystko podpisać?

— Będzie to wymagało trochę zachodu — stwierdził przeproszającym tonem — ale chciałbym mieć twoje sprawy w należyтым porządku. Najpierw len akt dzierżawy posesji przy Piątej Alei, następnie idą Koncesje Terenów Zachodnich.

Pennington mówił bez przerwy, szeleścił papierami układając dokumenty we właściwym porządku. Simon ziewał.

Otworzyły się drzwi i wszedł pan Fanthorp. Rozejrzał się dokoła bez wyraźnego celu, ruszył przed siebie i stanął obok Poirota spoglądającego na jasny błękit wody i żółte złogi piasku.

— Złóż tu tylko swój podpis — stwierdził pan Pennington kładąc dokument przed Linnet i wskazując palcem miejsce. Linnet wzięła dokument do ręki i zaczęła go przeglądać, potem znów obejrzała pierwszą stronę, sięgnęła po wieczne pióro, które Pennington położył obok, i podpisała się Linnet Doyle.

Pennington odebrał dokument i podsunął następny. W pobliżu zjawił się Fanthorp i z wyrazem zainteresowania przyglądał się przez boczne okno czemuś na brzegu, który właśnie mijali.

— To tylko transfer tytułu własności — wyjaśnił Pennington. — Nie musisz tego czytać.

Linnet przebiegła szybko wzrokiem treść dokumentu, a Pennington podsunął jej następny. Znow Linnet uważnie przejrzała treść.

— Rzetelny pod każdym względem. Nic specjalnego. Zwykła prawnicza terminologia — objaśnił Pennington.

Simon znow ziewnął.

— Chyba nie zamierzasz czytać tego wszystkiego, moja droga? Zajmie ci to czas do samego lunchu albo nawet dłużej — powiedział.

— Zawsze czytam dokładnie wszelkie dokumenty — odrzekła Linnet. — Ojciec mnie tego nauczył.

Uważał, że mogą się trafić błędy w przepisywaniu.

Pennington zaśmiał się dość oschle.

— Jesteś wielką damą interesów, Linnet — stwierdził.

— Jestem znacznie mniej skrupulatny od ciebie — dorzucił z uśmiechem Simon. — Nigdy nie czytuję urzędowych papierów. Składam podpis w odpowiednim miejscu, gdzie mi każą, i sprawa załatwiona.

— Co za straszne niedbalstwo! — odpowiedziała Linnet z dezaprobatą.

— Nie mam głowy do interesów — stwierdził radośnie Simon. Nigdy zresztą nie miałem. Każą mi podpisać, to podpisuję. Całkiem po prostu!

Andrew Pennington przyglądał się Simonowi w zadumie.

— Jest to czasami dosyć ryzykowne — oświadczył sucho i zacisnął górną wargę.

— Nonsens — odparł Simon. — Nie należę do tych, co wszędzie widzą tylko oszustwo. Jestem z natury ufny, a to się naprawdę opłaca. Jeszcze mnie nikt dotąd nie wywiódł w pole!

Nagle, ku zdumieniu wszystkich, milczący pan Fanthorp przyskoczył do Linnet.

— Ufam, że nie poczyta mi pani tego za natręctwo — powiedział. — Pragnę wyrazić mój wielki podziw dla pani iście prawniczej skrupulatności w interesach. W moim zawodzie... jestem prawnikiem... spotykam damy, niestety, zupełnie tej cechy pozbawione... Co to za chwalebny obyczaj nie podpisywać dokumentu, póki się go dokładnie nie przeczyta. Nadzwyczaj wprost chwalebny!

Uklonił się lekko, ciągle jeszcze z rumieńcem na twarzy, i odwróciwszy się zaczął na powrót obserwować brzeg Nilu.

— Bardzo jestem panu... wdzięczna... — rzekła niepewnie Linnet. Zagryzła wargę, by poskromić chichot na widok nienaturalnej wprost powagi młodzieńca.

Andrew Pennington był wyraźnie poirytowany. Simon natomiast nie bardzo pewny, czy go to bawi, czy złości.

Koniuszki uszu pana Fanthorpa płonęły czerwienią.

— Proszę o następny dokument — rzekła z uśmiechem Linnet.

Pennington był jednak najzupełniej wytrącony z równowagi.

— Myślę, że lepiej będzie odłożyć to na później — rzekł chłodno. — Pan Doyle już stwierdził, że to potrwa do lunchu, jeśli będziesz chciała wszystko przeczytać. Stracimy sposobność oglądania

krajobrazu. Zresztą najważniejsze były tylko te dwa pierwsze dokumenty. Resztę załatwimy potem.

— Strasznie tu duszno — zauważyła Linnet. — Wyjdźmy na powietrze.

Cała trójka wyszła przez wahadłowe drzwi. Herkules Poirot odwrócił się. Przeniósł pełne zadumy spojrzenie na plecy pana Fanthorpa, potem na wygodnie rozpartą postać pana Fergusona, który odechylił głowę do tyłu pogwizdując pod nosem, a następnie zerknął w stronę panny Van Schuyler siedzącej sztywno w rogu salonu. Ta z kolei obserwowała bacznie pana Fergusona.

Otworzyły się wahadłowe drzwi od strony lewej burty i wbiegła Kornelia.

— Strasznie długo cię nie było — zganiała ją starsza dama. — Gdzie się podziewałaś?

— Przepraszam, kuzynko Mario. Nic było wełny, tam gdzie mówiłaś. Znalazłam ją w zupełnie innym pudełku.

— Jesteś beznadziejna, jeśli chodzi o szukanie rzeczy. Wiem, że masz dobre chęci, moja droga, ale postaraj się być trochę szybsza i bystrzejsza. Wystarczy, że się trochę skupisz...

— Wybacz, kuzynko Mario. Jestem, niestety, strasznie głupia.

— Można przestać być głupią! Trzeba się tylko o to postarać. Zabrałam cię na wycieczkę, ale oczekuję w zamian trochę dbałości z twojej strony.

Kornelia spłonęła rumieńcem i raz, jeszcze przeprosiła starą damę.

— Gdzie jest panna Bowers? Już dziesięć minut temu powinnam była zażyć krople. Proszę cię, idź jej poszukać. Doktor zaznaczył, że bardzo ważne...

W tejże właśnie chwili weszła panna Bowers niosąc kieliszek z lekarstwem.

— Oto krople, panno Van Schuyler.

— Powinnam była zażyć je o jedenastej — upomniała ją starsza dama. — Nic ma dla mnie nic obrzydliwszego nad niepunktualność!

— Ma się rozumieć — odpowiedziała panna Bowers. Spojrzała na zegarek, który miała na ręce. — Jest dokładnie za pół minuty jedenasta.

— Na moim jest już dziesięć po jedenastej.

— Mój zegarek na pewno chodzi dobrze. To doskonały chronometr. Nigdy się nie późni ani spieszy — stwierdziła z niewzruszonym spokojem panna Bowers. Panna Van Schuyler połknęła lekarstwo.

— Czuję się zdecydowanie gorzej — powiedziała krótko.

— Co za smutna wiadomość, panno Van Schuyler — rzekła panna Bowers. Nie było jednak smutku w jej głosie, ton był całkowicie obojętny. Niewątpliwie robiła podobne uwagi w sposób najzupełniej mechaniczny.

— Jak tu gorąco — syknęła stara dama. — Proszę mi znaleźć fotel na pokładzie, panno Bowers! Kornelio, przynieś mi robótkę! Uważaj, by nie upuścić jej na ziemię. Będiesz mi potem potrzebna przy przewijaniu wełny.

Orszak opuścił salon.

Pan Ferguson westchnął i zaszurał nogami.

— Mój Boże, z jaką ochotą skreśliłbym kark tej damie — obwieścił głośno światu.

— Nie cierpi pan widać kobiet tego typu? — spytał zaciekawiony Poirot.

— Nie cierpię? Ależ oczywiście! Czy zrobiła kiedyś coś pożytecznego dla ogółu? Czy ruszyła palcem, żeby zarobić na życie? Żeruje tylko na innych. Jest wstrętnym, przeklętym pasożytem. Wielu jest ludzi na tym statku, bez których świat mógłby się obejść.

— Naprawdę? — zdziwił się Poirot.

— Ależ oczywiście. A ta młoda osoba, która niedawno podpisywała przelewy własności akcji i tak się tu mądrzyła? Setki, tysiące nieszczęsnych robotników harują za parę groszy, żeby miała jedwabne pończochy i inne wymyślne luksusy. Mówiono mi, że to jedna z najbogatszych kobiet w Anglii, która nigdy nic splamiła rąk pracą.

— Kto to panu powiedział, że jest najbogatsza w Anglii?

Pan Ferguson rzucił na Poirota wojownicze spojrzenie.

— Ktoś, z kim panu nie wypadałoby zapewne rozmawiać. Ktoś, kto własnymi rękami zarabia na życie i wcale się tego nie wstydzi. Żaden z tych wystrojonych, fircykowatych nicponi — odrzekł i spojrzał nieprzychylnym wzrokiem na muszkę i różową koszulę pana Poirot.

— A ja pracuję i też wcale się tego nie wstydzę — rzekł pan Poirot w odpowiedzi na to spojrzenie.

Pan Ferguson tylko sapnął.

— Powinno się ich wystrzelać, co do jednego — stwierdził.

— Zaczny młodzieńcze, ileż w tobie upodobania do gwałtownych czynów! — zawołał Poirot.

— Czy jest inny jaki sposób, żeby było dobrze? Trzeba obalać i niszczyć, żeby móc budować na nowo!

— Jest to z pewnością łatwiejsze, głośniejsze i bardziej widowiskowe! — zauważył Poirot.

— Czy pan ciężką pracą zarabia na życie? Założę się, że nie. Pośrednik w interesach zapewne, co?

— Nie jestem żadnym pośrednikiem, lecz grubą rybą — oświadczył pan Poirot nieco aroganckim tonem.

— To kim pan jest?

— Detektywem! — odpowiedział Poirot ze skromną miną, jakby oświadczył: jestem monarchą!

— Na miły Bóg! — młodzieniec był wyraźnie zaskoczony. — Chce pan przez to powiedzieć, że ta dziewczyna istotnie zatrudnia tajniaka? Czyż tak bardzo drży o swoją skórę?

— Nie mam nic wspólnego z państwem Doyle — odpowiedział chłodno Poirot. — Przebywam na urlopie.

— Zażywa pan odpoczynku, co?

— A pan? Chyba też na urlopie?

— Na urlopie? — zachichotał pan Ferguson. — Badam stan pewnych spraw — dodał tajemniczo.

— Bardzo ciekawe — mruknął Poirot i dyskretnie ulotnił się na pokład.

Panna Van Schuyler usadowiła się w najlepszym z kątów. Przed nią klęczała Kornelia z wyciągniętymi rękami i podtrzymywała motek szarej wełny. Panna Bowers siedziała sztywno, zajęta czytaniem „Saturday Evening Post”.

Pan Poirot przechadzał się po pokładzie wzdłuż prawej burty, a kiedy mijał rufę statku, omal nie zderzył się z damą, która przestraszona obróciła w jego stronę twarz — śniade, bystre oblicze kobiety z Południa. Była schludnie ubrana na czarno; stała zajęta rozmową z roslym, silnym mężczyzną w mundurze, zapewne jednym z okrętowych mechaników. Na twarzach obojga malowało się jakieś dziwne uczucie niepokoju i winy.

Poirot ciekaw był, o czym ci dwoje rozmawiają. Obszedł rufę i kontynuował spacer wzdłuż lewej burty. Drzwi jednej z kajut otworzyły się, wyszła z niej pani Otterbourne i omal nie wpadła w ramiona Poirota. Miała na sobie wieczorową suknię z czerwonego atłasu.

— Proszę mi wybaczyć — rzekła. — Przepraszam, kochany panie Poirot. Ale kołysze! Właśnie to kołysanie, wie pan... Pierwszy raz mi się zdarza, że mam nogi jak z waty. Niechby wreszcie ten statek płynął spokojnie... Chwyciła się ramienia Poirota.

— Nic wytrzymuję tego huśtania. Niezbyt dobrze znoszę morskie podróże. Całe godziny jestem zostawiana na pastwę losu. Ta moja córka! Cienia współczucia, żadnego zrozumienia dla biednej matki, która dla niej tyle zrobiła. — Fani Otterbourne wybuchnęła płaczem. — Harowałam na nią, zapracowywałam się po łokcie, po uszy... Mogłam ongiś pójść za głosem wielkiej miłości... tak...

ale ja się poświęciłam bez reszty... I co z tego! Powiem jednak wszystkim, jak ona mnie zaniedbuje, jak siłą zmusza mnie do tej podróży, która mnie śmiertelnie... nudzi. Pójdę i wszystko im powiem.

Już ruszyła przed siebie, ale Poirot powstrzymał łagodnie jej zapędy.

— Przyślę ją do pani, *madame*. Najlepiej będzie, jak pani wróci do kajuty.

— Nie! Chcę, żeby się wszyscy na statku o tym dowiedzieli!

— To zbyt niebezpieczne, *madame*. Woda jest bardzo niespokojna. Jeszcze pani wypadnie za burtę.

Pani Otterbourne spojrzała na Poirota z niedowierzaniem.

— Tak pan uważa?

— Istotnie, *madame*.

Udało się. Pani Otterbourne zachwiała się, zatoczyła i wycofała się do kajuty.

Nozdrza pana Poirot drgnęły parokrotnie. Pokiwał głową i pomaszerował w stronę, gdzie siedziała Rozalia w towarzystwie pani Allerton i Tima.

— Matka pani potrzebuje, *mademoiselle*!

Rozalia była roześmiana i niemal szczęśliwa. Teraz twarz jej spochmurniała. Rzuciła w stronę Poirota krótkie, podejrzliwe spojrzenie i spiesznie się oddaliła.

— Nie mogę pojąć tej istoty! — odezwała się pani Allerton. — Ma bardzo zmienne usposobienie. Jednego dnia jest serdeczna, ale nazajutrz zdecydowanie nieuprzejma.

— Do cna rozpuszczona złoźnica! — zauważył Tim.

Pani Allerton pokręciła przecząco głową.

— Nie sędzę. Uważam, że jest nieszczęśliwa. Tim wzruszył ramionami.

— Każdy z nas przecież ma także własne zmartwienia — dodał twardo i dobitnie.

Dało się słyszeć donośne buczenie.

— Lunch! — zawołała radośnie pani Allerton.

— Umieram wprost z głodu!

Tego wieczoru Poirot dostrzegł, że pani Allerton siedzi obok panny Van Schuyler i prowadzi z nią rozmowę. Kiedy przechodził obok, pani Allerton przymknęła na moment jedno oko.



— Oczywiście, w zamku Calfries... Drogi książę... — mówiła.

Kornelia, uwolniona od wszelkich posług, przebywała na pokładzie. Słuchała doktora Bessnera, który opowiadał jej w sposób niezbyt lotny wszystko, co o egiptologii wiedział z bedekera. Dziewczyna była cała zamieniona w słuch.

— Poza tym ten świat nie jest wiele wart — powiedział Tim Allerton, który stał oparty o burtę.

— To niesprawiedliwe, że niektórzy ludzie mają wszystko — stwierdziła Rozalia.

Pan Poirot westchnął. Był rad, że nie jest już młody.

# Rozdział X

W poniedziałek rano można było na pokładzie „Karnaku” usłyszeć najrozmaitsze głosy zachwyty i zadowolenia. Statek stał przycumowany do brzegu, a w odległości paruset metrów w blasku porannego słońca wznosiła się ogromna świątynia wykuta cała w skalnym bloku. Cztery wyciosane w kamieniu olbrzymie postacie wpatrywały się wieczyście w Nil i w tarcze wschodzącego słońca.

— Ach, panie Poirot! — zawołała raptem Kornelia. — Czy to nie cudowne! Jakież są ogromne i pełne spokoju! Kiedy się na nie patrzy, to człowiek czuje się mały i nędzny jak robak, a wszystko robi się takie nieważne, prawda?

— Bardzo... imponujące — zauważył pan Fanthorp, który stał w pobliżu.

— Wspaniale, co? — zawołał nadechodzący Simon Doyle. — Wie pan, nic jestem amatorem turystyki czy też zwiedzania świątyń — rzekł konfidencko do Poirota — ale laka rzecz, rozumie pan, robi wrażenie. Dawni faraonowie to byli na pewno nadzwyczajni ludzie!

— Okropnie się cieszę, że wybrałem się na tę wycieczkę — szepnął do Poirota, gdy zostali sami. — Wyszło to nam na dobre! Aż dziw bierze, jak to się stało, ale to fakt. Linnet wzięła się w garść. Uważa, że to dlatego, iż nareszcie stawiała odważnie czoła całej tej sprawie...

— Zdaje mi się, że to całkiem możliwe...

— Powiada, że poczuła się okropnie, kiedy zobaczyła na pokładzie Jackie, ale nagle teraz przestało ją to obchodzić. Postanowiliśmy skończyć z tym kluczeniem przed Jacqueline. Przestaniemy jej unikać, dając do zrozumienia, że wcale nas nie obchodzą te jej osobliwe wyczyny i że się po prostu zachowuje okropnie i to wszystko. Myślała, że będzie nam grać na nerwach, ale przestaliśmy już teraz na to reagować. Musi to wziąć pod uwagę.

— Naturalnie... — odrzekł w zamyśleniu Poirot.

— Lepiej więc być nic może, prawda?

— Oczywiście, że tak.

Po pokładzie szła Linnet. Była ubrana w miękką płócienną suknię w morelowym kolorze. Uśmiechała się. Przywitała Poirota bez szczególnego zapału, skinęła mu po prostu obojętnie głową i zabrała męża.

Herkules Poirot zdał sobie sprawę, co go nawet przez moment bawiło, że swym krytycznym nastawieniem nie pozyskał sympatii u Linnet, która przywykła już do tego, że ludzie bezkrytycznie akceptują ją samą oraz jej postępowanie.

Poirot grzeszył więc poważnie w tym względzie.

— Jakże się ta dziewczyna zmieniła! — szepnęła pani Allerton zbliżając się do niego. — W Asuanie wyglądała na zgnębioną i smutną, ale dziś jest tak szczęśliwa, że aż strach bierze człowieka, że to może „zły znak”.

Zanim Poirot zdołał cokolwiek odpowiedzieć, dano sygnał do wymarszu na wycieczkę. Urzędowy przewodnik wziął ich pod swą opiekę i całe towarzystwo ruszyło brzegiem rzeki na zwiedzanie Abu Simbel.

Poirot znalazł się w parze z Andrew Penningtonem.

— Pan jest pierwszy raz w Egipcie? — zapytał Amerykanina.

— Skądże znowu! Byłem tu w dziewięćset dwudziestym trzecim roku. Ale tylko w Kairze. Na wycieczkę w górę Nilu wybrałem się po raz pierwszy.

— Przyplłynął pan, o ile mi wiadomo, na „Carmanicu”? Tak przynajmniej mówiła pani Doyle.

Pennington spojrzał ostro na Poirota.

— Tak, oczywiście — przyznał.

— Jestem ciekaw, czy nie natknął się pan czasem na moich przyjaciół wracających z zagranicy, państwo Rushington Srnith?

— Nie przypominam sobie nikogo o tym nazwisku. Statek był przepelniony pasażerami, a pogoda bardzo niedobra. Wielu z nich przebywało w kajutach. Zresztą podróż statkiem trwa tak krótko, że trudno się zorientować, kto nim płynie.

— Tak, to prawda. Spotkanie z państwem Doyle było zapewne miłą niespodzianką? Nie wiedział pan, że się pobrali?

— Nie. Pani Doyle pisała o tym do mnie, ale list dotarł do mych rąk z opóźnieniem. Dopiero w parę dni po naszym nieoczekiwanym spotkaniu w Kairze.

— Zna ją pan chyba od niepamiętnych czasów?

— Tak, istotnie. Poznałem Linnet, gdy była... takim szkrabem. — Zrobił wymowny gest ręką. — Łączyła mnie z jej ojcem wieloletnia przyjaźń. Melhuish Ridgeway był niezwykłym człowiekiem i los mu sprzyjał niesłychanie.

— Córka jego weszła w posiadanie znacznego majątku, jak się domyślam...? Przepraszam... może to nietakt z mej strony, że o tym mówię...

Andrew Pennington był wyraźnie tym ubawiony.

— Ależ to żadna tajemnica! Linnet jest istotnie bogatą kobietą. Wszyscy o tym wiedzą.

— Niedawny kryzys na giełdzie wpłynął zapewne na wysokość notowań, bez względu na to, jak stoją interesy?

— Tak. W pewnym sensie, oczywiście. Istotnie, sytuacja jest obecnie nader trudna.

— Wyobrażam sobie jednak, że pani Doyle posiada zmysł do interesów — wymruczał Poirot.

— A jakże! Naturalnie. Linnet jest mądrą, praktyczną dziewczyną.

Właśnie przybyli do celu. Przewodnik zaczął mówić im na temat świątyni zbudowanej przez Wielkiego Ramzesa. Cztery olbrzymie posągi tegoż samego Ramzesa u wejścia, po dwa z każdej strony, wykute w litej skale, spoglądały z góry na rozproszoną gromadkę turystów.

Signor Richetti wzgardziwszy objaśnieniami przewodnika badał pilnie płaskorzeźby na cokółach olbrzymich posągów po obu stronach wejścia, przedstawiające murzyńskich i syryjskich jeńców.

Kiedy weszli do świątyni, poraził ich mrok tam panujący. Przewodnik zwrócił uwagę zwiedzających na świetnie zachowaną polichromię płaskorzeźb, ale gromada zaczęła się już rozbijać na grupki.

Doktor Bessner odeztywał coś patetycznie po niemiecku z bedekera zatrzymując się co chwila, by coś przetłumaczyć dla Kornelii, która potulnie dreptała u jego boku. To nie mogło trwać długo. Panna Van Schuyler, która zjawiała się wsparta o ramię flegmatycznej panny Bowers, rozkazała krótko: — Kornelio, chodź tutaj! — co, siłą rzeczy, przerwać musiało dalsze objaśnienia. Doktor Bessner rzucił w stronę Kornelii zachwycone i zarazem niepewne spojrzenie zza grubych szkielek. — Co za urocze dziewczę! — stwierdził do Poirota.

— Nie jest taka wychudła jak inne kobiety. Ma bardzo przyjemne kształty. A jak mądrze słucha! Objasniać jej cokolwiek to prawdziwa rozkosz!

Poirotowi przemknęła przez głowę myśl, że widać przeznaczeniem Kornelii jest, by ją ktoś gnębił albo pouczał. W każdym razie zawsze była słuchaczem, lecz, nigdy rozmówcą.

Stanowcze przywołanie Kornelii przez pannę Van Schuyler sprawiło, że panna Bowers odzyskała nagle swobodę i stała na środku świątyni rozglądając się dokoła chłodnym, obojętnym spojrzeniem. Jej reakcja na cuda przeszłości była powściągliwa.

— Przewodnik mówił, że jeden z tych bogów lub bogiń nazywa się Mut. Wprost nie chce mi się wierzyć! — stwierdziła.

W świątyni było również wewnętrzne sanktuarium, zajmowane od wieków przez cztery siedzące posągi pełne dziwnego majestatu w tym mrocznym oddaleniu.

Przed nimi stała Linnet wraz z mężem. Trzymała go pod rękę, twarz miała wzniesioną, typową twarz człowieka nowej cywilizacji: inteligentną, ciekawą, pozbawioną piętna przeszłości.

— Wyjdźmy stąd — powiedział nagle Simon. — Nie podobają mi się ci czterej panowie, szczególnie ten w wysokiej czapce.

— To jest chyba Amon. A ten drugi to Ramzes. Dlaczego ci się nie podobają? Wyglądają przecież imponująco!

— Trochę aż za imponująco! Jest w nich coś niesamowitego! Wyjdźmy lepiej na słońce.

Linnet roześmiała się na prośbę Simona.

Wyszli ze świątyni na słońce, na żółty i gorący pod stopami piasek.

Linnet zaczęła się śmiać. U ich stóp, rzędem, co robiło dość niesamowite wrażenie, tkwiły w piasku jakby odeięte od tułowia głowy sześciu nubijskich chłopców. Wywracały oczyma, kiwały się rytmicznie na boki, a usta wydawały śpiewne okrzyki: Hip! Hip! Hura! Bardzo dobre! Bardzo ładne! Dziękuję bardzo!

— Coś podobnego? Jak oni to robią? Czy naprawdę tak się głęboko zagrzebali?

Simon dobył garść drobnych.

— Bardzo dobrze, bardzo ładnie, bardzo drogo — rzekł przedrzeźniając wyrostków.

Dwaj mali chłopcy, którzy dyrygowali widowiskiem zręcznie pozbierali monety.

Linnet i Simon poszli dalej przed siebie. Nie mieli ochoty wracać na statek, a byli już mocno znużeni zwiedzaniem. Usiedli plecami do skały i wystawili ciała na palące promienie słońca.

„Jakąż rozkoszną rzeczą jest słońce! — myślała Linnet. — Takie ciepłe i przyjazne. Jak to przyjemnie być szczęśliwym. Jak to miło, że jestem sobą... właśnie sobą... Linnet...”

Przymknęła powieki. Na wpół spała, na wpół drzemała pozwalając przepływać myślom, które były lotne i ruchome jak piasek.

Simon leżał z otwartymi oczyma, w których także malowało się zadowolenie. Żałował, że się tak głupio dał ponieść nerwom owego wieczoru. Przecież nie było po co się denerwować! Nic się takiego nie stało. W końcu można było chyba mieć zaufanie do Jacqueline?

Ktoś krzyknął. Ludzie biegli w jego stronę wymachując rękami i coś wołali. Simon patrzył na nich przez chwilę w osłupieniu. Potem zerwał się na równe nogi i pociągnął Linnet ku sobie.

Zrobił to w samą porę. Wielki głaz spadając ze skały roztrzaskał się tuż obok nich. Gdyby Linnet nie ruszyła się z miejsca, rozbiłby ją na miazgę. Śmiertelnie bladzi tulili się do siebie. Podbiegli do nich Poirot i Tim Allerton.

— *Ma foi, madame\**. Niewiele brakowało... Wszyscy czworo instynktownie zlustrowali okiem skałę, ale niczego nie dostrzegli. Jedyne ścieżkę, która wiodła na jej szczyt. Poirot przypomniał

sobie, że widział, jak wdrapywali się po niej jacyś tubylcy, w chwili gdy statek z turystami przybijał właśnie do brzegu.

Popatrzył na parę małżonków. Linnet była nadal oszołomiona i półprzytomna. Simon aż wrzał z wściekłości.

— Niech ją diabli wezmą — wyrwało mu się niechcący. Opanował się rzuciwszy ukradkowe spojrzenie na Tima Allertona.

— O mały włos tylko... — rzekł Tim. — Czy to zrzucił jakiś dureń, czy samo się oderwało?

Linnet była śmiertelnie blada.

— Sądzę, że... musiał to zrobić jakiś dureń — powiedziała z trudem.

— Mógł zmiażdżyć panią jak skorupkę od jajka! Czy nie ma pani czasem jakichś wrogów?

Linnet dwukrotnie przełknęła ślinę. Było jej bardzo trudno coś odpowiedzieć na te rzuconą żartem uwagi.

— Wracajmy na statek, *madame* — powiedział niecierpliwie Poirot. — Musi pani zażyć coś na uspokojenie.

Szli wolnym krokiem. Simon był ciągle jeszcze pełen nie wyładowanej złości. Tim usiłował odwrócić myśli Linnet od niebezpieczeństwa, które niedawno nad nią zawisło, a Poirot miał na twarzy wyraz ponurej zadumy.

Kiedy już dotarli do przysłani, Simon stanął jak wryty. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie. Jacqueline de Bellefort schodziła właśnie na brzeg. Ubrana była w niebieską, bawełnianą szatę i wyglądała jak dziewczynka.

— Bogu dzięki! — wyszeptał Simon. — Wobec tego był to tylko wypadek.

Gniew zniknął z jego twarzy. Uczucie całkowitej ulgi było tak widoczne, że nawet dostrzegła to Jacqueline tłumacząc je sobie całkiem opacznie.

— Dzień dobry — powiedziała. — Niestety, trochę się spóźniłam...

Skinęła im głową, zeszła na ląd i podążyła w stronę świątyni. Simon przytrzymał kurczowo za ramię Poirota. Linnet i Tim poszli dalej przed siebie.

— Mój Boże, co za ulga! Bo już myślałem, że...

— Wiem, o czym pan myślał — odrzekł Poirot kiwając głową. Był nadal przybity i czymś zaabsorbowany. Odwrócił się i patrzył uważnie, co się dzieje z resztą uczestników wycieczki.

Panna Van Schuyler wracała powolnym krokiem wsparta ramieniem o pannę Bowers. Nieco dalej

stała pani Allerton i śmiała się na widok rzędu głów małych Nubijczyków. Była z nią pani Otterbourne.

Poirot kręcił głową podążając z wolna za Simonem w stronę statku.

# Rozdział XI

— Zechce mi pani łaskawie wyjaśnić znaczenie słowa „zły znak”?

Zaskoczyło to nieco panią Allerton. Oboje z Poirotem wspinali się powoli na skalny pagórek, skąd widać było Drugą Kataraktę. Większość towarzystwa pojechała na wielbłądach. Poirot jednakże uznał, że ich kołyszący chód zbytnio mu przypomina podróż statkiem, panią Allerton zaś powstrzymało od jazdy na wielbłądzie poczucie osobistej godności.

Przybyli oni wszyscy do Wadi Halfa poprzedniego wieczora. Nazajutrz rano dwie łodzie zabrały do Drugiej Katarakty całe towarzystwo z wyjątkiem signora Richettiego, który postanowił odbyć za wszelką cenę indywidualną wyprawę do odległej miejscowości o nazwie Semma, nadzwyczaj interesującej, jego zdaniem, która była niegdyś, za czasów Amenemhata Trzeciego, bramą do Nubii, gdzie znajdowała się tablica z inskrypcją, z której można było wyczytać, że przy wjeździe do Egiptu Murzyni zmuszeni byli płacić cło.

Zrobiono wszystko, by go odwieść od tego samodzielnego wyczynu, jednakże bez skutku.

Signor Richetti trwał uparcie przy swym zamiarze i nie dawał posłuchu przestrogom, że po pierwsze, taka wyprawa niewarta jest zachodu, że po drugie, jest niewykonalna wobec braku na miejscu środków lokomocji, że po trzecie, nie ma tam czym dojechać, i po czwarte, że cena za przejazd będzie nader słona.

Signor Richetti wyśmiał pierwszą przestrożę, drugiej nie dał wiary, co do trzeciej to wyraził gotowość znalezienia samochodu na własną rękę, a wobec czwartej dowiódł, że potrafi biegle targować się po arabsku i w końcu na wyprawę pojechał, ale sam odjazd odbył się na wszelki wypadek ukradkiem i w tajemnicy, aby któremuś z pozostałych turystów nie przyszło do głowy także zboczyć z wytyczonej trasy wycieczki.

— Zły znak? — zastanowiła się pani Allerton skłoniwszy na bok głowę. — Ach, to takie szkockie porzekadło. Oznacza stan nadmiernej radości, która poprzedza nieszczęście. Coś w rodzaju: co za dużo, to niezdrowo...

Przystąpiła do gruntownych wyjaśnień, których Poirot słuchał uważnie.

— Serdecznie pani dziękuję, *madame*. Teraz już rozumiem. To dziwne, że wypowiedziała je pani właśnie wczoraj, a zaraz potem pani Doyle omal nie postradała życia.

Pani Allerton wzdrygnęła się lekko.

— Istotnie znalazła się o włos od śmierci. Czy nie sądzi pan, że to któryś z tych małych, czarnych nikkemników zepchnął głaz dla zabawy? Chłopcy na całym świecie robią takie rzeczy, bez żadnych nawet złych intencji.



Poirot wzruszył ramionami.

— Być może, *madame*.

Zmienił temat rozmowy. Zagadnął o Majorkę i rozmaite praktyczne rady mając na względzie swój wyjazd tam w przyszłości.

Pani Allerton bardzo polubiła pana Poirot, może nawet trochę z wrodzonej przekory. Spostrzegła, że Tim usiłuje za każdym razem gasić jej przyjazny zapał wobec Herkulesa Poirot, którego uważał niezmiennie za „najgorszy rodzaj nudziarza”. Pani Allerton była innego zdania i przypuszczała, że to tylko nieco fantazyjny i cudzoziemski sposób ubierania się pana Poirot wzbudzał w Timie uprzedzenie. Dla niej osobiście Poirot był inteligentnym i pobudzającym do myślenia towarzyszem. Okazującym także niezmiernie dużo współczucia.

Sama przecież zwierzyła mu się nagle ze swej niechęci do Joanny Southwood, co przyniosło jej pewną ulgę. Zresztą, cóż w tym złego? Przecież Poirot nie zna Joanny i chyba nigdy jej nic pozna. Czemuż więc nie uwolnić; się choć na chwilę od dręczącego natłoku zazdrosnych myśli.

W tym właśnie momencie Tim i Rozalia Otterbourne rozmawiali na temat pani Allerton. Tim skończył już na pół żartobliwie wyrzekać na los, a także na swe zdrowie, które nie było aż tak kiepskie, by budzić poważne zaniepokojenie, ani tak dobre, by można było prowadzić taki tryb życia, na jaki Tim miałby ochotę. Pieniądzy posiadał niewiele i żadnego godziwego zajęcia.

— Całkiem mierna i ograniczona wegetacja... — dokończył z niezadowoleniem.

— Posiada pan jednak coś, czego pozazdrościć mogą panu tłumy ludzi — oświadczyła gwałtownie Rozalia.

— Czego mianowicie?

— Takiej matki.

Tim zdumiał się i uradował zarazem.

— Matki? Rzeczywiście, to wyjątkowa istota. Rad jestem, że pani to dostrzegła.

— Moim zdaniem, jest cudowna! Ma taki miły wygląd, jest bardzo opanowana i łagodna, jakby nic nie było w stanie jej dotknąć, a przy tym zawsze skora do żartów i...

Rozalia zaczęła się aż lekko jąkać z przejęcia.

Tim poczuł, jak ciepłeje jego uczucie do dziewczyny. Przykro mu było, że nie może się jej tym samym odwdzięczyć, pani Otterbourne była bowiem, niestety, w jego wyobrażeniu najstraszliwszym w świecie koszmarem. Niemożność odpłacenia się Rozalii dobrym słowem wprawiała go w zmieszanie.

Panna Van Schuyler pozostała w saloniku. Nie chciała ryzykować wyprawy ani na wielbłądzie, ani

na własnych nogach.

— Przykro mi, że musiała pani ze mną zostać — odezwała się oschle do panny Bowers. — Wprawdzie chciałam, żeby to pani pojechała, a Kornelia została, ale te dziewczęta są takie samolubne. Pognąła gdzieś bez słowa. Widziałam nawet, że rozmawiała z tym nieuprzejmym i źle wychowanym młodzieńcem, Fergusonem. Bardzo się na niej zawiodłam. Kornelia nie ma w sobie krzty towarzyskiej ogłady.

— Nic się takiego nie stało, panno Van Schuyler — odpowiedziała pielęgniarka zasadniczym tonem.

— Za gorąco jest na spacer pod górę, I nie bardzo mi odpowiada wygląd siodeł na wielbłądach. Pchły gwarantowane!

Poprawiła okulary, zmrużyła oczy, by się przyjrzeć grupie turystów, wspinających się na wzgórze.

— Nie widzę panny Robson obok tego młodzieńca. Jest z doktorem Bessnerem — oświadczyła.

Panna Van Schuyler chrząknęła.

Od czasu kiedy odkryła, że doktor Bessner posiada dużą klinikę w Czechosłowacji i jest modnym oraz znanym w Europie lekarzem, była skłonna traktować go łaskawiej. Może się przecież zdarzyć, że będzie musiała skorzystać z jego zawodowych usług jeszcze przed końcem podróży.

Kiedy towarzystwo powróciło na statek, Linnet wydała okrzyk zdumienia:

— Telegram do mnie!

Wyjęła go ze skrzynki i rozdarła kopertę.

— Co takiego? Zupełnie nie rozumiem? Kartofle... buraki...? Co to może znaczyć, Simon? Simon podszedł i chciał przez ramię żony zerknąć na pismo, gdy wtem ktoś powiedział rozniewanym tonem:

— Przepraszam, ten telegram jest do mnie — i signor Richetti brutalnie wyrwał pismo z rąk Linnet obrzucając ją jednocześnie gniewnym spojrzeniem.

Na moment oczy Linnet rozszerzyły się ze zdumienia. Odwróciła kopertę.

— Co za głupota z mej strony, Simon. Tu jest napisane Richetti, a nie Ridgeway. Zresztą nie nazywam się już Ridgeway. Muszę go przeprosić.

Poszła za małym archeologiem aż do rufy statku.

— Niech mi pan wybaczy, signor Richetti. Nazywałam się Ridgeway przed zamążpójściem. Jestem

dopiero od niedawna mężatką, toteż...

Zamilkła, uśmiechnęła się ukazując dołki w policzkach i zachęcając pana Richettiego, by się uśmiechnął z *faux pas*\* młodej mężatki.

Ale pana Richettiego to wyraźnie nie bawiło. Królowa Wiktorja, dając wyraz swej najwyższej dezaprobacie, nie mogłaby wyglądać srożej od niego.

— Nazwisko trzeba odezytać uważnie. Niefrasobliwość w takich sprawach jest wprost nie do wybaczenia.

Linnet przygryzła wargę i zaczerwieniła się. Nic zdarzyło się jeszcze, by tak potraktowano słowa przeprosin z jej strony. Odwróciła się i przyłączyła do towarzystwa Simona.

— Ci Włosi są doprawdy nie do wytrzymania! — powiedziała rozgniewana.

— Głupstwo, moja droga. Chodźmy obejrzyć tego ogromnego krokodyla z kości słoniowej, który tak ci się podobał.

Postanowili zejść na ląd.

Poirot, obserwując ich, gdy schodzili po trapie, usłyszał, jak ktoś gwałtownie wciąga powietrze. Odwrócił się i dostrzegł tuż obok Jacqueline de Bellefort. Ręce jej były mocno zaciśnięte na balustradzie. Obróciła się w jego stronę. Poirota bardzo zaskoczył wyraz jej twarzy, w której nie było już ani złości, ani rozbawienia. Jacqueline wyglądała, jakby ją od wewnątrz spalał niszczący ogień.

— Przestali już zwracać uwagę — powiedziała szybko smutnym głosem. — Wymknęli mi się z rąk. Nic sposób ich dosięgnąć. Nic sobie nie robią z mej obecności... Nie zdołam im już dokuczyć.

Jej ręce na balustradzie drżały.

— *Mademoiselle...*

— Za późno już, za późno na ostrzeżenia — wybuchnęła gwałtownie. — Miał pan rację. Nie powinnam była wyjeżdżać. W tę właśnie podróż. Jak to pan ją nazwał? Wędrownką duszy? Nic mogę już zawrócić. Muszę iść przed siebie. Toteż brnę dalej. Nie dopuszczę, by zaznali szczęścia we dwoje. Prędzej już go zabiję...

Odwróciła się nagle. Poirot, który się jej przyglądał, poczuł, że mu ktoś położył rękę na ramieniu.

— Pana znajoma jest. zdaje się, trochę przygnębiona? Poirot odwrócił się i stanął jak wryty na widok starego znajomego.

— Pułkownik Race!

Wysoki, ogorzały mężczyzna uśmiechnął się.

— Mała niespodzianka, prawda?

Herkules Poirot zetknął się z pułkownikiem Racem w ubiegłym roku w Londynie. Byli obydwoj gośćmi na pewnym niezwykłym przyjęciu, które zakończyło się śmiercią gospodarza domu, człowieka nader dziwnego.

Poirot wiedział, że pułkownik Race podróżuje tu i ówdzie w różnych tajnych misjach. Można go było zazwyczaj spotkać wszędzie tam, gdziekolwiek na obszarze imperium szykowały się jakieś zamieszki.

— Pan tu, w Wadi Halfa? — zauważył znacząco Poirot.

— Tak. Na tym samym statku.

— Nie rozumiem — rzekł Poirot.

— Wybieram się w tę samą podróż co pan, do Shellâl.

Poirot uniósł brwi.

— Ciekawe. Może się czegoś napijemy?

Poszli do oszklonego saloniku, który był całkiem pusty. Poirot zamówił whisky dla pułkownika i podwójną, mocno słodzoną oranżadę dla siebie.

— Więc jedzie pan razem z nami? — odezwał się Poirot sącząc napój. — Chyba jednak szybciej dotarłby pan na rządowym statku, który płynie bez przerwy dzień i noc?

Na twarzy pułkownika pojawił się wyraz uznania.

— Trafił pan w sedno, panie Poirot — odpowiedział miłym tonem.

— Chodzi więc o pasażerów?

— O jednego z nich.

— Ciekaw jestem, o którego — zastanowił się detektyw, patrząc w bogato zdobiony sufit.

— Sam jeszcze, niestety, nie wiem — odrzekł Race ze skruszoną miną.

Poirot był wyraźnie zaintrygowany.

— Z panem mogę mówić otwarcie — powiedział Race. — Mamy tu na tym terenie mnóstwo rozmaitych kłopotów. Mniejsza o ludzi, rzekomo przewodzących buntownikom, których wyłapujemy. Nam chodzi o tych, co bardzo chytrze przykładają zapałkę do beczki z prochem. Było ich trzech. Jeden nie żyje. Drugi siedzi w więzieniu. Szukam trzeciego, który ma na sumieniu kilka morderstw z premedytacją. To jeden z najsprytniejszych płatnych agitatorów pod słońcem. Jest tu, na statku. Wiem

o tym że wzmianki w liście, który wpadł w nasze ręce. W odszyfrowanym fragmencie było napisane, że X będzie na „Karnaku” w rejsie od siódmego do trzynastego lutego. Nie wiem jednak, kto kryje się pod literą X.

— Ma pan rysopis?

— Nie. Może być amerykańsko–irlandzko–francuskiego pochodzenia. Trochę mieszaniec. To niewiele daje. Może pan ma jakiś pomysł?

— Żadnego. Tak samo jak pan — odrzekł Poirot w zamyśleniu.

Obaj panowie świetnie się nawzajem rozumieli, toteż Race więcej już nie nalegał. Wiedział, że Herkules Poirot, jeśli nie ma pewności, nigdy o niczym nie mówi.

Poirot potarł nos.

— Coś się dzieje na statku, co budzi we mnie niepokój.

Race spojrzał na niego pytająco.

— Otóż niech pan sobie wyobrazi — mówił detektyw — że osoba A wyrządza wielką krzywdę osobie B, która następnie pragnie się zemścić i miota groźby.

— Obie przebywają na tym statku?

— Naturalnie — odpowiedział Poirot.

— O ile się domyślam, osoba B jest kobietą?

— Oczywiście.

Race zapalił papierosa.

— Na pana miejscu, przestałbym się tym martwić. Człowiek, który rozpowiada o swych zamiarach, zazwyczaj wcale ich nie spełnia...

— Szczególnie jeśli to dotyczy *les femmes*<sup>\*</sup>, chciał pan powiedzieć. Tak w istocie bywa.

Poirot nadal wydawał się nic uspokojony.

— Coś jeszcze? — dopytywał się Race.

— Tak. Jeszcze jedno. Wczoraj osoba A cudem uniknęła śmierci w okolicznościach, które można by z powodzeniem określić jako wypadek.

— Sprokurowany przez osobę B?

— Nie. W tym właśnie sęk. Osoba B nie mogła mieć z tym nic wspólnego.

— Był to zatem wypadek.

— I ja tak przypuszczam. Nie podobają mi się jednak takie wypadki.

— Jest pan najzupełniej pewny, że osoba B nie maczała w tym palców?

— Absolutnie!

— No cóż. Zdarzają się takie przypadki. Kto jest osobą A, *à propos*?\* Czy to jakaś bardzo niesympatyczna postać?

— Wprost przeciwnie. Jest to czarująca, bogata i piękna młoda dama.

Race uśmiechnął się złośliwie.

— Historia jak z powieści — dodał.

— *Peut-être*\*. Ale proszę mi wierzyć, przyjacielu, że mnie to wcale nie cieszy. Jeśli bowiem mam rację, a ciągle mi się to zdarza — Race uśmiechnął się pod wąsem słuchając tej bardzo typowej wypowiedzi — to istnieją poważne powody do niepokoju. A pan tu jeszcze komplikuje sprawę mówiąc, że na pokładzie „Karnaka” przebywa osobnik, który jest mordercą.

— Na ogół nie zabija czarujących młodych dam.

Poirot pokręcił głową z niezadowoleniem.

— Boję się, mój przyjacielu — rzekł. — Boję się. Dzisiaj poradziłem tej damie, pani Doyle, żeby pojechała z mężem do Chartumu i już nie wracała tym statkiem. Ale ona mnie nie posłuchała. Modłę się, byśmy bez szwanku dotarli do Shellâl.

— Czy nie przedstawia pan sytuacji w nazbyt ponurych barwach?

Poirot pokręcił głową.

— Boję się — odrzekł z prostotą. — Tak. Ja, Herkules Poirot, boję się...

# Rozdział XII

Kornelia Robson stałą wewnątrz świątyni Abu Simbel. Był to wieczór drugiego dnia pobytu, wieczór upalny i cichy. „Karnak” raz jeszcze przybił do Abu Simbel, by turyści ponownie, tym razem przy sztucznym świetle, mogli obejrzeć świątynię.

Różnica była znaczna i Kornelia zdumiona wymieniała na ten temat uwagi z panem Fergusonem, który stał nie opodal.

— Widać teraz wszystko o wiele lepiej! — zawołała. — Jakże wyraźnie odeinają się postacie jeńców, którym król kazał odrąbać głowy. I ten śliczny pałac, którego przedtem nic dostrzegłam. Szkoda, że nie ma tu doktora Bessnera, on by mi to wszystko wyjaśnił.

— Nie pojmuję, jak pani może znosić tego okropnego głupca! — oświadczył ponuro Ferguson.

— Ależ to najlepszy człowiek pod słońcem!

— Dla mnie to pompatyczny, stary nudziarz!

— Nie powinien pan mówić o nim w ten sposób!

Młodzieniec chwycił gwałtownie Kornelię za ramię.

Wychodzili właśnie ze świątyni na oświetloną księżycem przestrzeń.

— Dlaczego daje się pani zanudzać różnym starym grubasom i pozwala, żeby ją dręczyła i musztrowała jakaś stara jędzka!

— Ależ panie Ferguson!

— Niech pani okaże choć odrobinę charakteru! W końcu nie jest pani od niej gorsza!

— Właśnie że jestem — odrzekła Kornelia ze szczerym przekonaniem.

— Najwyżej w sprawach majątkowych...

— Nie tylko pod tym względem. Kuzynka Maria jest bardzo, ale to bardzo kulturalna i...

— Kulturalna! — młodzieniec puścił gwałtownie ramię Kornelii. — Aż mnie mdli, gdy o tym słyszę.

Kornelia spojrzała na niego wielce zaniepokojona.

— Nie podoba jej się, że z panią rozmawiam, prawda? — zapytał młodzieniec.

Kornelia zaczerwieniła się, wyraźnie zmieszana.

— Oczywiście. Sądzi, że nie dorównuję pani towarzysko? Uff! Wściec się można, co?

— Bardzo bym chciała, żeby pan tak się nie złościł — wyjąkała dziewczyna.

— Czy pani, i to jako Amerykanka, nie rozumie, że każdy rodzi się wolny i równy?

— To nieprawda! — odrzekła Kornelia ze spokojną pewnością.

— Ależ drogie dziecko, przecież to jedno z haseł waszej konstytucji?

— Kuzynka Maria mówi, że politycy nie są dżentelmenami! — odparła Kornelia. — Poza tym ludzie nic są wcale sobie równi. To bzdura! Wiem, że wyglądam na głupią gęś i kiedyś zamartwiałam się na śmierć z tego powodu, ale to mi już przeszło. Wolałabym, oczywiście. urodzić się taką elegancką i piękną damą jak pani Doyle, ale stało się inaczej, toteż uważam, że nie ma sensu tym się przejmować.

— Pani Doyle! — wykrzyknął Ferguson z głęboką pogardą. — Takie kobiety należałoby wystrzelać dla przykładu.

Kornelia patrzyła na niego z niepokojem.

— Uważam, że to wszystko bierze się u pana z niestrawności — oświadczyła łagodnie. — Mam na to specjalne lekarstwo, kuzynka Maria kiedyś je zażywała. Może by pan spróbował?

— Pani jest niemożliwa! — oświadczył Ferguson.

Odwrócił się i odszedł. Kornelia skierowała kroki w stronę statku. Kiedy wchodziła na trap, zatrzymał ją raz jeszcze Ferguson.

— Pani jest najmilszą osobą na pokładzie — rzekł. — Proszę to sobie zapamiętać.

Aż pokraśniała z przyjemności i poszła do oszklonego saloniku. Panna Van Schuyler zajęta była rozmową i doktorem Bessnerem. Miła ta pogawędka dotyczyła pewnych jego pacjentów królewskiego rodu.

— Myślę, że nie bawiłam zbyt długo, kuzynko Mario — powiedziała Kornelia tonem pełnym winy.

— Zbyttno się nie spieszyłaś, moja droga — rzekła oschle stara dama spojrzawszy na zegarek. — Gdzieś podziała mój aksamitny szal?

Kornelia rozejrzała się dokoła.

— Może pójść poszukać w kajucie, kuzynko Mario?

— Na pewno go tam nie ma! Miałam szal na sobie jeszcze po kolacji i wcale się stąd nie ruszałam.



Leżał na tym krześle.

Kornelia przeszukała wszystko dokładnie.

— Nigdzie go nie ma, kuzynko Mario!

— Nonsens — odrzekła panna Van Schuyler. — Poszukaj dobrze! — rozkazała niczym psu, a Kornelia z psim posłuszeństwem zabrała się do wypełniania rozkazu. Spokojny pan Fanthorp, który siedział przy stole nie opodał, wstał i zaczął pomagać dziewczynie. Ale szal się nie odnalazł!

Dzień był niezwykle gorący i duszny, toteż większość pasażerów udała się na spoczynek zaraz po zwiedzeniu świątyni.

W rogu sali Doyle'owie grali w brydża z Penningtonem i z pułkownikiem Race. W saloniku był jeszcze tylko Herkules Poirot, który ziewał straszliwie przy stoliku tuż obok drzwi.

Panna Van Schuyler z ipsis królewskim majestatem udając się na spoczynek w asyście Kornelii i panny Bowers zatrzymała się przy krześle detektywa. Poirot grzecznie zerwał się z krzesła wstrzymując potężne ziewnięcie.

— Dopiero co uświadomiłam sobie, kim pan jest, panie Poirot. Chcę powiedzieć, że słyszałam już o panu od mego starego przyjaciela, Rufusa Van Aldina. Musi mi pan koniecznie opowiedzieć kiedyś o swej pracy.

Poirot mrugając oczyma z powodu senności złożył nieco przesadny ukłon. Panna Van Schuyler poszła dalej, skinąwszy mu głową grzecznie, aczkolwiek protekcyjnie.

Poirot ziewnął raz jeszcze. Czuł się ociężały i otępiały od snu i z trudem otwierał powieki. Rzucił okiem na brydżystów pochłoniętych grą, a potem na młodego Fanthorpa pogrążonego w lekturze. Prócz nich w salonie nie było nikogo.

Wychodził właśnie przez wahadłowe drzwi na pokład, kiedy nadeszła niespodzianie Jacqueline de Bellefort i o mało co nie doszło do zderzenia.

— Najmocniej przepraszam, *mademoiselle*.

— Wygląda pan na bardzo sennego, panie Poirot.

— *Mais oui!*\* Jestem śmiertelnie śpiący — przyznał się szczerze. — Oczy mi się już kleją. Był to męczący i pełen wrażeń dzień.

— O tak, bardzo... — powiedziała Jacqueline i zamyśliła się na chwilę. — W taki właśnie dzień coś się nagle wali... Człowiek raptem czuje, że dłużej nie wytrzyma...

Głos miała smutny i naładowany pasją. Nic patrzyła na swego rozmówcę, tylko na piaszczysty brzeg. Ramiona miała sztywno wyprostowane i dłonie zaciśnięte w pięści.

Raptem napięcie w niej jakby zelżało.

— Dobranoc — rzekła.

— Dobranoc, *mademoiselle*.

Spojrzała mu w oczy, ale tylko przez moment. Wspominając nazajutrz tę chwilę, Poirot doszedł do wniosku, że w spojrzeniu Jacqueline była jakaś niema prośba. (Miał sobie przypomnieć jeszcze tę chwilę w przyszłości.)

Poirot poszedł zaraz potem do swej kajuty, a Jacqueline udała się do saloniku.

Kornelia po spełnieniu wszystkich żądań i kaprysów panny Van Schuyler wzięła robótkę i poszła do salonu. Nie chciało się jej wcale spać. Wprost przeciwnie, czuła się rześka i trochę podekscytowana.

Czwórka brydżystów zajęta była grą. W jednym z foteli spokojny pan Fanthorp czytał książkę. Kornelia usiadła z robótką.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła Jacqueline de Bellefort. Zatrzymała się w progu z podniesioną do góry głową. Nacisnęła dzwonek, podeszła wolnym krokiem do Kornelii i usiadła tuż obok.

— Wychodziła pani na brzeg? — spytała.

— Oczywiście. Pięknie to wyglądało w świetle księżyca — odparła Kornelia.

Jacqueline pokiwała głową.

— Tak. Wieczór jest prześliczny. Wprost wymarzony na podróż poślubną. — Jej wzrok powędrował w stronę młodego małżeństwa i spoczął na Linnet.

Wezwany dzwonkiem przez Jacqueline pojawił się steward. Poprosiła go o podwójny dzin. Kiedy dawała zamówienie, Sitnon Doyle rzucił w jej stronę szybkie spojrzenie. Lekki cień niepokoju przeniknął mu po twarzy.

— Simon, czekamy na twoje wyjście — odezwała się Linnet.

Jacqueline nuciła coś pod nosem. Kiedy podano jej dzin, uniosła do góry kieliszek.

— Piję za zbrodnię! — rzekła, wysączyła trunek i zamówiła następny.

Simon znów zerknął znad kart. Jego odżywki stawały się nieco chaotyczne. Pennington, jako partner, musiał ponaglać go do wychodzenia.

Jacqueline zaczęła znowu coś nucić, a potem zaśpiewała na głos:

*Słodko dziewczę bałamucił, potem ją okrutnie rzucił...*

— Przepraszam pana — odezwał się Simon do Penningtona — że nie odwróciłem w ten sam kolor. To im daje robra.

Linnet podniosła się z krzesła.

— Jestem bardzo śpiąca. Pójdę się położyć — rzekła.

— Pora i nam pójść spać — powiedział pułkownik.

— Słuszna uwaga — zgodził się Pennington.

— Idziesz, Simon? — zapytała Linnet.

— Jeszcze nie — rzekł z wolna Simon. — Mam ochotę na drinka.

Linnet skinęła głową i wyszła. Race podążył za nią. Pennington dopił drinka i dołączył do reszty towarzystwa.

Kornelia zaczęła składać robótkę.

— Niech pani nie idzie spać, panno Kornelio — powiedziała Jacqueline. — Bardzo o to proszę. Zapragnęłam zrobić coś szalonego! Niech pani tu ze mną zostanie.

Kornelia usiadła.

— My, dziewczęta, musimy się trzymać razem — oświadczyła Jacqueline. Odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła ostrym śmiechem bez nuty wesołości.

Przyniesiono jej następną porcję dzinu.

— Może pani się czegoś napije? — spytała Kornelię.

— Nie, dziękuję.

Jacqueline przechyliła do tyłu krzesło. Nuciała, tym razem na głos:

*Słodko dziewczę bałamucił, potem ją okrutnie rzucił...*

Pan Fanthorp odwrócił stronicę „Europy od środka”. Simon Doyle sięgnął po ilustrowany tygodnik.

— Mam naprawdę ochotę pójść spać — odezwała się Kornelia. — Zrobiło się już późno.

— Nic może pani jeszcze iść spać — oświadczyła Jacqueline. — Stanowczo się temu sprzeciwiam. Niech mi pani coś o sobie opowie.

— Hm... Doprawdy... Nie mam wiele do powiedzenia... — wyjąkała Kornelia. — Nigdy nie wyjeżdżałam z kraju i rzadko bywam w towarzystwie. To jest moja pierwsza podróż do Europy. I każda chwila wydaje mi się cudowna!

Jacqueline roześmiała się.

— Niewiele trzeba pani do szczęścia, prawda? Chciałabym mieć takie usposobienie!

— Czyżby? Przecież pani... To znaczy... Jestem pewna... — Kornelię ogarnął niepokój. Odniosła wrażenie, że panna de Bellefort za dużo wypła. Fakt ten nie był dla Kornelii zaskoczeniem. Napatrzyła się niemało na pijących ludzi w latach prohibicji. Ale teraz to było całkiem co innego.

Jacqueline wprawdzie rozmawiała z nią i spoglądała w jej stronę, ale Kornelia wyczuwała, że słowa dziewczyny zwrócone są do kogoś innego. W salonie znajdowały się jeszcze tylko dwie osoby: pan Fanthorp i Simon Doyle. Fanthorp zaczytany był po uszy w książkę, Simon zaś czuł się wyraźnie nieswojo; na twarzy jego malowało się jakieś dziwne, pełne napięcia wyczekiwanie.

— Niech mi pani coś o sobie opowie — powtórzyła Jacqueline. Zawsze posłuszna Kornelia usiłowała spełnić polecenie. Mówiła nieskładnie rozwodząc się niepotrzebnie nad drobnymi szczegółami swego codziennego bytowania. Nie była przyzwyczajona do prowadzenia rozmowy. Zawsze dotąd przypadała jej w udziale rola słuchacza. A jednak panna de Bellefort chciała się czegoś o niej dowiedzieć. Kiedy Kornelia utknęła w jakimś punkcie opowiadania, Jacqueline ponagliła ją niecierpliwie.

— No jeszcze. Niech pani mówi dalej...

I Kornelia ciągnęła opowieść (...Oczywiście matka jest bardzo delikatna. Są dni, kiedy nic nie bierze do ust prócz kaszki...) świadoma, że wszystko, co mówi, jest absolutnie nieciekawe, a jednak połączona w swej próżności okazywanym przez Jacqueline zainteresowaniem.

Czy aby to ją naprawdę interesuje?... A może przysłuchuje się czemuś lub czegoś nadśłuchuje?

Wprawdzie oczy miała zwrócone na Kornelię, ale przecież był ktoś jeszcze w saloniku...

— Mamy bardzo dobrze prowadzone przedmioty humanistyczne, a zeszłej zimy przerabiałam materiał z... (Która to może być godzina? Jest bardzo późno. A ona tak się rozgadała. Niechby już wreszcie coś się naprawdę wydarzyło.)

I natychmiast, jakby w odpowiedzi na jej życzenie, coś się istotnie zdarzyło. W owej chwili wydało się to nawet całkiem naturalnym biegiem rzeczy.

Jacqueline odwróciła głowę.

— Naciśnij dzwonek — odezwała się do Simona. — Chcę jeszcze jednego drinka. Simon zerknął znad czasopisma.

— Steward poszedł spać — odpowiedział spokojnie.

— Jest już po pierwszej.

— Powiedziałam, że chce jeszcze jednego drinka!

— Dostyc już wypilaś, Jackie — odrzekł Simon. Dziewczyna zrobiła obrót w jego stronę.

— Nie wtrącaj się! To nie twoja sprawa!

— Masz rację — odpowiedział Simon wzruszając ramionami.

Jacqueline przyglądała mu się badawczo parę chwil.

— Co ci jest, Simon? Boisz się? — zagadnęła. Simon milczał. Dość ostentacyjnie sięgnął znów po tygodnik.

— Ach, jak późno! Muszę już... — mruzczała Kornelia. Zaczęła się wiercić i upuściła naporstek.

— Niech pani jeszcze zostanie — rzekła Jacqueline.

— Chcę, żeby tu była druga kobieta, aby mnie wesprzeć.

— I znów wybuchnęła śmiechem.

— Czy pani wie, czego Simon tak się lęka? Boi się, że opowiem pani historię mego życia.

— Ach... — odezwała się trochę speszona Kornelia?

— Czy pani wiadomo, że byłam z nim kiedyś zaręczona?

— Czyżby? Naprawdę?

Kornelią targały sprzeczne uczucia. Była głęboko zmieszana, ale jednocześnie w przyjemny sposób podekscytowana. Jak niekorzystnie wyglądał teraz w jej oczach Simon Doyle!

— To bardzo smutna historia — wyjaśniła Jacqueline. W jej delikatnym głosie brzmiał teraz jakiś smutny, szydrczy ton. — Obszedł się ze mną podle. Prawda, Simon?

— Idź spać, Jackie — odpowiedział ostro Doyle.

— Jesteś pijana.

— Jeśli się czujesz nieswojo, to lepiej się stąd wynoś! Simon spojrzał w jej stronę. Dłoń, w której trzymał tygodnik, lekko drżała.

— Ja tu zostanę — oświadczył krótko.

— Już naprawdę muszę.... — wyszeptwała Kornelia po raz trzeci.

— Nic puszczyć pani — powiedziała Jacqueline. Szybko wyciągnęła rękę i przygwoździła Kornelię do krzesła.

— Proszę tu zostać i wysłuchać tego, co zamierzam powiedzieć.

— Jackie! — zawołał ostro Simon. — Robisz z siebie idiotkę! Idź spać, na miły Bóg!

Nagle Jacqueline usiadła na krześle. Z ust jej zaczęły płynąć szybko słowa łagodnym, szemrzącym potokiem.

— Boisz się sceny, co? Dlatego, że jesteś Anglikiem w każdym calu? Uosobieniem powściągliwości? Chcesz, żebym się zachowywała przyzwoicie? Prawda? Ale mnie jest wszystko jedno, jak się zachowuję. Lepiej sobie stąd idź, bo chcę tu niejedno powiedzieć...

Jim Fanthorp starannie zamknął książkę, ziewnął, zerknął na zegarek, wstał i wyszedł z salonu. Był to bardzo brytyjski, ale też mało przekonywający przykład zachowania. Jacqueline huśtała się w krześle i wpatrywała w Simona.

— Ty przekłety głupcze! — odezwała się grubiańsko.

— Myślisz, że ci się uda tak odejść bezkarnie, po tym wszystkim, co mi zrobiłeś?

Simon na moment otworzył usta. Siedział nieporuszony, jakby miał nadzieję, że ów wybuch gniewu z czasem sam wygaśnie, byleby tylko nie prowokować Jacqueline do dalszych wystąpień. Głos jej ochrypl i odmawiał posłuszeństwa. Kornelia, nie nawykła do takiego obnażania namiętności, była wprost zafascynowana.

— Już ci powiedziałam — oświadczyła Jacqueline — że prędzej cię zabije, niż pozwolę odejść do innej kobiety. Nic wierzysz, co? To się mylisz! Ja tylko z tym zwlekałam. Bo ty należysz do mnie. Słyszysz?... Do mnie!

Simon milczał. Ręka Jacqueline wykonywała jakieś niespokojne gesty. Nagle dziewczyna pochyliła się do przodu.

— Powiedziałam, że cię zabiję. I to zrobię. — Wyciągnęła rękę, w której błysnął jakiś lśniący przedmiot. — Zabiję cię jak psa, jak parszywego psa, bo takim jesteś!

W końcu Simon nic wytrzymał. Zerwał się na równe nogi, a dziewczyna w tejże samej chwili nacisnęła spust.

Simon zgięty wpół zwałił się na krzesło. Kornelia krzyknęła i rzuciła się w stronę drzwi. Na pokładzie, przechylony przez burtę, stał Jim Fanthorp.

— Panie Fanthorp — zawołała Kornelia. Przybiegł, a ona chwyciła go bezwiednie za ramię. — Strzeliła do niego! Ona do niego strzeliła!

Simon Doyle dalej leżał na krześle... Jacqueline stała obok jakby sparaliżowana. Wstrząsały nią

silne dreszcze, a oczy jej, rozbiegane i przerażone, wpatrywały się w powiększającą się z wolna purpurową plamę na nogawce spodni, poniżej kolana, w miejscu, gdzie Simon silnie przyciskał chustkę do rany.

— Ja... nie chciałam — wyjąkała. — O, mój Boże! Naprawdę nie chciałam.

Pistolet z hukiem wypadł z jej drżących palców na podłogę. Odrzuciła go jednym kopnięciem, aż się potoczył pod kanapę.

— Fanthorp, na miłość boską — wymamrotał słabym głosem Simon. — Ktoś tu idzie. Powiedz, że nic się nie stało. Jakiś drobny wypadek. Nic poważnego. Nie wolno dopuścić do plotek.

Fanthorp spiesznie skinął głową na znak, że zrozumiał. Popędził ku drzwiom, gdzie ukazało się już przestraszone oblicze Nubijczyka.

— Nic się nie stało! To tak dla zabawy!

Na ciemnej twarzy tubylca pojawiło się z wątpienie, potem zdumienie. Wreszcie pojawił się szeroki uśmiech błysnęły zęby. Chłopiec kiwnął głową i odszedł.

Fanthorp powrócił do salonu.

— Załatwione! — rzekł. — Nie sądzę, by ktoś jeszcze to słyszał. Przypominało to wystrzał korka z butelki! A teraz co dalej?

Stanął zaskoczony. Jacqueline zaczęła raptem szlochać histerycznie.

— O Boże! Wolałabym umrzeć! Zabiję się! Nie mam po co żyć... Co ja zrobiłam! Co ja takiego zrobiłam!

Podbiegła do niej Kornelia.

— Spokojnie, moja droga — rzekła.

— Wyprowadźcie ją stąd — oświadczył stanowczo Simon. Miał twarz wykrzywioną bólem i czoło mokre od potu. — Zabierzcie ją stąd, na miłość boską! Odprowadźcie ją do kajuty. Panno Kornelio, proszę sprowadzić tę waszą pielęgniarkę. — Simon zwrócił się do obojga z błaganiem w oczach. — Nie zostawiajcie jej samej. Przypilnujcie, żeby cały czas była pod opieką pielęgniarki. Skontaktujcie się z doktorem Bessnerem i przyprowadźcie go tutaj. I błagam, nie dopuście, by cokolwiek dotarło do mojej żony!

Fanthorp kiwnął głową na znak, że zrozumiał. W tej trudnej sytuacji młody ten człowiek wykazał opanowanie i działał nadzwyczaj sprawnie. Oboje z Kornelią wyprowadzili płaczącą i szamoczącą się Jacqueline z salonu na pokład i powiedli do kajuty. Tam mieli z nią jeszcze więcej kłopotu. Zaczęła się im wrywać siłą i łkała jeszcze głośniejsze.

— Utopię się! Nie potrafię już żyć dalej. Och, Simon, Simon!

— Ja tu zostanę, a pani tymczasem sprowadzi pielęgniarkę — powiedział Fanthorp do Kornelii. Kiwnęła głową i szybko wybiegła z kajuty.

Natychmiast potem Jacqueline schwyciła za ramię Fanthorpa.

— Jego noga... krwawi... roztrzaskana. Gotów się wykrwawić na śmierć. Muszę do niego iść. Och, Simon! Jak ja mogłam? — mówiła podniesionym głosem.

— Cicho, cicho — rzekł Fanthorp stanowczo. — Nic mu nie będzie!

Jacqueline zaczęła znowu wyrywać się Fanthorpowi.

— Proszę mnie puścić! Wyskoczę za burtę! Zabiję się! Fanthorp chwycił ją za ramiona i siłą zaprowadził do łóżka.

— Musi pani tu zostać. Proszę nie robić zamieszania. Niech się pani opanuje. Wszystko będzie w porządku. Ręczę za to.

Ku jego uldze, oszalała dziewczyna zdołała się nieco opanować, ale był rad, kiedy rozchyliły się portiere osłaniające drzwi kajuty i do środka weszła schludnie odziana w straszliwie brzydkie kimono panna Bowers w towarzystwie Kornelii.

— A więc? — odezwała się szorstko. — Co to ma wszystko znaczyć?

Przejęta sprawę w swoje ręce nie okazując ani zdziwienia, ani paniki.

Fanthorp z radością pozostawił rozhisteryzowaną dziewczynę w sprawnych rękach panny Bowers i pospieszył do kajuty, którą zajmował doktor Bessner. Zapukał i nie czekając wszedł natychmiast do środka.

— Doktorze Bessner?

Dało się słyszeć donośne chrapnięcie, a potem przestraszony głos zapytał:

— Co takiego? Coś się stało?

Tymczasem Fanthorp przekreślił kontakt. Oślepiiony światłem doktor zamrugał powiekami i wyglądał niczym ogromna sowa.

— Chodzi o Simona Doyle'a. Został postrzelony. Panna de Bellefort wypaliła do niego z rewolweru. Ranny leży w salonie. Mógłby pan tam przyjść?

Tęgawy doktor zareagował błyskawicznie. Zadał parę zwięzłych pytań, wsunął nogi w kapcie, narzucił szlafrok, wy dobył torbę z narzędziami i udał się z Fanthorpem do salonu.

Simon tymczasem zdołał otworzyć okno, które miał za sobą. Wychylił głowę i wdychał powietrze. Twarz jego wyglądała upiornie.



Doktor Bessner zbliżył się do Simona.

— Ha! Cóż to znowu? Co się dzieje? Chusteczka mokra od krwi leżała na dywanie, na którym ciemniała także purpurowa plama. Doktor Bessner zaczął badać chorego i co jakiś czas wydawał teutońskie chrząknięcia i okrzyki.

— No tak. Wygląda to brzydko. Kość jest uszkodzona. Duży upływ krwi. Herr Fanthorp, musimy zanieść rannego do mojej kajuty. Nie może chodzić. Trzeba go zanieść. O tak, w ten sposób.

Kiedy go nieśli, w drzwiach ukazała się Kornelia. Na jej widok doktor wydał z siebie pomnik zadowolenia.

— A, to pani? To dobrze. Proszę pójść za nami. Będę potrzebował pomocy! Pani lepiej się do tego nada niż ten tu przyjaciel. Wyraźnie już pobladł.

Fanthorp uśmiechnął się blado.

— Czy mam wezwać pannę Bowers? — spytała Kornelia.

Doktor Bessner rzucił znaczące spojrzenie w jej stronę.

— Da sobie pani z powodzeniem radę, panienko — oświadczył. — Nie zemdleje pani? Nie będzie robić głupstw, co?

— Będę robić wszystko, co mi pan poleci — odezwała się skwapliwie Kornelia.

Doktor pokiwał głową z zadowoleniem. Przeszli po pokładzie niczym procesja.

Następne dziesięć minut upłynęło wyłącznie na zabiegach chirurgicznych, co było dla Jima Fanthorpa trudne do zniesienia. Czuł się w duchu zawstydzony opanowaniem, które wykazywała Kornelia.

— Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy — stwierdził na koniec doktor Bessner. — Jest pan bohaterem — rzekł do Simona klepiąc go po ramieniu. Odwinął mu rękaw koszuli i przygotował strzykawkę.

— Zaaplikuję teraz coś, co pomoże panu zasnąć. A co z żoną?

— Lepiej niech o niczym nie wie. Do samego rana — odpowiedział słabym głosem Simon. — Proszę nie mieć tego za złe Jacqueline. To wszystko moja wina. Postąpiłem wobec niej w sposób karygodny... Nieszczęśliwa dziewczyna. Nie wiedziała, co robi.

Doktor Bessner kiwał głową ze zrozumieniem.

— To moja wina — powtórzył z uporem Simon i zwrócił spojrzenie na Kornelię. — Ktoś powinien zostać przy Jackie. Gotowa jeszcze wyrządzić sobie krzywdę.

Doktor Bessner zrobił zastrzyk.

— Proszę się nie martwić. Zostanie przy niej na noc panna Bowers — rzekła z całym spokojem Kornelia.

Na twarzy Simona pojawił się wyraz wdzięczności. Ciało jego jakby się odprężyło. Przymknął oczy. Nagle powieki drgnęły.

— Fanthorp? — odezwał się Simon.

— Słucham.

— Ten pistolet! Nie może tam zostać. Jeszcze go ktoś ze służby odnajdzie z rana.

Fanthorp pokiwał głową.

— Ma pan rację. Zaraz tam pójde i przyniosę. — Wyszedł z kajuty i pomaszerował po pokładzie. W drzwiach kajuty zajmowanej przez Jacqueline pojawiła się panna Bowers.

— Z nią mamy już spokój. Dałam jej zastrzyk z morfiny — oznajmiła.

— Ale będzie pani przy niej?

— Oczywiście! Morfina działa czasem podniecająco na niektórych ludzi. Zostanę z nią przez całą noc.

Fanthorp udał się do salonu.

W trzy minuty później ktoś zapukał do kajuty Bessnera.

— Doktorze!

— Słucham! — otyły mężczyzna stanął w drzwiach. Fanthorp wywołał go na pokład.

— Nic mogę znaleźć tego pistoletu — powiedział.

— Jakiego pistoletu?

— Tego, który wypadł z rąk dziewczyny. Szurnęła go nogą i wpadł pod kanapę. Ale teraz go tam nie ma.

Spojrzeli po sobie.

— Kto go zabrał? Fanthorp wzruszył ramionami.

— Zdziwiające — stwierdził Bessner. — Cóż, trudno. Nic na to nie poradzimy.

Zaskoczeni i zaniepokojeni rozeszli się każdy w swoją stronę.



# Rozdział XIII

Herkules Poirot zmywał właśnie resztki piany z świeżo ogolonej twarzy, kiedy rozległo się szybkie pukanie do drzwi i prawie natychmiast wszedł bezceremonialnie pułkownik Race. Starannie zamknął za sobą drzwi.

— Nic zawiódł pana instynkt. Już się stało — rzekł. Poirot wyprostował się.

— Co się stało? — zapytał surowo.

— Linnet Doyle zabita, dziś w nocy, strzałem w głowę.

Poirot trwał chwile w milczeniu mając żywo przed oczyma postać dziewczyny w asuańskim parku mówiącej stanowczo, omal bez tchu: „Z ochotą przyłożyłabym jej do głowy mój kochany pistolecik i pociągnęła za cyngiel...” oraz drugie, świeższej daty wspomnienie słów wypowiedzianych przez ten sam głos: „W taki właśnie dzień coś się nagle wali... Człowiek raptem czuje, że już dłużej nie wytrzyma...”, i ten dziwny, krótki błysk niemej prośby w oczach.

Jak to się stało, że w ogóle nie zareagował? Był ślepy, głuchy, otępiały od senności...

— Występuję tu w pewnym sensie urzędowo — rzekł pułkownik Race. — Wezwano mnie i oddano sprawę w moje ręce. Statek powinien wyruszyć za pół godziny, ale wyjazd może ulec zwłoce, jeśli tego zażądam. Jest, oczywiście, możliwe, iż morderca przybył z lądu.

Poirot pokręcił głową. Race zgodził się z nim bez słowa.

— Ma pan rację. Ktoś bardzo sprytnie to wykoncypował. No cóż, przyjacielu, decyzja należy do pana. Pole do popisu otwarte!

Poirot ubrał się w precyzyjnie wymierzonym tempie.

— Jestem do pana dyspozycji — powiedział do Race'a i wyszli obaj na pokład.

— Bessner powinien już tu być. Posłałem po niego — rzekł pułkownik.

Na pokładzie „Karnaka” znajdowały się cztery kajuty ekstraklasy z osobnymi łazienkami: dwie po lewej burcie, z których jedną zajmował doktor Bessner, a drugą Andrew Pennington, i dwie po prawej, należące do panny Van Schuyler i Linnet Doyle. Tuż obok znajdowała się też garderoba Simona Doyle'a. Przed wejściem do kajuty Linnet Doyle stał poblądły steward. Otworzył im drzwi i weszli do środka. Nad łóżkiem stał pochylony doktor Bessner. Spojrzał na wchodzących i chrząknął.

— Co pan może na ten temat powiedzieć, doktorze? — spytał Race.

Bessner podrapał się w nie ogoloną szczękę w milczeniu.

— Cóż, zginęła od kuli, zastrzelona z bardzo niewielkiej odległości. Proszę spojrzeć! Kula weszła tutaj, powyżej ucha. Bardzo mały pocisk, powiedzmy kaliber dwadzieścia dwa. Pistolet przyłożono do samej głowy. Proszę spojrzeć: zaczerwienione tutaj miejsce to osmalony naskórek.

I znów nawiedziło Poirota dręczące wspomnienie słów usłyszanych w Asuanie.

— Spała wtedy. Nic było żadnej walki — mówił Bessner. — Morderca zakradł się po ciemku i strzelił do leżącej tu ofiary.

— *Oh, non!*\* — wykrzyknął Poirot. Wycucie psychologii kazało mu ostro zaprotestować. Jacqueline de Bellefort wślizgująca się po ciemku do kabiny z rewolwerem w ręce? Nie! To nie odpowiadało jego wyobrażeniom.

Bessner spoglądał na detektywa przez grube szkła okularów. — Ręczę panu, że tak właśnie było.

— Możliwe. Nie kwestionuję tego, co pan mówi. I nie będę się o to sprzeczał.

Bessner wydał z siebie pomruk zadowolenia.

Poirot podszedł i stanął obok doktora. Linnet Doyle leżała na boku. Pozycja ciała była całkiem naturalna i swobodna. Tylko koło ucha widniał mały otwór okolony drobinkami zakrzepłej krwi.

Poirot pokręcił smutno głową. Nagle spojrział na białą malowaną ścianę i aż mu dech zaparło. Jej schludna biel skażona była wielką krzywą literą J wypisaną jakąś brązowoczerwoną substancją.

Poirot przyjrzał się temu dokładnie, następnie pochylił się nad zabitą dziewczyną i delikatnie unióś jej prawą rękę. Na jednym z palców były także brązowoczerwone plamy.

— *Nom d'un nom d'un nom*\* — powiedział Poirot.

— Co takiego? — spytał Bessner i spojrział. Ach, o to panu chodzi?

— No cóż — odezwał się Race. — Jestem zupełnie zbity z tropu. A jakie jest pana zdanie, Poirot?

— Moje zdanie? *Eh bien*\*. Sprawa jest bardzo prosta! Prawda? Pani Doyle umiera, chce wskazać mordercę, więc pisze palcem umazanym we własnej krwi pierwszą literę imienia mordercy. To jest aż zadziwiająco proste?

— Ależ przecież... — wtrącił doktor Bessner, lecz Race uciszył go stanowczym mchem ręki.

— Więc to tak pana zaskoczyło? — powiedział Race. Poirot zwrócił się w jego stronę i skinął potakująco głową.

— No właśnie. To jest, jak się mówi, aż zadziwiające w swej prostocie. I powszechnie znane, prawda? Często tak się robi w powieściach kryminalnych. Ale obecnie jest to już doprawdy nieco *vieux jeu*!\* To skłania do podejrzeń, że nasz morderca jest... staroświecki.

Race wydał głębokie westchnienie.

— Wie pan? Myślałem z początku... — odezwał się Race i zamilkł.

— Że dam się nabrać na te stare, melodramatyczne chwyt — dokończył Poirot z bladym uśmiechem. — Przepraszam, doktorze Bessner. Zdaje się, że chciał pan coś powiedzieć...

— No właśnie! — rzekł gwałtownie Bessner. — Uff! Chcę powiedzieć, że to jest absurd, czysty nonsens. Śmierć tej młodej damy była natychmiastowa. Wykluczone, by mogła zamoczyć palec we własnej krwi, której, jak widać, prawie nie było, i wypisać literę J na ścianie. To jakaś melodramatyczna bzdura!

— *C'est de l'enfantillage*\* — zgodził się Poirot.

— Ale zrobiona celowo — zasugerował Race.

— Oczywiście — stwierdził Poirot z pomnym wyrazem twarzy.

— Co ta litera może oznaczać? — zapytał Race.

— Jacqueline de Bellefort — spieszenie odrzekł Poirot. — Młodą damę, która mi oświadczyła zaledwie tydzień temu, że niczego innego nie pragnie — pomyślał chwilę i zacytował dokładnie — jak „przyłożyć mój ukochany pistolecik do głowy Linnet Doyle i pociągnąć za cyngiel...”

— *Gott im Himmel!*\* — wykrzyknął doktor Bessner. Zaległo na chwilę milczenie. Potem Race zrobił głęboki wdech.

— Czyżby tak się właśnie stało? — powiedział. Bessner pokiwał głową.

— Całkiem możliwe. To był też, pistolet bardzo małego kalibru, powiedzmy, dwadzieścia dwa. Trzeba jednak wpierw wydobyć kulę, aby stwierdzić coś definitywnie.

Race skinął głową ze zrozumieniem.

— Kiedy nastąpił zgon? — spytał.

Bessner przesunął ręką po brodzie. Spod palców dobył się suchy trzask.

— Nie będę się silił na dokładność. Jest teraz godzina ósma. Na pewno nie żyje już od sześciu lub najwyżej ośmiu godzin, biorąc pod uwagę temperaturę minionej nocy.

— Zgon nastąpił zatem między północą a drugą nad ranem?

— Tak, na to wygląda.

Zaległa cisza. Pułkownik Race rozejrzał się dokoła.

— Co z jej mężem? Chyba śpi w sąsiedniej kabinie?

— Śpi w tej chwili w mojej — rzekł doktor Bessner. Poirot i Race byli i tym wyraźnie zdumieni. Doktor Bessner pokiwał głową.

— To panowie o niczym nic wiedzą? Pan Doyle został postrzelony minionej nocy w salonie.

— Postrzelony? Przez kogo?

— Przez młodą damę, Jacqueline de Bellefort.

— Czy jest poważnie ranny? — spytał Race surowo.

— Tak. Ma uszkodzoną kość. Zrobiłem, co się dało, ale trzeba koniecznie tę strzaskaną kość jak najprędzej prześwietlić i zastosować odpowiednie leczenie, co jest zupełnie niemożliwe na statku.

— Jacqueline de Bellefort? — wymruczał Poirot. Oczy jego raz jeszcze powędrowały ku literze J na ścianie.

— Chyba nie mamy tu już nic do roboty. Zejdźmy więc na dół — oświadczył nagle Race. — Zarządzający oddał palarnię do naszej dyspozycji. Musimy zebrać szczegóły wypadków, które się tu wydarzyły minionej nocy.

Wyszli z kajuty. Race zamknął drzwi na klucz i zabrał go ze sobą.

— Możemy tu przyjść później — rzekł. — A teraz należy przecie wszystkim wyjaśnić fakty.

Zeszli na dolny pokład i natknęli się łam na zarządzającego „Karnakiem”, który czekał niespokojnie u wejścia tło palami. Biedak był ogromnie przybity i zmartwiony całą sprawą. Gotów był oddać wszystko do dyspozycji pułkownika Race’a.

— Czuję, że najlepiej będzie, jeśli przekażę całą sprawę tak wysoko postawionym osobom, jak panowie. Otrzymałem polecenie, by się podporządkować rozkazom panów w... innej jeszcze kwestii. Kiedy przejmiecie sprawy w swoje ręce, będę pilnował, by wszystko było tak, jak sobie panowie życzą.

— To świetnie — rzekł Race. — W pierwszym rzędzie chcielibyśmy zatrzymać to pomieszczenie do naszej dyspozycji, kiedy będziemy przeprowadzać wstępne dochodzenie.

— Ależ naturalnie!

— To na razie wszystko. Proszę już wracać do swoich zajęć. Wiemy, gdzie będzie można pana znaleźć. Nieco uspokojony, zarządca statku wyszedł z palami.

— Proszę usiąść, doktorze Bessner — odezwał się Race. — Omówimy teraz wszystkie wydarzenia minionej nocy.

Słuchali w milczeniu, jak opowiada dudniącym basem.

— Dla mnie sprawa jest dość jasna — stwierdził Race, kiedy doktor skończył relację. — Dziewczyna sama doprowadziła się do takiego stanu wypijając parę drinków i w końcu strzeliła do tego osobnika z pistoletu kaliber dwadzieścia dwa. Następnie poszła do kajuty Linnet Doyle i również do niej oddała strzał.

Doktor Bessner pokręcił przecząco głową.

— Nie. Jestem innego zdania. Uważam, że to niemożliwe. W jakim celu miałyby wypisywać swoje inicjały na ścianie? Przecież to byłoby śmieszne, *nicht wahr?*\*

— Mogła to zrobić — stwierdził Race — skoro była tak zaślepiona i wściekła z zazdrości, jak to sama stwierdziła. A nuż zapragnęła, jak to się mówi, złożyć swój podpis pod zbrodnią?

— O, nie! — zaprotestował Poirot. — Nie uważam jej za aż tak prymitywną osobę!

— Wobec tego istnieje tylko jedno wytłumaczenie owego J. Ktoś inny wypisał je celowo, aby rzucić podejrzenie na Jacqueline de Bellefort.

Bessner potaknął głową.

— Słusznie. Ale morderca miał pecha. To niemożliwe, aby ta młoda osoba dokonała morderstwa. Takie jest moje zdanie.

— Z czego pan to wnosi?

Bessner opisał atak hysterii u Jacqueline i okoliczności, które spowodowały, że panna Bowers objęła nad nią opiekę.

— Sądzę, jestem nawet pewien, że pielęgniarka przesiedziała u niej całą noc.

— Jeśli tak było — rzekł Race — to sprawa niebywale się upraszcza.

— Kto odkrył morderstwo? — spytał Poirot.

— Pokojówka pani Doyle, Luiza Burget. Poszła, jak zwykle, do swej chlebodawczyni, znalazła ją martwą, wybiegła z kajuty i padła zemdlna wprost w ramiona stewarda. Ten poszedł do zarządzającego, który następnie zjawił się u mnie. Skontaktowałem się z Bessnerem, a potem zastukałem do pana.

Poirot kiwał potakująco głową.

— Trzeba zawiadomić o tym Simona Doyle'a. Powiedział pan, że on jeszcze śpi?

— Tak — stwierdził Bessner. — Śpi w mojej kajucie. Zaaplikowałem mu silny środek nasenny zeszłej nocy.



— No cóż — zwrócił się Race do Poirota. — Chyba nic ma potrzeby dłużej indagować doktora, prawda? Dziękujemy panu bardzo.

— Zjem teraz śniadanie — rzekł Bessner wstając. — Następnie pójdę do kajuty zobaczyć, czy można już budzić pana Doyle'a.

— Dziękujemy.

Bessner wyszedł. Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

— I co dalej? — spytał Race. — To pan ma kierować tą sprawą. Ja będę tylko wykonywał pańskie rozkazy. Proszę mówić, co trzeba robić.

Poirot zrobił ukłon w jego stronę.

— *Eh bien*\* — powiedział. — Musimy zarządzić oficjalne przesłuchanie. Należy przede wszystkim zweryfikować relacje o wydarzeniach minionej nocy. Musimy przesłuchać Fanthorpa i pannę Robson, którzy byli naocznymi świadkami tego, co się tu stało. Zniknięcie pistoletu jest też bardzo znamienne.

Race zadzwonił na stewarda i przez niego przekazał polecenie.

— Niedobrze — westchnął Poirot kręcąc głową. — Bardzo niedobrze — zamruczał.

— Ma pan jakieś koncepcje? — spytał zaciekawiony Race.

— Tak. Ale one kłócą się z sobą. Są bezładne i takie chaotyczne. Istnieje, jak panu wiadomo, ważny fakt, że owa dziewczyna nienawidziła Linnet Doyle i pragnęła ją zabić.

— Uważa pan, że byłaby do tego zdolna? — zapytał Race.

— Sądzę, że... tak — w głosie Poirota brzmiało wahanie.

— Ale nie w taki sposób, prawda? I to właśnie pana nurtuje, co? Wkraść się po ciemku do kajuty i zabić ofiarę pogrążoną we śnie? Takie działanie z zimną krwią nie trafia panu do przekonania?

— Chyba tak... — odpowiedział Poirot.

— Pana zdaniem Jacqueline de Bellefort nie jest zdolna do popełnienia z zimną krwią morderstwa z premedytacją?

— Nie mam co do tego zupełnej pewności — odrzekł z wolna Poirot. — Ma na to dość sprytu. Ale wątpię, czy potrafiłaby temu podołać w sensie fizycznym.

— Tak, rozumiem — rzekł Race. — Bessner też sądzi, że byłoby to fizycznie niemożliwe. Jeśli to prawda, będziemy mieli sprawę znacznie ułatwioną.

— Miejmy nadzieję, że tak jest — powiedział Poirot. Zamilkł na chwilę, a potem dodał z prostotą:  
— Będę rad, jeśli to okaże się prawdą, bo mam dla tej małej dużo współczucia.

Drzwi się otworzyły i wszedł Fanthorp z Kornelią. Za nimi podążał doktor Bessner.

— Czy to nie straszne? — zawołała z przejęciem Kornelia. — Biedna pani Doyle! Taka była piękna! Co to musiał być za straszny łotr, ten co ją zgładził. Nieszczęśliwy pan Doyle! Chyba oszaleje, gdy się o tym dowie. Tak się okropnie bał tamtej nocy, żeby się pani Doyle nie dowiedziała o tym wypadku...

— Właśnie o tym chcielibyśmy z panią porozmawiać — rzekł Race. — Proszę nam opowiedzieć dokładnie, co się zdarzyło owej nocy.

Na początku Kornelia trochę się plątała, ale zaradził temu Poirot zadając jej kilka pytań.

— Było więc tak: pani Doyle skończyła grać w brydża i udała się do kajuty, ale czy naprawdę tam poszła, to nie wiem...

— Na pewno — oświadczył Race. — Byłem przy tym. Pożegnałem ją tuż pod drzwiami kajuty.

— Która to była godzina?

— O, Boże, nic potrafię powiedzieć! — zawołała Kornelia.

— Było wtedy dwadzieścia po jedenastej — odrzekł Race.

— *Bien*\*. Zatem dwadzieścia po jedenastej *madame* Doyle była jeszcze cała i zdrowa. Kto wtedy jeszcze znajdował się w salonie?

— Jej mąż, panna de Bellefort, panna Robson i ja — wyjaśnił Fanthorp.

— Zgadza się. Bo pan Pennington dopił tylko drinka i zaraz poszedł spać — dorzuciła Kornelia.

— W jaki czas potem?

— Jakieś trzy lub cztery minuty później.

— Wobec tego jeszcze przed wpół do dwunastej.

— Tak jest.

— W salonie pozostała więc pani, Jacqueline de Bellefort, pan Doyle oraz pan Fanthorp. Co wtedy robiliście?

— Pan Fanthorp czytał książkę. Ja haftowałam. Panna de Bellefort... ona...

— Dość dużo piła — pospieszył z wyjaśnieniem Fanthorp.

— To prawda — potwierdziła Kornelia. — Wiele rozmawiała, głównie ze mną. Wypytywała o moje rodzinne sprawy. Mówiła bez przerwy, niby do mnie, ale ja miałam wrażenie, że to się jednak odnosiło do pana Doyle'a. Widać było, że go tym doprowadza do wściekłości, ale się nie odzywał. Uznał pewnie, że jeśli będzie milczał, to wtedy ona sama się uspokoi. Tak mi się zdaje...

— Ale tak się nie stało? Kornelia pokręciła przecząco głową.

— Parę razy chciałam już sobie pójść, ale ona mnie nie puszczała i czułam się coraz bardziej zakłopotana. Wtedy to pan Fanthorp podniósł się i wyszedł...

— Zrobiło się trochę nieswojo — wyjaśnił Fanthorp.

— Postanowiłem więc wynieść się dyskretnie. Panna de Bellefort najwyraźniej chciała wywołać awanturę.

— Zaraz potem wyjęła pistolet — mówiła Kornelia — a pan Doyle skoczył, bo chciał ją obezwładnić, ale pistolet wystrzelił i kula zraniła go w nogę. Potem ona zaczęła szlochać i krzyczeć, a ja się okropnie przelęknłam i pobiegłam do pana Fanthorpa, który ze mną wrócił, a wtedy pan Doyle poprosił, żeby nie robić zamieszania. Jeden ze służących usłyszał strzał i przybiegł, ale pan Fanthorp powiedział mu, że nic się takiego nie stało, a potem zaprowadziliśmy Jacqueline do kajuty i pan Fanthorp z nią tam został, a ja tymczasem poszłam po pannę Bowers... — tu Kornelia zamilkła, bo jej zabrakło tchu.

— O której to było godzinie? — spytał Race.

— O Boże, nie wiem — oświadczyła, ale Fanthorp natychmiast pośpieszył z odpowiedzią.

— Musiało to być chyba dwadzieścia minut po dwunastej. Wiem, że było wpół do pierwszej, kiedy wreszcie znalazłem się w swojej kajucie.

— Chciałbym się teraz upewnić co do paru punktów — rzekł Poirot. — Czy ktoś z was czworga opuszczał salon od momentu, kiedy wyszła pani Doyle?

— Nie.

— Czy jesteście zupełnie pewni, że panna de Bellefort nie wychodziła w ogóle z salonu?

— Najzupełniej — odpowiedział natychmiast Fanthorp. — Doyle, panna de Bellefort, panna Robson ani ja nic wychodziliśmy z salonu.

— Doskonale. Zatem możemy ustalić fakt, że panna de Bellefort nie mogła zabić pani Doyle przed godziną dajmy na to, dwadzieścia po dwunastej. Panno Robson, czy Jacqueline została sama wtedy, kiedy pani poszła sprowadzić pielęgniarkę?

— Nie. Był z nią pan Fanthorp.

— W porządku — odrzekł Poirot. — Jak dotąd, panna de Bellefort ma doskonałe alibi. Następną

osobą do przesłuchania jest panna Bowers, ale nim po nią posłę, chciałbym znać pani zdanie co do paru kwestii. Z pani słów wynika, że Simon Doyle bardzo zabiegał o to, by nic zostawiać Jacqueline de Bellefort samej. Czy sądzi pani, że obawiał się, iż knuje ona jakiś następny niecny czyn?

— Takie jest moje przekonanie — wtrącił Fanthorp.

— Czyżby obawiał się, że mogłaby rzucić się na panią Doyle? — Nie — odrzekł Fanthorp kręcąc głową. — Nie sądzę, aby tak myślał. Moim zdaniem, Doyle bał się, że panna de Bellefort może zrobić coś z tego... sobie.

— Samobójstwo?

— Tak. Płakała gorzko i rozpaczała nad tym, co zrobiła. Czuła wielki żal do siebie samej. Ciągłe powtarzała, że nic chce już, dłużej żyć.

— Myślę, że Doyle był nią bardzo przejęty — rzekła Kornelia. — Odezwał się tak jakoś serdecznie. Powiedział, że to jego wina, bo się obszedł podle z Jacqueline. Naprawdę, zachowywał się bardzo wzruszająco.

Poirot kiwał głową w zamyśleniu.

— A co z pistoletem? — spytał. — Co się z nim stało?

— Wypadł jej z ręki — powiedziała Kornelia.

— A potem?

Fanthorp opowiedział więc, jak poszedł szukać pistoletu i w żaden sposób nie mógł znaleźć.

— Aha — rzekł Poirot. — Dochodzimy więc już do sedna sprawy. A teraz, błagam was, bądźmy dokładni! Proszę mi szczegółowo opisać, jak to było.

— Wypadł jej z ręki, a potem ona kopnęła go nogą.

— Jakby nabrała do pistoletu odraży. Wyobrażam sobie, co czuła.

— Powiada pani, że wpadł pod kanapę? A teraz niech się pani zastanowi: czy Jacqueline de Bellefort nie zabrała go przed opuszczeniem salonu?

Obydwoje, Kornelia i Fanthorp, zgodnie temu zaprzeczyli.

— *Précisément!*\* Staram się być bardzo dokładny. A teraz wracajmy do rzeczy. W chwili kiedy panna de Bellefort wychodzi z salonu, pistolet jest pod kanapą, a ponieważ ani przez chwilę nie jest sama, bo przebywa z nią pan Fanthorp, panna Robson albo panna Bowers, nie ma więc sposobności, aby odzyskać pistolet po wyjściu z salonu. Która to była godzina, panie Fanthorp, kiedy pan wyruszył po pistolet?

— Musiało być tuż po wpół do pierwszej.

— Ile czasu mogło upłynąć od momentu, kiedy wynieśliście panowie Simona Doyle'a z salonu, a chwilą, kiedy poszedł pan szukać pistoletu?

— Około pięciu minut, może trochę dłużej.

— Zatem w ciągu pięciu minut ktoś usunął pistolet z miejsca, gdzie leżał ukryty pod kanapą? Ale to nie mogła być panna de Bellefort. Więc kto? Jest całkiem prawdopodobne, że był to morderca pani Doyle. Możemy także przyjąć, że ten ktoś podsłuchiwał albo widział coś z wydarzeń, które się na krótko przedtem rozegrały.

— Skąd to przyszło panu do głowy? — zdumiał się Fanthorp.

— Albowiem — wyjaśnił Herkules Poirot — powiedział pan, że pistolet wpadł głęboko pod kanapę. Jest więc prawie niemożliwe, by go odkryto przypadkiem. Wydostał go stamtąd ktoś, kto dobrze wiedział, że tam leży, gdyż zapewne był świadkiem całej tej sceny.

Fanthorp pokręcił głową.

— Wyszedłem na pokład tuż zanim padł strzał, ale nie widziałem nikogo.

— Ale wyszedł pan drzwiami od strony prawej burty?

— Tak. Tam właśnie jest moja kajuta.

— A gdyby ktoś w tym czasie zaglądał przez szybę od lewej burty, czy pan by go dostrzegł?

— Nie — przyznał Fanthorp.

— Czy ktoś jeszcze słyszał wystrzał poza młodym służącym?

— Zdaje się, że nikt. — Wie pan, wszystkie okna były zamknięte, bo panna Van Schuyler narzekała na przeciągi już od wczesnego wieczora. Drzwi wahadłowe też zamknięto. Wątpię, czy ktoś mógł słyszeć ten strzał wyraźnie. Najwyżej jako odgłos podobny do wystrzału korka z butelki.

— O ile mi wiadomo, to w ogóle nikt nie słyszał wystrzału, od którego zginęła pani Doyle? — zauważył Race.

— Do tego właśnie punktu przejdziemy niebawem — rzekł Poirot. — Ciągłe jeszcze zajęci jesteśmy osobą panny de Bellefort. Teraz należałoby pomówić z panną Bowers. Zanim jednak wyjdziecie — ruchem ręki zatrzymał Fanthorpa i Kornelie — powiedzcie mi co nieco o sobie. Nic będzie już potem potrzeby wzywać was ponownie. Najprzód pan. Jak brzmi pańskie nazwisko?

— James Lechdale Fanthorp.

— Adres?

— Glasmore House, Market Donnington, Northhamptonshire.

— Zawód pana?

— Jestem prawnikiem.

— W jakim celu przyjechał pan do tego kraju? Nastąpiła chwila ciszy. Zrównoważony pan Fanthorp

był po raz pierwszy najwyraźniej zaskoczony.

— Hm... Dla własnej... przyjemności — wymamrotał wreszcie.

— Ach tak? — rzekł Poirot. — Spędza pan urlop?

— No... tak...

— W porządku. Proszę mi krótko zrelacjonować, po kolei, co pan robił zeszłej nocy tuż po wydarzeniach, o których pan opowiadał.

— Położyłem się natychmiast spać.

— O której to było godzinie?

— Zaraz po wpół do pierwszej.

— Kabina pana ma numer dwadzieścia dwa, znajduje się po prawej burcie, tuż obok salonu?

— Tak.

— Jeszcze jedno pytanie. Słyszał pan cokolwiek jeszcze po przyjściu do swej kabiny?

— Położyłem się zaraz do łóżka. Zdaje się, że słyszałem jakiś plusk, tuż przed zaśnięciem. Nic więcej.

— Jakiś plusk? Gdzieś w pobliżu? Fanthorp pokręcił głową.

— Trudno mi określić. Byłem na wpół śpiący.

— O której to było godzinie?

— Chyba koło pierwszej. Doprawdy, nie potrafię powiedzieć.

— To wystarczy. Bardzo panu dziękujemy. Poirot zwrócił się do Kornelii:

— Pani pełne nazwisko?

— Kornelia Ruth Robson. Mój adres: Red House, Bellfield, Connecticut.

— Co panią sprowadza do Egiptu?

— Przywiozła mnie tu na wycieczkę kuzynka Maria.

— Czy pani знаła już przedtem Linnet Doyle?

— Nie.

— Co pani robiła zeszłej nocy?

— Pomagałam doktorowi Bessnerowi opatrywać nogę pana Doyle'a, a potem zaraz poszłam spać.

— Pani kajuta?

— Ma numer czterdzieści trzy, jest od lewej burty, tuż obok kajuty panny de Bellefort.

— Czy pani coś może słyszała?

— Nie, nic — rzekła Kornelia kręcąc głową.

— Jakiś plusk?

— Nie. I tak bym nie usłyszała, bo burta od tej strony przytyka do brzegu.

Poirot kiwnął głową.

— Dziękuję. Zechce teraz pani łaskawie poprosić pannę Bowers, żeby tu przyszła.

Fanthorp i Kornelia opuścili salon.

— Wygląda to dość jasno — odezwał się Race. — Jeśli tych troje nie związanych z sobą świadków, mówi prawdę, Jacqueline de Bellefort nic mogła wydostać tego pistoletu. Wziął go ktoś inny. Widział całą scenę i był aż tak podły, że wypisał na ścianie literę J.

Rozległo się pukanie i weszła panna Bowers. Usiadła przybierając typowo urzędową pozę zawodowej pielęgniarki. Podała Poirotowi swoje nazwisko, adres, kwalifikacje.

— Opiekuję się panną Van Schuyler od przeszło dwóch lat — wyjaśniła.

— Czy stan jej zdrowia jest istotnie bardzo kiepski?

— Skądże znowu. Ja tego nie stwierdzam — odparła panna Bowers. — Jest już niemłoda, bardzo się troszczy o siebie i lubi mieć pielęgniarkę pod ręką. Nic poważnego jej nic dolega. Przyjemność jej sprawia, że ktoś koło niej chodzi i chętnie za to płaci.

Poirot kiwał głową ze zrozumieniem.

— To panna Robson wezwwała panią zeszłej nocy, prawda?

— Tak. Oczywiście.

— Może mi pani opowiedzieć dokładnie, jak to było?

— Otóż, powiedziała mi krótko, co się stało i zaraz tam z nią poszłam. Zobaczyłam, że panna de Bellefort jest bardzo wzburzona i ma atak hysterii.

— Czy rzucała jakieś groźby pod adresem pani Doyle?

— Nie. Żadnych. Okropnie żałowała swego postępuku. Wypiła, zdaje się, sporo alkoholu i to na nią tak podziałało. Uznałam, że nie można jej samej zostawić. Zrobiłam jej zastrzyk z morfiny i siedziałam przy niej.

— Proszę nam teraz odpowiedzieć na takie pytanie: czy panna de Bellefort opuszczała w ogóle kajutę?

— Nie opuszczała.

— A pani?

— Byłam z nią bez przerwy, aż do rana.

— Jest pani tego całkowicie pewna?

— Absolutnie.

— Dziękuję, panno Bowers.

Pielęgniarka wyszła. Poirot i Race spojrzeli jeden na drugiego.

Jacqueline de Bellefort była zatem całkowicie oczyszczona z podejrzeń o dokonanie morderstwa.

Kto wobec tego zastrzelił Linnet Doyle?



# Rozdział XIV

— Ktoś ukradł pistolet. Nie zrobiła tego Jacqueline de Bellefort — oświadczył Race. — Ktoś znał wystarczająco dużo faktów, by powziąć przekonanie, że morderstwo zostanie jej przypisane. Ale ten ktoś nie wiedział, że pielęgniarka zrobi pannie de Bellefort zastrzyk z morfiny i spędzi u niej całą noc. Dochodzi tu jeszcze jedna kwestia. Ktoś próbował uśmiercić pannę Doyle zrzucając głaz ze skały. Nie zrobiła tego Jacqueline de Bellefort. Więc kto?

— Łatwiej będzie stwierdzić, kto tego nie mógł zrobić. Nie mogli mieć z tym nic wspólnego: pan Doyle, pani Allerton, Tim Allerton, panna Van Schuyler ani panna Bowers. Znajdowali się w zasięgu mego wzroku.

— Hm. Powstaje w ten sposób dosyć szerokie pole widzenia — odrzekł Race. — A jak się przedstawia sprawa motywu zabójstwa?

— Mam nadzieję, że pan Doyle będzie nam mógł pomóc w tym względzie. Wydarzyło się parę incydentów...

Otworzyły się drzwi i weszła Jacqueline de Bellefort. Była niezmiernie blada i szła nieco chwiejnym krokiem.

— Ja tego nie zrobiłam — oświadczyła głosem przestraszonego dziecka. — Nie zrobiłam tego. Proszę mi wierzyć. Każdy będzie mnie o to posądzał, ale ja tego nie zrobiłam. To... straszne. Okropnie żałuję, że tak się stało. Mogłam najwyżej zabić Simona tamtej nocy, bo wpadłam w szal. Ale jeśli idzie o to drugie... Ja tego nie zrobiłam!

Usiadła i wybuchnęła płaczem. Poirot poklepał ją po ramieniu.

— No, już dosyć łez. Wiemy, że pani nie zabiła Linnet Doyle. Rzecz to dowiedziona, *mon enfant*\*, dowiedziona. To nie była pani!

Jacqueline wyprostowała się, ścisnęła w dłoniach mokrą chustkę.

— Więc kto?

— Zadajemy sobie to samo pytanie. A może pani przyjdzie nam z pomocą?

Jacqueline pokręciła głową.

— Nie wiem... Nie wyobrażam sobie... Nie mam najmniejszego pojęcia...

Zmarszczyła czoło w zadumie.

— Nie! — stwierdziła wreszcie. — Nie wiem, komu mogłoby zależeć na śmierci Linnet — tu głos

jej nieco się załamał — prócz mnie samej?

— Przepraszam, muszę na chwilę wyjść — odezwał się Race. — Coś mi się przypomniało.

Wybiegł z pokoju.

Jacqueline de Bellefort siedziała z pochyloną głową i nerwowo załamywała dłonie.

— Śmierć to straszna rzecz — stwierdziła nagle.

— Sama myśl o niej jest mi nienawistna.

— Tak. Niemiła to rzecz uświadomić sobie, że tam ktoś się w tej chwili raduje, bo tak pomyślnie przeprowadził swój plan... — zauważył Poirot.

— Niech pan przestanie! — krzyknęła Jacqueline. — To, co pan mówi, jest przerażające!

Poirot wzruszył ramionami.

— Ale zgodne z prawdą.

— Pragnęłam jej śmierci — powiedziała Jacqueline smutnym głosem — i śmierć ją zabrała. A co gorsza... Zginęła dokładnie tak, jak zapowiedziałam.

— Tak, *mademoiselle*. Przestrzelono jej głowę.

— Miałam wiec racje tego wieczora, w hotelu Katarakta! — wykrzyknęła Jacqueline. — Ktoś tam był i podsłuchiwał.

— No właśnie! — rzekł Poirot kiwając głową. — Byłem ciekaw, czy pani to jeszcze pamięta. Ogólnie rzecz biorąc, jest to coś więcej niż przypadek, że panią Doyle uśmiercono właśnie w sposób, jaki pani opisywała.

Jacqueline wstrząsnął dreszcz.

— Kto to mógł być?... Ów mężczyzna... wtedy, wieczorem.

Poirot milczał parę minut, a potem odezwał się, ale już zupełnie zmienionym głosem.

— Jest pani pewna, że to był mężczyzna? Jacqueline spojrzała na Poirota ze zdumieniem.

— Oczywiście! W każdym razie...

— No, właśnie, *mademoiselle*.

Dziewczyna zmarszczyła brwi, przymknęła oczy i usiłowała coś sobie przypomnieć.

— Uznałam, że to był mężczyzna — odrzekła. — Tak mi wtedy przyszło na myśl, chociaż w istocie

była to... tylko postać... czyjś cień.

Umilkła, a ponieważ Poirot milczał, więc zapytała: — Sądzi pan, że mogła to być kobieta? Ależ niemożliwe, by któraś z kobiet na tym statku mogła żywić wobec Linnet zbrodnicze zamiary?

Poirot poruszał tylko głową z boku na bok.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich doktor Bessner.

— Zechce pan łaskawie przyjść i pomówić z panem Doylem — rzekł do Poirota. — On chce się z panem zobaczyć.

Jackie zerwała się na równe nogi. Chwyciła doktora Bessnera za ramię.

— Jak się on miewa? Dobrze się czuje?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział doktor Bessner z wyrzutem w głosie. — Ma uszkodzoną kość! Czy pani tego nic rozumie?

— Ale nie umrze z tego, prawda? — zawołała.

— Cóż znowu! Kto tu mówi o umieraniu! Dowieziemy go tylko do cywilizowanego świata, a tam będzie już aparat rentgenowski i właściwe leczenie.

— Ach! — wykrzyknęła zaciskając dłonie z gwałtowną siłą i znów opadła na krzesło.

Poirot wyszedł na pokład w towarzystwie doktora i w tejże chwili dołączył do nich pułkownik Race. Weszli po schodach na odkryty pokład, po czym udali się do kajuty Bessnera.

Simon Doyle leżał podparty poduszkami, z nogą na zaimprovizowanej także z poduszek podporze. Miał twarz upiornie bladą, naznaczoną w dodatku bólem i przebyłym szokiem, ale przede wszystkim malował się na niej wyraz oszołomienia, jak u nieprzytomnego z choroby dziecka.

— Proszę wejść — mruknął. — Doktor już mi powiedział... o Linnet. To niepojęte! Po prostu nie mogę uwierzyć, że to prawda.

— No cóż! To poważny cios — stwierdził Race.

— Tego nie zrobiła... Jackie! — wybąkał Simon. — Wic pan, jestem tego pewien! Pozory wskazują na nią. Ale śmiem twierdzić, że tego nic zrobiła. Trochę się... upiła zeszłej nocy i tak to na nią podziałało, że napadła na mnie. Ale nie... mordowałaby!... Tak z zimną krwią!

— Niech się pan tym nic dręczy — rzekł łagodnie Poirot. — To nie Jacqueline de Bellefort zastrzeliła pana żonę.

Simon spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Mówi pan uczciwie?

— Skoro jednak nie ona — oświadczył łagodnie Poirot — to w takim razie kto? Nie domyśla się pan?

Simon pokręcił przecząco głową. Nieprzytomny wyraz jego twarzy jeszcze się spotęgował.

— Ależ to idiotyczne! Niemożliwe! Któż poza Jackie mógł pragnąć śmierci Linnet?

— Niech się pan zastanowi. Żona nic miała jakichś wrogów? Naprawdę z nikim nie była skłócona?

Simon znów pokręcił głową z tym samym beznadziejnym gestem.

— To brzmi niedorzecznie! — powiedział — ale jest przecież ten Windlesham! W pewnym sensie Linnet wystawiła go do wiatru wychodząc za mnie, ale nie wyobrażam sobie, żeby taka ugrzeczniiona tyka, jak on, mogła dokonać zabójstwa. Jest zresztą daleko stąd. Podobnie jak stary Sir George Wode. Był cięty na Linnet za ten pałacyk i nie podobały się mu zrobione tam przeróbki, ale on także jest daleko, w Londynie, i nie ma najmniejszego sensu kojarzyć jego osoby z tym morderstwem.

— Niech pan posłucha — rzekł Poirot z powagą w głosie. — Pierwszego już dnia na pokładzie „Karnaka” odbyliśmy z pana żoną krótką rozmowę, która zrobiła na mnie spore wrażenie.

Pani Doyle była wtedy przygnębiona i zdenerwowana. Powiedziała mi, niech pan dobrze słucha, że wszyscy jej nienawidzą. Przyznała, że się boi i nic czuje się bezpieczna, bo wszyscy dokoła są jakby wrogo do niej nastawieni.

— Spotkała na statku Jackie i to ją tak przygnębiło. Podobnie jak mnie.

— Zapewne, ale to jeszcze nie tłumaczy całkowicie słów pana żony, kiedy mi wyznała, że jest otoczona wrogami; zapewne nieco przesadziła, niemniej miała wtedy na myśli więcej niż jedną osobę.

— Ma pan chyba rację — odrzekł Simon. — Zdaje się, że będę mógł to panu wyjaśnić. Bardzo ją przygnębiło pewne nazwisko na liście pasażerów.

— Nazwisko na liście pasażerów? Czyje?

— Tego mi właśnie nic powiedziała. Zresztą, nie przysłuchiwałem się zbyt jej słowom. Całą moją uwagę pochłaniała wtedy sprawa Jacqueline. O ile pamiętam, Linnet mówiła wtedy coś o ludziach wykiwanych w interesach i jakie to niemiłe napotykać się na kogoś, kto żywi urazę do jej rodziny. Wie pan, nie znam wprawdzie dobrze dziejów rodziny Linnet, ale domyślałam się, że matka jej musiała być córką milionera. Ojciec był natomiast zwykłym dorobkiewiczem, ale po ślubie zaczął, oczywiście, grać na giełdzie, czy jak to się tam nazywa, i w rezultacie puścił parę osób z torbami. Pan wie, jak to jest: dziś się leży na złocie, a jutro w rynsztoku. Zdaje się, że jest na statku taki jeden, co się porwał na ojca Linnet i solidnie oberwał. Pamiętam, jak mówiła: „Jakie to przykre, że ludzie kogoś nienawidzą, choć go nawet nie znają osobiście”.

— Tak — stwierdził Poirot w zamyśleniu. — To by już wyjaśniało jej słowa. Pierwszy raz odczuła jarzmo dziedzictwa, a nie jego przywileje. Czy na pewno nie wymieniła nazwiska tej osoby?

Simon pokręcił głową ze smutkiem.

— Nie przywiązywałem wówczas do tego wielkiej wagi. Odpowiedziałem tylko żonie: „Któż teraz zaprzęta sobie głowę tym, co się któremuś z ojców przydarzyło. Tak krótko się żyje!” W każdym razie, coś w tym sensie.

— Przyszło mi nagle do głowy — rzekł sucho Bessner — że jest na pokładzie pełen urazy młodzieniec.

— Ma pan na myśli Fergusona? — spytał Poirot.

— Tak. Parę razy pomstował na panią Doyle. Słyszałem na własne uszy.

— Co by tu zrobić, by dotrzeć do prawdy? — spytał Simon. — Musimy z pułkownikiem Race'em przesłuchać wszystkich pasażerów. Dopóki nie wysłuchamy ich zeznań, nic ma sensu tworzyć teorii. Jest jeszcze pokojówka. Trzeba ją przesłuchać w pierwszej kolejności. Chyba słusznie byłoby zrobić to tutaj. Obecność pana Doyle'a może być bardzo przydatna.

— To dobry pomysł — stwierdził Simon.

— Jak długo pracowała u pani Doyle?

— Nie dłużej jak parę miesięcy.

— Tylko parę? — zdziwił się Poirot.

— Czy sądzi pan, że...

— *Madame* Doyle posiadała jakąś cenną biżuterię?

— Miała perły — odrzekł Simon. — Mówiła mi kiedyś, że są warte czterdzieści czy pięćdziesiąt tysięcy.

— Wstrząsnął nim dreszcz. — Mój Boże, myśli pan, że przez, te przeklęte perły...

— Kradzież też wchodzi w rachubę jako motyw — odrzekł Poirot. Chociaż wydaje mi się to raczej niemożliwe. No cóż, przyszłość pokaże. Wezwijmy więc pokojówkę.

Luiza Bourget była właśnie ową żywą, czarnowłosą kobietą z Południa, którą Poirot widział na statku i zachował w pamięci.

Z dawnej żywości nie pozostało teraz śladu. Dziewczyna była zapłakana i wyraźnie przestraszona. Miała jednak w twarzy wyraz pewnej chytryści, co nie usposobiło do niej przychylnie obu panów.

— Luiza Bourget?

— Tak, proszę pana.

— Kiedy po raz ostatni widziałaś panią Doyle przy życiu?

— Zeszłego wieczoru, proszę pana. Czekałam na nią w kajucie, by pomóc przy rozbieraniu.

— O której to było godzinie?

— Trochę po jedenastej, proszę pana. Ale nie mogę dokładnie powiedzieć o której. Rozebrałam panią, ułożyłam ją do snu i wyszłam.

— Ile czasu to zajęło?

— Dziesięć minut, proszę pana. Pani była zmęczona. Prosiła, żebym pogasiła światła, jak będę wychodzić.

— Co robiłaś po wyjściu z jej kajuty?

— Poszłam do swojej, o jeden pokład niżej.

— Słyszałaś może lub widziałaś coś, co mogłoby być nam pomocne?

— Skądże znowu, proszę pana! Cóż to ja takiego mogłam widzieć lub słyszeć?

— Ty sama musisz nam o tym powiedzieć, a nie odwrotnie — odrzekł Poirot.

Luiza łypnęła na niego spod oka.

— Nigdzie przecież blisko nie byłam. Czy ja mogłam coś widzieć lub usłyszeć? Mieszkam o jeden pokład niżej, moja kajuta jest nawet daleko po drugiej stronie. Oczywiście, gdybym wówczas nie mogła zasnąć i weszła po schodach na górę, to bym wtedy zobaczyła tego zabójcę, potwora, jak wchodzi albo wychodzi z kajuty mojej pani, ale ja przecież...

Wyciągnęła rękę z błagalnym gestem w stronę Simona Doyle'a.

— Niech mnie pan zrozumie! Co ja mam powiedzieć?

— Moja droga — rzekł ostro Doyle — nie bądź głupia! Nikt cię nie posądza, że coś widziałaś lub słyszałaś. Nie obawiaj się niczego. Będziesz pod moją opieką! Nikt cię o nic nie oskarża.

— Jaki pan dobry! — wymamrotała Luiza i spuściła skromnie powieki.

— Zakładamy więc, że niczego nie widziałaś i nie słyszałaś — powiedział niecierpliwie Race. — Przecież już mówiłam!

— Nie znasz nikogo, kto miałby jakąś urazę do pani Doyle?

Ku zdumieniu wszystkich Luiza energicznie potaknęła głową.

— Oczywiście, że znam. Na to pytanie mogę już dać murowaną odpowiedź.

— Masz na myśli pannę de Bellefort? — spytał Poirot.

— Naturalnie. Ale nie o niej chcę mówić. Jest tu jeszcze ktoś na statku, kto nie cierpiał mojej pani i był strasznie na nią zły, że go tak skrzywdziła.

— Na miły Bóg — wykrzyknął Simon Doyle. — Co to ma wszystko znaczyć?

— No właśnie. Jest tak, jak mówię. Bo to prawda. To się tyczy dawnej pokojówki pani Doyle, mojej poprzedniczki. Pewien mężczyzna, jeden z mechaników na tym statku, chciał się z tą pokojówką ożenić. A moja poprzedniczka, Maria jej było na imię, wyszłaby pewnie za niego. Ale pani Doyle zaczęła wypytywać dokoła i odkryła, że ten Fleetwood ma już żonę, kolorową kobiecie z tego tu kraju. Wie pan, ta żona dawno już wróciła do rodziców, ale ich nadal łączy małżeństwo. Pani Doyle powiedziała o tym Marii, a ona bardzo wzięła to sobie do serca i nie chciała już więcej widzieć Fleetwooda. A ten Fleetwood wpadł w złość, kiedy się dowiedział, że pani Doyle jest właśnie dawną panną Ridgeway, i powiedział do mnie, że miałby ochotę ją zabić. Bo mu tym wtrącaniem się złamała życie. — Luiza zamilkła, triumfująca.

— To ciekawe! — powiedział Race.

— Pan coś wie na ten temat? — zwrócił się Poirot do Simona Doyle'a.

— Nie, absolutnie — odrzekł Simon z niekłamaną szczerością. — Wątpię, czy Linnet nawet wiedziała, że ów człowiek jest na pokładzie. Prawdopodobnie w ogóle zapomniała już o całym zdarzeniu.

— Czyś mówiła o tym pani Doyle? — rzekł ostro Simon do Luizy.

— Nic, proszę pana. Oczywiście, że nie.

— Co ci wiadomo o perłach twej pani? — spytał Poirot.

— Perłach? — Luiza otworzyła szeroko oczy. — Miała je na sobie wczoraj wieczorem.

— Widziałaś je, kiedy pani kładła się spać?

— Tak, proszę pana.

— Gdzie je kładła?

— Jak zawsze, na stoliku obok łóżka.

— Tam widziałaś je po raz ostatni?

— Tak, proszę pana.

— Czy leżały tam dziś rano?

Na twarzy dziewczyny pojawił się wyraz przerażenia.

— *Mon Dieu!*\* Nawet nie spojrzałam. Podeszłam do łóżka i zobaczyłam... moją panią, a potem zaczęłam krzyczeć, wybiegłam za drzwi i zemdląłam.

Herkules Poirot pokiwał głową.

— Nic spojrzałaś? Za to ja mam oczy, które widzą. Na stoliku obok łóżka nie było dziś rano żadnych pereł.



# Rozdział XV

Wzrok nie omylił Hercule'a Poirot.

Na stoliku, przy łóżku Linnet, nie było pereł. Polecono Luizie przeszukać rzeczy pani Doyle. Stwierdziła, że wszystko jest w porządku. Brakowało tylko pereł.

Kiedy Race z Poirotem wyszli z kajuty doktora Bessnera, czekał już na nich steward, by powiedzieć, że śniadanie będzie podane w palarni. Kiedy szli przez pokład, Race zatrzymał się i wychylił za poręcz burty.

— Oho! Widzę, że przyszedł panu do głowy pomysł, przyjacielu — zauważył Poirot.

— Tak. Kiedy Fanthorp nadmienił, że słyszał jakby plusk, przypomniałem sobie nagle, że mnie także zbudziło w nocy jakieś pluśnięcie. Jest absolutnie możliwe, że po dokonaniu zabójstwa morderca wrzucił pistolet do wody.

— Naprawdę pan tak sądzi, przyjacielu? Race wzruszył ramionami.

— Ja tylko sugeruję. Przecież w kajucie nie było pistoletu. Od razu zacząłem go wszędzie szukać.

— Jest mało prawdopodobne, żeby go wyrzucono za burtę.

— Wobec tego gdzie jest?

— Skoro nie ma w kajucie pani Doyle, to logicznie rzecz biorąc musi być w innym pomieszczeniu.

— Gdzie, mianowicie? — spytał Race.

— W kajucie panny de Bellefort.

— Ach tak? Rozumiem — odrzekł w zamyśleniu Race i nagle poderwał się z miejsca. — Nie ma jej teraz w kajucie. Chodźmy więc tam na poszukiwanie.

— Nie, mój przyjacielu — pokręcił głową Poirot. — To byłoby przedwczesne posunięcie! Może go tam jeszcze nie być.

— A gdyby tak przeszukać cały statek?

— I odkryć w ten sposób nasze karty? Musimy działać z niesłychaną ostrożnością. W tej chwili stąpamy jeszcze po niepewnym gruncie. Omówimy to wszystko przy śniadaniu.

Race przystał na to, po czym obaj udali się do palarni.

— Mamy już zatem dwa konkretne tropy — rzekł Race nalewając sobie filiżankę kawy. — Jeden to zniknięcie pereł, a drugi to ów Fleetwood. Jeśli chodzi o pereł, wszystko wskazuje na kradzież. Nie wiem jednak, czy zgodzi się pan ze mną, że...

— Tylko skończony głupiec mógł wybrać taki moment — rzekł spieszenie Poirot.

— Właśnie! Kraść pereł w chwili, kiedy ścisła rewizja wszystkich na pokładzie jest nieunikniona! Jak złodziej mógł się łudzić, że ujdzie bezpiecznie z łupem?

— Może już wy dostał się na brzeg i pozbył łupu?

— Zarząd statków trzyma zawsze na brzegu strażnika.

— Więc i ta możliwość odpada. A może dokonał zabójstwa, by odwrócić uwagę od kradzieży? Nie! To bzdura i mało przekonujące. A może pani Doyle zbudziła się i przyłapała złodzieja?

— I dlatego ją uśmiercił? Przecież zabito ją w czasie snu!

— Wobec tego to też odpada. Mam już, wie pan, pewien mały koncept, jeśli chodzi o te pereł... A jednak? Nie, to jest niemożliwe. Gdyby mój koncept był słuszny, to pereł by nie zginęły... A co pan sądzi o tej pokojówce?

— Widzę, że odniósł pan to samo wrażenie.

— Zastanawiam się — rzekł powoli Race — czy przypadkiem Luiza nie wie więcej, niż powiedziała.

— Zdecydowanie niesympatyczna dziewczyna — stwierdził Race.

Poirot przytaknął głową.

— Tak. Ja bym jej nie ufał — rzekł.

— Sądzi pan, że miała coś wspólnego z morderstwem?

— Tego bym nic powiedział.

— Wobec tego z kradzieżą pereł?

— To jest bardziej prawdopodobne. Pracowała u pani Doyle zaledwie od niedawna. Może być członkiem gangu wyspecjalizowanego w kradzieży biżuterii. W takim wypadku pokojówka ma zazwyczaj doskonałe referencje. Niestety, nie jesteśmy w stanie zdobyć w tym względzie dokładnych informacji. W każdym razie, jej oświadczenie wcale mnie nie zadowala. Te pereł... Ach, *sacre*\*, mój mały koncept powinien być słuszny! Chyba jednak nikt nie byłby aż takim idiotą... — powiedział Poirot i nagle umilkł.

— A ten Fleetwood? — spytał Race.

— Musimy go przesłuchać. Być może tu kryje się rozwiązanie. Jeśli Luiza Bourget mówiła prawdę, miał on całkiem konkretne powody do zemsty. Mógł być świadkiem awantury między Jacqueline a panem Doylem, a kiedy wyszli oni z salonu, wśliznął się do środka i przywłaszczył sobie pistolet? Całkiem możliwe. A ta litera J wypisana krwią? To też by się zgadzało z jego prymitywną i nieopanowaną naturą...

— Przecież właśnie takiej osoby szukamy — stwierdził Race.

— Tak, ale... — tu Poirot podrapał się w nos, skrzywił się lekko i powiedział: — Wie pan, wchodzi tu w grę pewna moja słabostka. Podobno mówią o mnie, że lubię komplikować sprawę. Otóż rozwiązanie, które pan tu sugeruje, jest nazbyt proste i łatwe. Trudno mi uwierzyć, że tak się naprawdę zdarzyło. Chociaż może być to z mojej strony tylko czyste uprzedzenie...

— Zgoda. Zatem wezwijmy lepiej tego Fleetwooda. Race zadzwonił na służącego i wydał polecenie.

— Są jakieś inne możliwości? — spytał niezwłocznie Poirota.

— Mnóstwo, mój przyjacielu. Ten amerykański plenipotent, na przykład?

— Pennington?

— Tak. Pennington. Zdarzyła się tu raz pewna zabawna scena. — Poirot opowiedział Race'owi jej przebieg i dodał: — Czy to nie znamienne? Pani Doyle chciała przeczytać dokumenty przed złożeniem podpisu, a wtedy on pod jakimś pretekstem zasugerował, aby odłożyć to na inny dzień. Wówczas pan Doyle wypowiedział bardzo znaczącą uwagę.

— Jaką mianowicie?

— „Nigdy niczego nie czytam — wyrzekł. — Podpisuję gdzie mi każą”. Czy dostrzega pan istotną wagę tych słów? Bo Pennington dostrzegł. Widziałem to po jego oczach. Spojrzał na Doyle'a i jakby nowy pomysł zaświtał mu w głowie. Wyobraźmy sobie, mój przyjacielu, że pan zostaje opiekunem prawnym córki wielkiego bogacza. Używa pan, przypuśćmy, jej pieniędzy do robienia interesów. Wiem, że tak się dzieje w powieściach kryminalnych, poza tym czyta się o tym w gazetach. Widać takie rzeczy się zdarzają, przyjacielu, zdarzają naprawdę.

— Wcale tego nie kwestionuję — odpowiedział Race. — Ma pan, przypuśćmy, jeszcze dość czasu, by się na tych spekulacjach dorobić. Podopieczna nie osiągnęła jeszcze pełnoletności. I nagle... Dziewczyna wychodzi za mąż. Przejmuje więc kontrolę nad majątkiem niemal z dnia na dzień. Co za pech! Ale jest szansa. Dziewczyna odbywa podróż poślubną. Nic będzie więc chyba przywiązywać wagi do spraw finansowych. Odpowiedni dokument wsunięty niby przypadkiem między inne, podpisany bez czytania... ale Linnet nie jest taka. Bez względu na miodowy miesiąc pozostaje kobietą interesów. I właśnie wtedy jej małżonek robi ową uwagę i nowy pomysł przychodzi do głowy temu zrozpaczonemu osobnikowi, który szuka drogi ucieczki od bankructwa. W wypadku śmierci Linnet jej majątek przechodzi na męża, z którym łatwo już dać sobie racie. Będzie jak dziecko w rękach tak przebiegłego człowieka jak Andrew Pennington. *Mon cher*\* pułkowniku,

niech mi pan wierzy, że widziałem, jak przez głowę Penningtona przewija się myśl: „gdybym miał do czynienia tylko z Doylem, już bym sobie z nim poradził!” Tak musiał niechybnie pomyśleć.

— Śmiem twierdzić, że to całkiem możliwe — odparł chłodno Race. — Ale nie ma pan na to dowodu?

— Niestety, nie.

— Jest jeszcze ten młody Ferguson — stwierdził Race. — Wygaduje strasznie przykre rzeczy. Ja się, oczywiście, nie sugeruję jego poglądami, ale może to właśnie jego ojca zrujnował stary Ridgeway? Jest to wprawdzie daleko idące przypuszczenie, ale nie wykluczone. Ludzie czasami długo pamiętają doznane w przeszłości krzywdy. — Zamilkł na chwilę, po czym dodał: — Pozostaje nam jeszcze ten mój gagatek.

— No właśnie — mruknął Poirot.

— Wiemy, że zabijał ludzi — rzekł Race. — A jednak nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, że taki człowiek należał do znajomych Linnet Doyle. Orbity ich światów nie stykają się przecież ze sobą.

— A może — mówił z wolna Poirot — trafił przypadkiem w jej ręce jakiś dowód zdradzający jego tożsamość?

— Możliwe, chociaż według mnie mało prawdopodobne.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Otóż i nasz niedoszły bigamista!

Fleetwood był potężnie zbudowanym, groźnie wyglądającym osobnikiem. Wchodząc do pokoju spojrzał podejrzliwie na Race'a i Poirota. Ten ostatni rozpoznał w przybyłym owego mężczyznę, który kiedyś rozmawiał z Luizą Bourget.

— Panowie chcieli mnie widzieć? — spytał nieufnie.

— Tak — odpowiedział Race. — Wiecie już pewnie, że na statku popełniono w nocy morderstwo?

Fleetwood potaknął głową.

— Czy to prawda, że z jakichś powodów czuliście urazę do osoby, którą zamordowano?

W oczach Fleetwooda pojawił się lęk.

— Kto panom o tym powiedział?

— Uważacie podobno, że pani Doyle wmieszała się między was i Marię?

— Wiem, kto panu o tym nagadał. Ta mała francuska trzpiotka. Straszna, bezwstydną z niej kłamczucha.

— Ale to chyba prawda?

— Wstrętne kłamstwo!

— Z góry już zaprzeczacie, chociaż nie wiecie, o co nam chodzi?

Cios był celny. Mężczyzna poczerwieniał i przełknął ślinę.

— Czy to prawda, że chcieliście poślubić Marię, ale ona z wami zerwała, kiedy się wydało, że jesteście żonaci?

— Po co ona się w to mieszała?

— Macie na myśli panią Doyle? Ale przecież bigamia pozostaje bigamią?

— To nie było tak. Ożeniłem się z dziewczyną z tych stron. Ale nam się nie układało. Wróciła do swoich rodziców. Nie oglądałem jej na oczy od przeszło sześciu lat.

— Ale dalej pozostajecie jej mężem. Fleetwood milczał.

— I dowiedziała się o tym pani Doyle, czyli dawna panna Ridgeway?

— A jakże! Niech ją diabli. Wtykała nieproszona swój nos, tam gdzie nic trzeba. Ja bym się obchodził z Marią jak najlepiej. Wszystko bym dla niej zrobił. Nigdy by się o tamtej nic dowiedziała, żeby nie ta wścibska dama, jej pani. Tak, to prawda, czułem żal do tej kobiety i złość mnie ogarnęła, kiedy ją ujrzałem na statku, obwieszoną perłami i brylantami. Panoszyła się tu wszędzie i przez myśl jej nawet nie przyszło, że jakimś człowiekowi zламаła życie. Tak, byłem rozgoryczony, ale jeśli sądzicie, że jestem podłym mordercą, że ją zastrzeliłem, to się grubo mylicie! Nigdy jej nie dotknąłem. Bóg mi świadkiem, że mówię prawdę.

Umilkł. Pot spływał mu po twarzy.

— Gdzie byliście zeszłej nocy między dwunastą a drugą?

— W mojej koi. Spałem. Kolega, co był obok, może potwierdzić.

— Zobaczymy. To na razie wszystko — rzekł Race i kiwnął głową na znak, że Fleetwood może już odejść.

— *Eh bien?*\* — zagadnął Poirot, kiedy za Fleetwoodem zamknęły się drzwi.

Race wzruszył ramionami.

— Mówił całkiem do rzeczy. Jest naturalnie zdenerwowany, ale ma też ku temu powody. Musimy

zbadać jego alibi, chociaż nie sądzę, że to rozstrzygnie sprawę. Ten jego kolega na pewno spał, a Fleetwood mógł się wymknąć i wrócić, gdyby chciał. Może widział go jeszcze ktoś inny?

— Trzeba się będzie wypytać. Ale przede wszystkim o to, czy ktoś słyszał cokolwiek, co mogłoby nam pomóc w ustaleniu czasu zabójstwa. Bessner stwierdził że to się stało między dwunastą a drugą w nocy. Ciągle mam nadzieję, że któryś z pasażerów może słyszał wystrzał, jeśli nawet nie rozpoznał, co to był za odgłos. Osobiście niczego nie słyszałem. A pan?

Poirot pokręcił głową.

— Jeśli o mnie chodzi, to spałem jak kamień. W ogóle nic nie słyszałem. Może mnie ktoś odurzył, bo sen miałem strasznie mocny.

— Jaka szkoda! — rzekł Race. — Miejmy jednak nadzieję, że nam się nieco poszczęści z ludźmi, którzy mają kajuty od prawej burty. Fanthorpa już załatwiliśmy. Następni to Allertonowie. Poślę stewarda, żeby ich tu sprowadził.

Do pokoju wkroczyła ochoczo pani Allerton. Ubrana była w szarą suknię z delikatnego jedwabiu w paski. Na twarzy miała wyraz strapienia.

— Coś straszego! — powiedziała siadając na krześle, które jej podał Poirot. — Nic mogę wprost uwierzyć! Taka urocza istota. Miała przed sobą jeszcze całe życie! To mi się wydaje wprost nieprawdopodobne!

— Wiem, co pani czuje, *madame* — rzekł ze współczuciem Race.

— Jak jestem rada, że panowie są tu na statku — odrzekła z prostotą. — Na pewno potraficie odnaleźć sprawcę. Tak się ucieszyłam, że to nie ta biedna, tragiczna dziewczyna!

— Ma pani na myśli Jacqueline de Bellefort? Kto pani powiedział, że ona tego nie zrobiła?

— Kornelia Robson — odpowiedziała pani Allerton z bladym uśmiechem. — Jest tym ogromnie podekscytowana. Pierwszy chyba raz przeżyła taką emocję i pewnie już nigdy w życiu podobna jej się nic przydarzy. Ale jest bardzo subtelna i aż jej wstyd, że tak ją to wszystko pochłonęło. Uważa, że to nie jest szlachetne z jej strony.

Pani Allerton rzuciła spojrzenie na Poirota.

— Ależ się rozgadałam! A pan. zapewne, chciał mnie o coś zapytać.

— Tak, łaskawa pani. O której godzinie położyła się pani spać?

— Zaraz po wpół do jedenastej.

— Czy od razu zapadła pani w sen?

— Tak, byłam bardzo śpiąca.

— Czy pani słyszała coś? W ogóle... podczas tamtej nocy?

Pani Allerton zmarszczyła brwi.

— Tak. Wydaje mi się, że usłyszałam najpierw jakiś plusk i czyjś bieg albo odwrotnie, najpierw ktoś biegł, a potem plusk. Nie pamiętam tego dokładnie. Zdawało mi się, że ktoś wypadł za burtę, a może mi się to śniło, wie pan. Obudziłam się i nadśluchiwałam, ale wokoło panowała cisza.

— Czy pani wie, która to była godzina?

— Niestety, nie. Ale mam wrażenie, że nic spałam długo. Mogło to być około pierwszej w nocy.

— Żałuje, *madame*, ale to nie jest zbyt precyzyjne.

— Wiem. Nic ma więc sensu zgadywać, kiedy to było, skoro naprawdę nie mam o tym najmniejszego pojęcia.

— Czy to wszystko, co nam pani może powiedzieć?

— Niestety, tak.

— Znała pani przedtem Linnet Doyle?

— Mój syn ją znał. Nasłuchiwałam się o niej bardzo dużo od naszej kuzynki, Joanny Southwood, a panią Doyle poznałam osobiście dopiero w Asuanie.

— Mam jeszcze jedno pytanie, jeśli pani pozwoli?

— Bardzo lubię niedyskretne pytania — powiedziała pani Allerton z nikłym uśmiechem.

— Czy pani lub ktoś z rodziny nie poniósł kiedyś jakichś pieniężnych strat z powodu machinacji ojca pani Doyle, Melhuisha Ridgewaya?

Pani Allerton była najwyraźniej zdumiona.

— Ale skądże! Żadnych strat finansowych nic było, tylko kapitał się skurczył, gdyż, jak panu wiadomo, oddaje się go teraz na mniejszy procent niż kiedyś. Nigdy nic było nic melodramatycznego w naszym ubóstwie. Mąż pozostawił mi mały kapitalik, który dotąd jeszcze posiadam, chociaż nie przynosi to już tyle dochodu, co w dawnych czasach.

— Dziękuję. Zechce pani łaskawie poprosić syna, by tu do nas zaraz przyszedł?

— Już po torturach? — żartobliwie powiedział Tim do matki, gdy wróciła — O co cię wypytywali?

— Czy nie słyszałam czegoś minionej nocy. Niestety, w ogóle niczego nic słyszałam. Zupełnie tego nie pojmuję. Przecież kajuta Linnet jest tuż obok mojej? Powinnam była jednak słyszeć ten strzał. Idź

już, Tim. Czekają na ciebie.

Poirot zadał Timowi to samo pytanie. — Poszedłem spać wcześniej — odrzekł Tim. — Koło wpół do jedenastej. Trochę poczytałem. Zgasilem światło tuż po jedenastej.

— Czy potem pan coś słyszał?

— Gdzieś z bliska męski głos mówiący „dobranoc”. Tak mi się zdaje.

— To byłem ja. Mówiłem „dobranoc” pani Doyle — odezwał się Race.

— Zaraz potem zasnąłem. Później słyszałem jakąś wrzawę, wyraźnie pamiętam, że ktoś wołał Fanthorpa.

— To panna Robson, kiedy wybiegła z oszklonego salonu.

— Tak właśnie przypuszczałem. Następnie wiele innych głosów. Potem słyszałem, jak ktoś biegł po pokładzie, a następnie plusk. Później dudniący głos doktora Bessnera, mówiącego coś jakby „teraz, ostrożnie” i „nie za prędko”.

— Słyszał pan plusk?

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Jest pan pewien, że to nie był strzał?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. Coś jakby huk wylatującego korka z butelki. Mógł to być właśnie ów strzał. Może sobie tylko len plusk wyobraziłem, kojarząc wystrzał korka z płynem lejącym się do szklanki? Wiem, że coś mi się mgliście zdawało, że trwa jakieś przyjęcie i chciałem, żeby już wreszcie poszli sobie spać i przestali się wydzierać.

— A potem?

Tim zastanowił się.

— Słyszałem już tylko, jak Fanthorp obija się po swej kajucie. Marzyłem, żeby się już wreszcie położył spać.

— A potem?

Tim wzruszył ramionami.

— Potem zapadłem już w sen.

— Nic pan więcej nie słyszał?

— Absolutnie nic.



— Dziękuję panu.

Tim podniósł się i wyszedł z pokoju.

# Rozdział XVI

Race ślęczał w zamyśleniu nad planem spacerowego pokładu „Karnaka”.

— Fanthorp, młody Allerton, pani Allerton. Następnie pusta kajuta Simona Doyle’a. Kogóż to mamy po drugiej stronie kajuty pani Doyle? Tę starą Amerykankę! Trudno sobie wyobrazić, żeby ta osoba czegoś nie słyszała. Dobrze byłoby ją tu wezwać, jeśli już wstała.

Do pokoju weszła panna Van Schuyler. Wyglądała tego ranka starzej niż zwykle i była bardziej żółta na twarzy. W jej małych ciemnych oczach kryło się pełne złości niezadowolenie.

Race podniósł się i zgiął w ukłonie.

— Bardzo nam przykro, że panią trudzimy. Proszę usiąść. Jesteśmy bardzo pani wdzięczni.

— Być w coś takiego wmieszana! Strasznie tego nie lubię. Bardzo mnie to oburza. Nie życzę sobie, żeby moje nazwisko łączono w jakiś sposób z tą... bardzo niemiłą sprawą.

— Oczywiście. — Właśnie mówiłem panu Poirot, że im prędzej pani wysłuchamy, tym lepiej, żeby polem już pani więcej nie trudzić.

Panna Van Schuyler spojrzała na Poirota niemal już łaskawym wzrokiem.

— Cieszy mnie, że panowie obaj zdają sobie sprawę z tego, co czuję. Nie jestem przyzwyczajona do takich rzeczy.

— Oczywiście, *mademoiselle* — rzekł łagodnie Poirot. — Dlatego pragnę uwolnić panią od tej nieprzyjemności możliwie jak najprędzej. Zatem położyła się pani spać... O której godzinie?

— Zwykle kładę się o dziesiątej. Zeszłej nocy poszłam spać później, ponieważ Kornelia bardzo niefrasobliwie kazała mi na siebie czekać.

— *Très bien, mademoiselle\**. Co pani słyszała po położeniu się spać?

— Mam bardzo lekki sen — stwierdziła panna Van Schuyler.

— Ach, *marveille!*\* Jakże się to szczęśliwie dla nas składa!

— Obudziłam się przez tę mocno trzpiotowatą dziewczynę, pokojówkę pani Doyle. mówiącą: *Bonne nuit, madame\**, aż nadto, moim zdaniem, donośnym głosem.

— A potem?

— Znow zasnęłam. Obudziłam się ze świadomością, że ktoś jest w mojej kajucie, ale się

zorientowałam, że to w sąsiedniej.

— W kajucie pani Doyle?

— Tak. Potem słyszałam, że ktoś jest na zewnątrz, a następne plusk.

— Wie pani może, o której to było godzinie?

— Mogę panu podać dokładny czas. Było to dziewięć minut po pierwszej.

— Jest pani tego pewna?

— Oczywiście. Spojrzałam bowiem na mój mały zegarek, który stoi przy łóżku.

— Nie słyszała pani strzału?

— Nie, nic w tym rodzaju.

— Ale nie wykluczone, że on panią obudził? Panna Van Schuyler przechyliła na bok swą zabią głowę i rozważała w myśli to pytanie.

Bardzo możliwe — odpowiedziała dość niechętnie.

— Domyśla się pani, co mogło spowodować plusk, który pani słyszała?

— Nie muszę. Ja dokładnie wiem. Pułkownik Race usiadł cały w oczekiwaniu.

— Wie pani dokładnie?

— Oczywiście! Nie podobały mi się te odgłosy krzątania. Wstałam i podeszłam do drzwi kajuty. Panna Otterbourne stała wychylona za burtę. Dopiero co właśnie wrzuciła coś do wody.

— Panna Otterbourne? — w głosie pułkownika brzmiało zdumienie.

— Tak, ona.

— Jest pani tego całkiem pewna?

— Widziałam wyraźnie jej twarz.

— Ona panią też widziała?

— Nie przypuszczam.

Poirot pochylił się do przodu.

— Jak wyglądała?

— Była ogromnie zdenerwowana.

Race i Poirot wymienili szybko spojrzenia.

— A potem? — spytał ponagląco Belg.

— Panna Otterbourne poszła na rufę statku, a ja wróciłam do łóżka.

Rozległo się pukanie i wszedł zarządzający. Niósł w ręce jakieś ociekające wodą zawiniątko.

— Mamy to, pułkowniku.

Race wziął zawiniątko do ręki. Zaczął powoli odwijać zmoczony aksamit, ze środka wypadła licha w gatunku chustka do nosa, lekko poplamiona czymś różowym, i zawinięty w nią mały pistolet o rękojeści z perłowej masy. Race rzucił w stronę Poirota spojrzenie pełne nieco złośliwego triumfu.

— Widzi pan? — rzekł. — Mój pomysł był słuszny. Wyrzucono to za burtę. — Położył pistolet na otwartej dłoni. — Co pan powie na to? Czy to ten sam, który pan widział kiedyś wieczorem w hotelu Katarakta?

Poirot starannie obejrzał pistolet.

— Tak. Ten sam — odpowiedział cicho. — Jest na nim identyczny ornament i inicjały *J.B.* Nie ulega wątpliwości, że to *article de luxe*<sup>\*</sup>, bardzo kobiecy w stylu, a jednocześnie śmiercionośne narzędzie.

— Dwadzieścia dwa — wymruczał Race. Wyjął ładunek. — Wystrzelono dwa naboje. Tak, chyba nic ma już więcej wątpliwości...

Panna Van Schuyler zakaszłała znacząco.

— A co z moim szalem? — spytała dobitnie.

— Jakim szalem? — Właśnie tym.

Race chwycił ociekający wodą zwój materiału.

— To pani własność, panno Van Schuyler?

— Oczywiście — odburknęła stara dama. — Zginął mi wczoraj wieczorem. Pytałam wszystkich, czy go nie widzieli.

Poirot spojrział pytająco na Race'a, który potaknął lekko głową.

— Gdzie go pani miała po raz ostatni?

— Wczoraj wieczorem w salonie. Ale kiedy szłam spać, nie mogłam go nigdzie znaleźć.

— Czy pani zdaje sobie sprawę, do czego został użyty? — oświadczył spokojnie Race. Rozpostarł materiał i wskazał palcem osmolone miejsce i parę małych otworów. — Morderca owinął nim pistolet, żeby zagłuszyć huk wystrzału.

— Bezczelność! — odburknęła panna Van Schuyler. Na jej zwiędłych policzkach zakwitły rumieńce.

— Będę rad, jeśli mi pani odpowie, od jak dawna datuje się pani dotychczasowa znajomość z Linnet Doyle?

— Nie było żadnej dotychczasowej znajomości.

— Ale pani знаła ją przecież?

— Wiedziałam, kim jest, oczywiście.

— Ale wasze rodziny się znały?

— Pułkownik Race, zawsze szczyciliśmy się tym, że jesteśmy wielce szacowny rodziną. Mojej drogiej matce na myśl by nic przyszło złożyć choćby krótką wizytę komukolwiek z Hartzów, którzy, poza swym bogactwem, byli zwykłą miernotą.

— Czy to wszystko, co pani mogłaby nam powiedzieć?

— Tak. I nie mam już nic do dodania. Linnet wychowywała się w Anglii, nigdy jej nie widziałam. Zetknęłam się z nią dopiero gdy wsiadłam na ten statek.

Wstała. Poirot otworzył drzwi i panna Van Schuyler opuściła pokój.

Obaj panowie wymienili spojrzenia.

— Powiedziała, co chciała — zauważył Race.

— I będzie się tego trzymać. Może to nawet prawda. Nie wiem. Ale ta Rozalia Otterbourne. Nigdy bym się tego nie spodziewał...

Poirot kręcił głową w zakłopotaniu. Nagle huknął ręką w stół.

— To się zupełnie nie trzyma kupy! — zawołał.

— *Nom d'un nom d'un nom.* Zupełnie się kupy nic trzyma!

— O co panu chodzi? — spytał Race.

— Chodzi mi o to, że do pewnego momentu wszystko układało się jasno. Ktoś nastawał na życie Linnet Doyle. Ktoś widział lub słyszał awanturę w salonie zeszłej nocy. Ktoś się tam wśliznął i przywłaszczył pistolet, który był własnością, niech pan o tym pamięta, Jacqueline de Bellefort. Ktoś

zastrzelił z tego pistoletu Linnet Doyle i wypisał literę J na ścianie. Jasne, prawda? Wszystko wskazuje na pannę de Bellefort jako morderczynię. I co potem robi nasz zabójca? Kładzie może ten przeklęty pistolet Jacqueline de Bellefort tam, gdzie każdy mógłby go znaleźć? Ależ skąd! Po prostu wyrzuca ten niemal koronny dowód rzeczowy — za burtę! Po co, mój drogi przyjacielu, po co?

— To bardzo dziwne — rzekł Race kręcąc głową.

— To jest nie tylko dziwne, ale zupełnie niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe, skoro się wydarzyło?

— Nie to miałem na myśli — odpowiedział Poirot. — Chodzi mi o to, że takie następstwo wydarzeń jest niemożliwe. Coś się tu nie zgadza!

# Rozdział XVII

Pułkownik Race spojrział z ciekawością na swego kolegę. Podziwiał, bo miał zresztą ku temu powody, umysł Herkulesa Poirot. Ale w tym momencie nie mógł pojąć, o co mu chodzi. Powstrzymał się jednak od zadawania pytań. Rzadko w ogóle zadawał pytania. Ilekroć brał sprawę w ręce, zawsze wybierał najprostszą linię działania.

— Co dalej robimy? Przesłuchujemy małą Otterbourne?

— Tak. Może to nam posunie trochę sprawę? Rozalia Otterbourne weszła do pokoju w sposób niezbyt sympatyczny. Nie robiła wrażenia zdenerwowanej czy też przestraszonej, była tylko naburmuszona i wrogo nastawiona.

— Cóż to znowu takiego? — spytała.

— Prowadzimy śledztwo w związku ze śmiercią pani Doyle — wyjaśnił Race.

Kiwnęła głową.

— Proszę mi powiedzieć, co pani robiła zeszłej nocy. Rozalia zastanawiała się chwilę.

— Poszłyśmy z matką spać dość wcześnie, przed jedenastą. Nic słyszałyśmy nic szczególnego z wyjątkiem niewielkiego hałasu koło kajuty doktora Bessnera, który coś mówił swym niskim, dudniącym głosem. Naturalnie dopiero rano dowiedziałam się, co zaszło.

— Nie słyszała pani wystrzału?

— Nie.

— Wychodziła pani z kajuty podczas zeszłej nocy.

— Nie.

— Jest pani tego pewna? Rozalia wlepiła wzrok w Poirota.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Oczywiście, że nic wychodziłam. Na pewno.

— Nie poszła pani, na przykład, na rufę statku i nie wyrzuciła czegoś za burtę?

Rumieniec oblał twarz Rozalii.

— Czy prawo zabrania wyrzucić coś za burtę?

— Oczywiście, że nie. Więc pani jednak to zrobiła?

— Nie. W ogóle nie wychodziłam z kajuty, jeśli pan chce wiedzieć.

— A jeśli ktoś zaświadczy, że panią widział?

— A któż to taki?

— Panna Van Schuyler.

— Panna Van Schuyler? — zawołała Rozalia naprawdę zdziwionym głosem.

— Tak. Mówi, że wyjrzała z kajuty i zobaczyła, że pani coś wyrzuca do wody.

— To wierutne kłamstwo! — zaprzeczyła dobitnie Rozalia, po czym tknięta jakby nagłą myślą zapytała: — O której to było godzinie?

Tym razem odpowiedzi udzielił Poirot.

— Dziesięć minut po pierwszej, *mademoiselle*. Skinęła głową w zamyśleniu.

— Czy widziała coś jeszcze?

Poirot przyjrzał się Rozalii zaciekawiony. Przesunął dłonią po brodzie.

— Nie — odrzekł. — Za to coś słyszała.

— A co?

— Że ktoś myszkował w kajucie Linnet Doyle.

— Ach tak? — zamruczała Rozalia. Była teraz niemal śmiertelnie blada.

— Twierdzi pani stanowczo, że nie wyrzucała niczego za burtę?

— Po co, u licha, miałabym wybiegać w środku nocy, żeby wyrzucać coś za burtę? — Może miała pani powód? I to całkiem niewinny?

— Niewinny? — powtórzyła dziewczyna ostrym głosem.

— Tak to sobie nazwałem. Bo, widzi pani, wyrzucono zeszłej nocy za burtę coś, co nie było tak całkiem niewinne.

Race spokojnie uniósł i rozwinął zmoczony aksamit, by pokazać, co jest w środku. Rozalia odskoczyła do tyłu.

— Czy to... tym ją zabito?

— Tak.



— I panowie sądzą, że to... ja zrobiłam? Co za nonsens. Po co, u licha, miałabym pragnąć śmierci Linnet Doyle? Nawet nie znałam jej osobiście!

Zaśmiała się i podniosła z krzesła pełna wzdargy.

— To jest, doprawdy, aż humorystyczne!

— Niech pani nie zapomina, panno Otterbourne — rzekł Race — że panna Van Schuyler gotowa jest przysiąc, że widziała wyraźnie twarz pani w świetle księżyca.

— Ta stara złoźnica? Pewnie już ją wzrok zawodzi. To nie mnie widziała.

Zamilkła.

— Czy mogę już pójść? — spytała po chwili. Race skinął głową i Rozalia Otterbourne wyszła z pokoju.

Obaj panowie spojrzeli sobie w oczy, a Race zapalił papierosa.

— Otóż właśnie! Całkowite zaprzeczenie. Której z nich należy dać wiarę?

Poirot kręcił głową.

— Tak mi się trochę zdaje, że ani jedna, ani druga nie powiedziała całej prawdy.

— To jest właśnie najgorsze w naszym zawodzie — zauważył Race ze smutkiem w głosie — że tylu ludzi ukrywa prawdę dla różnych błahych powodów. Co robimy dalej? Kontynuujemy przesłuchiwanie pasażerów?

— Tak myślę. Nie ma to, jak pracować wedle porządku i metody!

Race pokiwał głową potakująco.

Zaraz po córce zjawiła się w pokoju pani Otterbourne odziana w zwiewną szatę w drukowane wzory. Potwierdziła oświadczenie Rozalii, że położyły się spać przed jedenastą. Osobiście nie słyszała nic szczególnego tej nocy, nie potrafiła też powiedzieć, czy Rozalia wychodziła z kajuty, czy nie. Ale na temat zabójstwa skłonna była rozprawiać bez końca.

— To zbrodnia spowodowana namiętnością. Bo prymitywny instynkt każe zabijać. Pozostaje w bardzo bliskim powiązaniu z popędem płciowym. Jacqueline, ta półkrwi kobieta Południa, o gorącym temperamencie... ulegając najskrytszym podszeptom swej jaźni... zakradła się z pistoletem w dłoń...

— Ale Jacqueline nie zastrzeliła pani Doyle. Wiemy o tym na pewno. Mamy na to dowody — wyjaśnił Poirot.

— Wobec tego mąż zamordowanej! — oświadczyła pani Otterbourne skupiając się znów do

natarcia po odebranych ciosie. — Żądza krwi i popęd płciowy! A więc, morderstwo na tle seksualnym! Istnieje wiele przykładów...

— Pan Doyle został postrzelony w nogę i nie mógł się w ogóle ruszać, bo miał uszkodzoną kość — wyjaśnił pułkownik Race. — Spędził noc w kajucie doktora Bessnera.

Pani Otterbourne była jeszcze dotkliwiej rozczarowana. Ale nie traciła nadziei i usiłowała coś jeszcze wygrzebać z zakamarków pamięci.

— Naturalnie! — zawołała. — Co za głupota z mej strony! To panna Bowers.

— Panna Bowers?

— Tak! Oczywiście. To bardzo jasne psychologicznie. Represja. Dziewica o stłumionym instynkcie. Doprowadzona do szaleństwa widokiem pary młodych małżonków namiętnie w sobie rozkochanych. To na pewno ona. Typowa postać: nieatrakcyjna seksualnie, ale z natury przyzwoita. W mojej powieści *Jałowa winni...*

Pułkownik Race przerwał jej taktownie:

— Sugestie pani są dla nas wielce pożyteczne, pani Otterbourne. Dziękujemy bardzo. Czeka na nas teraz dalsza praca.

Odprowadził ją z galanterią do drzwi i powrócił ocierając czoło.

— Co za jadowita bestia! Uff! Czemu to jej ktoś nie uśmiercił?

— To się może jeszcze zdarzyć — pocieszył go Poirot.

— Kto nam został? Pennington? Tego zostawimy sobie na sam koniec. Richetti, Ferguson?

Richetti był bardzo ugrzeczniony i ogromnie przejęty.

— To straszne! Co za hańbiący czyn! Taką młodą i piękną kobietę! Nieludzka to zbrodnia, doprawdy!

Signor Richetti gestykulował w sposób sugestywny. Odpowiadał szybko. Położył się spać wcześniej, bardzo wcześniej. Prawdę mówiąc już zaraz po kolacji. Trochę czytał. Bardzo ciekawą, niedawno wydaną pracę *Prähistorische Forschung in Kleinasien*\* rzucającą nowe światło na malowane wyroby garncarskie z obszarów położonych u stóp anatolijskich wzgórz. Zgasił światło na krótko przed jedenastą. Nic słyszał żadnego wystrzału czy też huku przypominającego wyskakujący z butelki korek.

Jedynym odgłosem, który dotarł do jego uszu, ale później, w środku nocy, był plusk, donośny plusk tuż przy ścianie kajuty.

— Kabina pana jest na dolnym pokładzie, po prawej burcie, prawda?

— Tak jest. Coś plusnęło głośno — wyrzucił ręce w powietrze, by opisać ogrom tego plusku.

— Może pan określić, o której to było godzinie?

Signor Richetti zastanowił się.

— Godzina, dwie albo trzy po moim położeniu się spać. Przypuśćmy, dwie godziny.

— Może jakieś dziesięć po pierwszej, na przykład?

— Całkiem możliwe. Ach! Co za straszliwa zbrodnia. Jakaż nieludzka! Taka czarująca kobieta!

Wyszedł z pokoju ciągle gestykulując na wszystkie strony.

Race patrzył na Poirota, który uniósł znacząco brwi, a potem wzruszył ramionami. Zajęli się następnie osobą pana Fergusona.

Nic był to łatwy człowiek. Rozsiadł się bezceremonialnie w krześle i powiedział szyderczo:

— Dokonano wspaniałego wyczynu! Ale cóż to da? Tyle jest jeszcze na świecie pustych kobiet.

— Może nam pan wymieni po kolei, co pan robił zeszłej nocy? — powiedział chłodno Race.

— Nie wiem, po co to wam potrzebne, ale nie mam nic przeciwko temu. Wałęsałem się trochę, tu i ówdzie. Wyszedłem na brzeg z panną Robson. Kiedy ona wróciła na statek, włączyłem się samotnie przez pewien czas. Położyłem się spać koło północy.

— Pana kajuta jest na dolnym pokładzie, przy prawej burcie?

— Tak. Nie mieszkam na górze wśród wielkich panów. — Słyszał pan wystrzał? Mógł przypominać wybuch korka z butelki.

Ferguson zastanowił się.

— Zdaje mi się, że coś takiego słyszałem, tylko nie pamiętam kiedy. Chyba zanim zasnąłem. Na górnym pokładzie było jeszcze sporo ludzi, jakieś zamieszanie, bieganina.

— To pewnie wtedy, gdy panna de Bellefort strzeliła do Doyle'a. Nie słyszał pan następnego wystrzału?

Ferguson pokręcił przecząco głową.

— Ani żadnego plusku?

— Plusku? Zdaje mi się, że go naprawdę słyszałem. Ale wokół był taki rwetes, że nie jestem tego absolutnie pewny.

— Wychodził pan z kajuty w ciągu nocy? Ferguson uśmiechnął się.

— Nic. Nie brałem udziału w tym słusznym czynie. A szkoda.

— No, no, panie Ferguson! Niech pan zaprzestanie tej dziecinady.

Młodzieniec obruszył się na to.

— Czy nie wolno mi mówić, co myślę? Wierzę w przemoc.

— Ale chyba jej pan nie stosuje na co dzień? — mruknął Poirot. — Jestem ciekaw... — nachylił się do przodu — czy to czasem nie Fleetwood poinformował pana, że Linnet Doyle jest najbogatszą kobietą w Anglii?

— Co Fleetwood ma z tym wspólnego?

— Fleetwood, mój drogi przyjacielu, miał znakomity powód, by zamordować panią Doyle. Czuł do niej głęboką urazę.

Ferguson poderwał się z krzesła jak na sprężynie.

— Więc taka jest wasza nikczemna gra? — zawołał gniewnie. — Zwalić wszystko na tego nieszczęśnika, Fleetwooda, który nie może się bronić, bo nie ma pieniędzy, żeby sobie nająć adwokatów? Jeśli tylko spróbujecie zrobić go w tę sprawę, panowie, wtedy będziecie mieli ze mną do czynienia.

— A kim pan właściwie jest? — spytał z niewinną miną Poirot.

Ferguson aż poczerwieniał.

— Już ja to załatwię przez moich przyjaciół! — warknął opryskliwie.

— Wobec tego nie będzie nam pan na razie potrzebny — odrzekł Race, a kiedy za Fergusonem zamknęły się drzwi, stwierdził dość nieoczekiwanie:

— Mimo wszystko lubię tego szczeniaka!

— Nie uważa pan, że to właśnie ten, którego pan szuka?

— Nie sędzę. Wiem tylko, że ten ktoś jest na statku. Informacja była absolutnie ścisła. Cóż, wracajmy jednak do naszej sprawy. Bierzmy się teraz do Penningtona.

# Rozdział XVIII

Andrew Pennington objawił wszystkie przewidziane zwyczajem oznaki smutku i zaskoczenia. Był jak zawsze starannie ubrany. Zmienił tylko krawat na czarny. Na jego pociągłej, gładko wygolonej twarzy malowało się zmieszanie.

— Panowie — odezwał się zgnębionym głosem — jestem do głębi wstrząśnięty. Biedna Linnet! Pamiętam ją jeszcze jako dziecko. Taki dumny był z niej Ridgeway! No cóż, nie ma sensu dalej tego rozpamiętywać. Proszę mi tylko powiedzieć, w czym mógłbym być panom użyteczny?

— W pierwszym rzędzie — rzekł Race — czy pan coś słyszał zeszłej nocy?

— Nic, proszę panów, nie mogę tego stwierdzić. Mam kajutę czterdzieści jeden, zaraz za doktorem Bessnerem i stamtąd dobiegła mnie wprawdzie koło północy jakaś wrzawa, ale wówczas nie miałem pojęcia, co się tam dzieje.

— Nic pan więcej nie słyszał? Żadnych strzałów?

— Absolutnie nic. Pennington pokręcił głową.

— O której położył się pan spać?

— Chyba trochę po jedenastej — rzekł i pochylił się ku przodowi. — Nic będzie to, sądzę, dla panów nowiną, ale po statku krąży mnóstwo plotek.

Jest tu coś podejrzanego z tą pół-Francuzką, Jacqueline de Bellefort. Linnet nic mi nie mówiła, ale przecież nie urodziłem się ślepy ani głuchy. Coś musiało kiedyś łączyć Simona z panną de Bellefort, prawda? *Cherchez la femme*\* — jak głosi stara, mądra zasada i moim zdaniem nie muszą wcale panowie *chercher* zbyt daleko...

— Więc uważa pan, że to Jacqueline de Bellefort zastrzeliła panią Doyle?

— Tak mi się przynajmniej zdaje. Oczywiście nie wiem jeszcze wszystkiego.

— Ale, my już, niestety, coś wiemy.

— Co mianowicie? — Pennington wyraźnie się zląkł.

— Że to wykluczone, by Jacqueline de Bellefort zabiła Linnet Doyle — oświadczył Race i bardzo dokładnie wyjaśnił okoliczności sprawy. Pennington przyjął to do wiadomości z wyraźną niechęcią.

— W świetle tego wszystkiego jest w idealnym porządku — odpowiedział — Jednak ta pielęgniarka... Daję głowę, że nie czuwała aż całą noc. Mogła się zdrzemnąć, a dziewczyna wymknęła się i powróciła do kajuty niepostrzeżenie.

— Mało prawdopodobne, panie Pennington. Proszę nie zapominać, że dziewczynie wstrzyknięto środek uspokajający. Poza tym pielęgniarki mają z reguły lekki sen i budzą się, kiedy pacjent się tylko ruszy.

— To wszystko brzmi dla mnie bardzo podejrzanie — oświadczył Pennington.

— Niech mi pan uwierzy na słowo — wyjaśnił Race łagodnie i stanowczo zarazem — że przebadaliśmy tutaj dokładnie wszelkie ewentualności. Wynik jest absolutnie pewny. Jacqueline de Bellefort nie zastrzeliła pani Doyle. Toteż zmuszeni jesteśmy szukać sprawcy gdzie indziej. Mamy nadzieję, że będzie mógł nam pan w tym pomóc.

— Ja? — Pennington aż podskoczył nerwowo na krześle.

— Tak. Był pan w bliskiej przyjaźni ze zmarłą. Zna pan niektóre szczegóły z jej życia, na pewno znacznie lepiej od męża, gdyż poznali się ledwie parę miesięcy temu. Będzie pan zapewne wiedział, kto mógłby na przykład żywić do niej urazę albo mieć powody, by czyhać na jej życie?

Andrew Pennington przesunął językiem po wyschniętych wargach.

— Zapewniam panów, że nic mam o niczym pojęcia. Linnet, jak panom wiadomo, wychowywała się w Anglii. Wiem bardzo mało o jej otoczeniu i znajomych.

— A jednak był ktoś — rzekł Poirot wracając myślami w przeszłość — komu zależało na zgładzeniu pani Doyle. Była raz o włos od śmierci, pamięta pan? Kiedy stoczył się ów głaz. Pana przy tym chyba nie było, prawda?

— Nie. Znajdowałem się w świątyni. Dowiedziałem się o tym po wszystkim. Cudem wprost uniknęła śmierci. To był chyba wypadek? Nie sądzi pan?

— Wtedy można było tak jeszcze uważać. Ale teraz zaczyna to być zastanawiające.

— Tak, naturalnie — rzekł Pennington i wytarł twarz znakomitą w gatunku jedwabną chustką do nosa.

— Pani Doyle nadmieniła kiedyś — odezwał się Race — że jest na pokładzie pewna osoba, która jakoby żywi wrogość, wprowadzie nie do pani Doyle osobiście, ale do jej rodziny. Może pan wie, kim jest ta osoba?

Pennington robił wrażenie naprawdę zdumionego.

— Nie mam pojęcia.

— Nic wspominała panu o tej sprawie?

— Nie.

— Czy jako bliski przyjaciel jej ojca, nie przypomina pan sobie jakiejś operacji finansowej, która

doprowadziła do bankructwa konkurentów pana Ridgewaya?

Pennington pokręcił bezradnie głową.

— Nie pamiętam zupełnie. Oczywiście, podobne wypadki nie należały do rzadkości, ale nie przypominam sobie, by ktoś rzucał jakieś groźby. W każdym razie nie aż tak poważne.

— Krótko mówiąc, nie będzie pan mógł nam pomóc?

— Wygląda na to, że nie. Boleję nad moją nieudolnością, panowie.

Race wymienił spojrzenie z Poirotem.

— Ja też — odrzekł. — A taką mieliśmy nadzieję!

Race podniósł się z krzesła na znak, że rozmowa dobiegła końca.

— Skoro pan Doyle leży złożony niemocą, spodziewam się, że pragnie, bym ja się zajął tą sprawą. Proszę mi wybaczyć, pułkowniku, ale chciałbym wiedzieć, co dokładnie w tej kwestii postanowiono.

— Po wyruszeniu stąd popłyniemy non-stop cło Shellâl, dokąd powinniśmy dotrzeć jutro z rana.

— A ciało?

— Zostanie przeniesione do jednej z zapasowych chłodni.

Andrew Pennington skłonił głowę, a następnie wyszedł z pokoju.

Poirot i Race znów wymienili między sobą spojrzenia.

— Pan Pennington — mruknął Race zapalając papierosa — nie emanował wcale takim spokojem ducha.

Poirot potaknął głową.

— Tak się w dodatku zdenerwował, że palnął głupie kłamstwo. Nie było go w świątyni Abu Simbel, gdy stoczył się głąz. *Moi, qui vous parle\**, mogę na to przysiąc. Bo ja też w niej byłem tuż przed wypadkiem.

— Bardzo głupie kłamstwo — odpowiedział Race — lecz bardzo wymowne.

Poirot znów skinął potakująco głową.

— Na razie — rzekł i uśmiechnął się — obchodzimy się z Penningtonem nader delikatnie.

— Jasne. Chyba o to właśnie chodzi — zgodził się Race.

— Cudownie się nawzajem rozumiemy, mój przyjacielu — powiedział Poirot.

Usłyszeli, że coś zaczęło się jakby lekko obracać, i uczyli drganie pod stopami. „Kamak” ruszył w powrotną drogę do Shellâl.

— Perły — odezwał się Race — to następna sprawa do wyjaśnienia.

— Ma pan jakąś koncepcję?

— Tak — odpowiedział Race i spojrział na zegarek. — Za pół godziny podają lunch. Proponuję pod koniec posiłku stwierdzić po prostu, że zginęły perły i dlatego jestem zmuszony prosić wszystkich o pozostanie w jadalni przez cały czas trwania rewizji osobistej.

Poirot skinął głową na znak aprobaty.

— Dobrze pomyślane. Ten, kto ukradł perły, z pewnością posiada je do tej pory. Działamy bez uprzedzenia, więc nie będzie miał możliwości, jeśli wpadnie w panikę, wyrzucić pereł za burtę.

Race wyciągnął dwie kartki papieru i położył przed sobą.

— Lubię mieć dla siebie krótkie zestawienie faktów w miarę posuwania się sprawy — oświadczył. — To pozwala uniknąć chaosu w myślach.

— Ma pan rację. Wszystko opiera się na porządku i metodzie.

Race notował coś parę minut drobnym i starannym pismem. Następnie podsunął owoce swego trudu przyjacielowi.

— Proszę zaraz mówić, jeśli nie będzie się pan z czymś zgadzał.

Poirot wziął do ręki notatki Race'a. Nagłówek brzmiał:

## ZABÓJSTWO PANI LINNET DOYLE

Pokojówka Luiza Bourget. Ostatnia osoba, która widziała panią Doyle przed jej śmiercią.

Czas — 11.30 (w przybliżeniu). Na okres od godziny 11.30 do 12.20 alibi posiadają następujące osoby: Kornelia Robson, James Fanthorp, Simon Doyle, Jacqueline de Bellefort i poza tym nikt więcej.

Zabójstwa dokonano bez wątpienia po tym czasie, gdyż jest praktycznie dowiedzione, że pistolet należący do Jacqueline de Bellefort, którym posłużył się morderca, znajdował się wówczas w jej torebce. Dopiero jednak sekcja zwłok i ekspertyza wydobytej kuli da absolutną pewność, że użyto tego właśnie pistoletu.



Prawdopodobny bieg wydarzeń: X (morderca) był świadkiem awantury pomiędzy Jacqueline a Simonem Doylem w oszklonym salonie i widział, jak pistolet wpadł pod kanapę. Kiedy w salonie nikogo już nie było. X wy dostał ten pistolet będąc przekonany, że winę za morderstwo przypiszą Jacqueline de Bellefort.

W świetle tej teorii wolne od podejrzeń są następujące osoby:

Kornelia Robson — bo nie miała sposobności zabrać pistoletu, nim James Fanthorp poszedł go szukać

Panna Bowers — podobnie

Doktor Bessner — podobnie

nb. Fanthorp nie jest zupełnie wolny od podejrzeń, bo mógł właściwie schować pistolet do kieszeni i powiedzieć, że go nie znalazł. Pistolet mógł zabrać też ktoś inny w ciągu dziesięciominutowej przerwy. Przypuszczalne motywy zabójstwa: Andrew Pennington. Wysunięte na podstawie hipotezy, iż dopuścił się defraudacji. Istnieją pewne dowody na poparcie tej hipotezy, ale nie są wystarczające do wytoczenia mu sprawy sądowej. Jeśli to on spuścił głąz, to jest człowiekiem, który korzysta z każdej nadarzającej się okazji. Wynika zatem, że zabójstwo nie było zaplanowane ze szczegółami, ale tylko w bardzo ogólnych zarysach. Strzelanina zeszłej nocy stworzyła do tego idealną okazję.

Zastrzeżenie co do teorii, że Pennington jest sprawcą zabójstwa: po co wyrzucił pistolet za burtę, skoro stanowi cenny dowód przeciwko J.B.?

Fleetwood. Zemsta jako motyw. Uważa się za pokrzywdzonego przez Linnet Doyle. Mógł przypadkiem usłyszeć awanturę i zauważyć, gdzie leży pistolet. Mógł go sobie przywłaszczyć, bo pistolet jest poręczny, a nie dlatego, że chciał zwalić winę na pannę de Bellefort. W takim razie wyrzucenie pistoletu za burtę zaczyna mieć sens. Ale po co wobec tego wypisywał krwią literę J na ścianie?

n b. Tego gatunku chustka do nosa, jaką znaleziono razem z pistoletem, pasuje raczej do osoby w typie Fleetwooda niż do któregośkolwiek z zamożnych pasażerów.

Rozalia Otterbourne. Czy przyjmujemy oświadczenie panny Van Schuyler, czy zaprzeczenie Rozalii? Coś wyrzucono wtedy za burtę i przypuszczalnie był to pistolet owinięty w aksamitny szal.

Punkty warte zanotowania. Czy Rozalia miała jakieś motywy? Mogła nie lubić Linnet Doyle i nawet jej zazdrościć, ale jako motyw jest to, ogólnie biorąc, niewystarczające. Zarzut przeciw niej może stać się realny tylko wówczas, gdy znajdziemy odpowiedni motyw. O ile nam wiadomo, Rozalia i pani Doyle nigdy się nie znały i nic ich ze sobą nie łączyło.

Panna Van Schuyler. Aksamitny szal, w który owinięty był pistolet, należy do niej. Zgodnie z tym, co oświadczyła, widziała go po raz ostatni w salonie. Stwierdziła brak szala wieczorem. Zaczęto go szukać, ale bez rezultatu.

W jaki sposób dostał się w ręce X? Czy ukradł go w jakimś momencie owego wieczoru? Ale jeśli tak, to po co? Nikt nie mógł przecież z góry przewidzieć, że dojdzie do kłótni między Jacqueline a Simonem? Czy X znalazł szal w salonie, kiedy przyszedł, by wydobyc pod kanapę pistolet? Dlaczego więc szal się nie znalazł, kiedy go specjalnie szukano? Może był cały czas u panny Van Schuyler? Więc w takim razie ona zabiła Linnet Doyle? Wobec tego jej oskarżenie pod adresem Rozalii Otterbourne było celowym kłamstwem. Jeśli panna Van Schuyler dokonała zabójstwa, to jakie były po temu powody?

Kradzież jako motyw? Możliwe, ponieważ zginęły perły, a Linnet Doyle z całą pewnością miała je na sobie owego wieczora.

Czyżby żywiła urazę do rodziny Ridgewayów? Możliwe. Ale znów brak dowodów.

Wiadomo, że na statku przebywa niebezpieczny zabójca. Mamy więc do czynienia z zabójcą i faktem śmierci. Czy to się ze sobą nie łączy? Należałoby dowiedzieć, że Linnet wiedziała o tym człowieku coś, co zagrażało jej bezpieczeństwu.

Wnioski: Możemy podzielić osoby będące na statku na dwie grupy: jedna — to ci, którzy mieli przypuszczalny motyw do popełnienia zabójstwa lub przeciw którym istnieją konkretne dowody, druga zaś — to ci, których uznaliśmy za wolnych od podejrzeń.

## Grupa I

Andrew Pennington

Fleetwood

Rozalia Otterbourne

Panna Van Schuyler

Luiza Bourget (kradzież)

Ferguson (względy polityczne)

## Grupa II

Pani Allerton

Tim Allerton

Kornelia Robson

Panna Bowers

Doktor Bessner

Signor Richetti

Pani Otterbourne

James Fanthorp

Poirot odsunął od siebie notatki.

— Wszystko, co pan napisał, jest trafne i dokładne — rzekł.

— Czy pan się ze mną zgadza?

— Tak.

— A co pan ze swej strony wymyślił? — spytał Race.

— Ja? Tylko jedno pytanie: dlaczego wyrzucono pistolet za burtę.

— Czy to wszystko?

— Na razie tak. Dopóki nie znajdę całkowicie zadowolającej odpowiedzi na to pytanie, wszelkie domysły uważam za bezsensowne. To pytanie powinno być punktem wyjścia. Zechce pan zauważyć, przyjacielu, że w swej analizie obecnego stanu śledztwa pan nawet nie próbuje na nie odpowiedzieć.

Race wzruszył ramionami.

— Wyrzucono go za burtę ze strachu!

Poirot pokręcił przecząco głową. Uniósł zwiotczały, nasiąknięty wodą aksamit i rozpostarł go na stole. Dotykał palcem osmalonych miejsc i dziur od kuli.

— Niech mi pan powie, przyjacielu — rzekł nagle do Race'a — bo jest pan biegleszy w sprawach broni palnej ode mnie. Czy takie owinięcie pistoletu istotnie wycisza huk wystrzału?

— Nie. To nie jest żaden tłumik. Poirot kiwnął głową.

— Wobec tego człowiek, który miał sporo do czynienia z bronią palną, dobrze o tym wie. Natomiast kobieta może nie mieć o tym pojęcia?

Race rzucił na Poirota zaniepokojone spojrzenie.

— Prawdopodobnie nie.

— Mogła więc wyczytać taką rzecz, w którejś z kryminalnych powieści, gdzie autorzy nie bardzo silą się na dokładność, gdy idzie o szczegóły?

Race pstryknął palcem w małe pistolet z rękojeścią z masy perłowej.

— Ta zabaweczka w ogóle nic robi zbytniego huku — oświadczył. — Ciche pyknięcie, najwyżej. A jeśli wokoło panuje wrzawa, tylko jedna osoba na dziesięć jest w stanie taki odgłos odróżnić.

— To samo i ja pomyślałem — odrzekł Poirot. Wziął chusteczkę do rąk i zaczął ją pilnie oglądać.

— To męska chustka, ale niepodobna, by należała do eleganckiego mężczyzny. Na pewno z bardzo taniego sklepu, kosztowała najwyżej parę groszy.

— Takich może używać tylko człowiek pokroju Fleetwooda — powiedział Race.

— No właśnie, Andrew Pennington, jak zauważyłem, używa bardzo wytwornych, jedwabnych chustek — odrzekł Poirot. — Może Ferguson? — podsunął Race.

— Możliwe, ale tylko jako wyraz buntowniczych poglądów. W takim wypadku jednak byłoby to coś barwnego we wzorek.

— Posłużył się nią zamiast rękawiczki, żeby utrzymać w ręce pistolet i nic pozostawić odcisków — oświadczył Race i dodał lekko żartobliwym tonem: — „Chusteczka z rumieńcem”, co? Przypomniał mi się kryptonim sprawy, którą pan dawno temu prowadził.

— No właśnie. Ma taki iście *jeune fille*\* kolor, prawda? — odrzekł Poirot.

Odłożył chusteczkę na stół i zajął się szalem, raz jeszcze oglądając dokładnie przestrelone dziury.

— A jednak — mrucał — jest w tym coś dziwnego...

— Co znów takiego? — spytał Race.

— *Cette pauvre madame Doyle*\* — powiedział Poirot. — Leży tam sobie spokojnie... z niewielkim otworem w głowie. Przypomina pan sobie jej postać?

Race spojrział zaintrygowany na Poirota.

— Odnoszę wrażenie, że próbuje pan naprowadzić mnie na jakąś myśl, a ja ni rusz nic mogę połapać się, o co chodzi...

# Rozdział XIX

Zapukano do drzwi.

— Proszę — powiedział Race. Wszedł steward.

— Przepraszam — rzekł zwracając się do Poirota. — Pan Doyle pana prosi.

— Już idę.

Poirot wstał. Opuścił pokój, bocznym wejściem wszedł na spacerowy pokład, a stamtąd do kajuty doktora Bessnera.

Simon z twarzą w wypiekach i gorączce leżał wsparty na poduszkach. Widać było, że jest zakłopotany.

— Jak to ładnie z pana strony, że się pan zjawił. Otóż chciałbym pana o coś poprosić.

— Słucham.

Simon jeszcze mocniej poczerwieniał na twarzy.

— Chodzi o Jackie. Chcę się z nią zobaczyć. Czy pan sądzi... Będzie pan tak łaskaw... Czy zechce ona, pana zdaniem, tu przyjść, gdyby pan ją poprosił? Widzi pan, leżę tu sobie i myślę... Przecież... to nieszczęśliwe dziecko, bo to jednak jest dziecko, a ja tak się nikczemnie z nią obszedłem... — wyjąkał i zamilkł.

Poirot patrzył na Simona z zaciekawieniem.

— Chce się pan widzieć z *mademoiselle* Jacqueline? Przyrowadzę ją.

— Dziękuję. Strasznie to miło z pana strony. Poirot wyszedł spełnić prośbę. Znalazł Jacqueline zaszytą w samym kącie salonu. Miała na kolanach otwartą książkę, ale jej nie czytała. — Zechce pani łaskawie pójść ze mną — powiedział uprzejmie Poirot. — Pan Doyle pragnie się z panią widzieć.

Zerwała się z miejsca. Poczerwieniała na twarzy, potem zbladła. Była zmieszana.

— Simon? Chce się widzieć? Ze mną? Wydała się Poirotowi ogromnie wzruszająca. — Pójdzie pani?

— Tak... Naturalnie.

Szła obok Poirota potulna jak dziecko i jak dziecko zadziwiona.

Poirot wszedł do kajuty.

— Bardzo proszę, *mademoiselle*.

Weszła za nim, zachwiała się i znieruchomiała... Stała w miejscu bez słowa, z wzrokiem utkwionym w Simona.

— Witaj, Jackie! — Simon także był zmieszany. — To bardzo ładnie, żeś przysła — dodał. — Chciałem powiedzieć... to znaczy... pomyślałem właśnie...

Nie dała mu skończyć. Powiedziała szybko, rozpaczliwie, i to jednym tchem:

— Simon, nie zabiłam Linnet! Wiesz, że tego nie zrobiłam. Wczoraj wieczór straciłam głowę. Czy mi to kiedykolwiek wybaczysz?

— Oczywiście, w porządku. No, już zgoda! Pomyślałem sobie, że być może trochę się martwisz...

— Martwię się? Trochę? Ależ Simonie!

— Dlatego też chciałem się z tobą zobaczyć. Wszystko dobrze, moja droga. Byłaś trochę roztrzęsiona wczoraj, nawet odrobinę wstawiona. To całkiem naturalne.

— Ach, Simonie. Przecież mogłam cię zabić!

— Ty, zabić? Tą nędzną pukawką?

— A twoja noga? Nie wiadomo, czy będziesz mógł chodzić?

— Słuchaj, Jackie! Przestań mi tu beczeć. Zaraz jak tylko dobijemy do Asuanu, to mi ją prześwietlą, wyjmą tkwiącą tam kulę i wszystko będzie w porządeczku...

Jacqueline przełknęła raz i drugi ślinę, a potem ruszyła do przodu, padła na kolana przy łóżku Simona i łkała kryjąc twarz w dłoniach.

Simon poklepał ją niezgrabnie po głowie. Spojrzał wymownie na Poirota, który z westchnieniem, chcąc nie chcąc, opuścił kajutę.

Wychodząc postłuszał urywany szept.

— Jak mogłam tak postąpić!... Simonie, najmocniej cię przepraszam.

Na pokładzie, wychylona za balustradę, stała Kornelia Robson. Odwróciła głowę.

— Ach, to pan? A dzień jest taki piękny, jak na urągowisko!

Poirot spojrział w niebo.

— Kiedy świeci słońce, nie dostrzega się księżyca — powiedział. — Ale kiedy słońce zgaśnie,

otóż właśnie, kiedy słońce zgaśnie...

Kornelia aż otworzyła usta.

— Przepraszam, nic dosłyszałam...

— Mówilem właśnie, *mademoiselle*, że kiedy słońce zajdzie, wtedy ujrzemy księżyc. Czy tak nie jest?

— Hm, oczywiście.

Popatrzyła na niego bez przekonania. Poirot zaśmiał się łagodnie.

— Ot, plotę głupstwa — odrzekł. — Niech pani nie zwraca na to uwagi.

I pomaszerował wytwornym krokiem w stronę rufy. Kiedy mijał najbliższą kajutę, przystanął na chwilę. Posłyszał, jak ktoś w środku mówił:

— ...Sama tylko niewdzięczność. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam! Żadnych względów dla własnej nieszczęśliwej matki! Ani krzty zrozumienia dla jej cierpień...

Poirot zacisnął mocno usta. Uniósł rękę i zapukał do drzwi.

Zrobiło się nagle cicho, a potem dał się słyszeć głos pani Otterbourne:

— Kto tam?

— Czy jest tam *mademoiselle* Otterbourne?

Rozalia stanęła w drzwiach. Poirot był wstrząśnięty jej wyglądem. Miała głębokie cienie pod oczami i zacięły wyraz ust.

— O co chodzi? — spytała gburowato. — Czego pan chce?

— Przyjemności porozmawiania z panią parę minut, *mademoiselle*. Zechce pani wyjść?

Natychmiast wydeła usta i spojrzała na Poirota podejrzliwie.

— Ale po co?

— Błagam panią.

— Przypuszczam, że...

Wyszła na pokład zamykając za sobą drzwi.

— Słucham?

Poirot ujął ją delikatnie za ramię i powiodł dalej w stronę rufy. Minęli łazienki i poszli za róg. Mieli teraz część pokładu na rufie do swej dyspozycji. W tyle za nimi płynął Nil.

Poirot oparł się łokciami o balustradę. Rozalia stała wyprostowana i sztywna.

— Więc słucham? — powtórzyła pytanie, a w głosie jej był ten sam arogancki ton.

Poirot zaczął mówić wolno, dobierając słowa:

— Mógłbym zadać pani pewne pytanie, ale się ani przez chwilę nie łudzę, że pani zechce udzielić mi na nie odpowiedzi.

— Wobec tego po co pan mnie tu przyprowadził? Poirot wodził z wolna palcem po drewnianej balustradzie.

— Przyzwyczała się pani sama dźwigać swe troski. Ale długo tak pani nie pociągnie. Ich brzemie staje się zbyt ciężkie. Zaczyna już przerastać pani siły...

— Nic rozumiem, o czym pan mówi — rzekła Rozalia.

— Mówię o faktach, zwykłych, niemiłych faktach. Pani pozwoli, że nazwę rzecz po imieniu i wyrażę to jednym krótkim zdaniem: pani matka pije, prawda?

Rozalia nie odpowiedziała. Otworzyła usta, a potem zamknęła. Zdaje się, że była po raz pierwszy zbita z tropu.

— Nie musi pani nic mówić — rzekł Poirot. — To ja pani wszystko powiem. Interesowało mnie w Asuanie, w jakich jesteście ze sobą stosunkach. Zauważyłem od razu, że choć pani zręcznie udaje niechętny stosunek do matki, w istocie stara się pani za wszelką cenę przed czymś ją osłaniać. Bardzo szybko domyśliłem się, przed czym. Wiedziałem już, jak się sprawy mają na długo przedtem, nim pewnego ranka natknąłem się na matkę pani, która była bez wątpienia w nietrzeźwym stanie. Ponadto zauważyłem, iż pije ukradkiem, co jest najcięższą do zwalczenia formą nałogu. Niestłuchanie dzielnie radziła sobie pani z tym wszystkim. Ale mimo tego potrafiła być ona niestłuchanie przebiegła, jak każdy, kto pije skrycie. Udało się jej zdobyć skądś zapas trunków i dobrze je ukryć przed panią. Wcale bym się nie zdziwił, że dopiero wczoraj udało się pani odnaleźć ów schowek. A co za tym idzie, wczoraj w nocy, kiedy matka mocno już zasnęła, wymknęła się pani z całą zawartością kasetki, przeszła na drugą stronę pokładu (ponieważ ta pani bliższa dotykała brzegu) i wyrzuciła to wszystko za burtę, do Nilu.

Zamilkł.

— Tak było, prawda?

— Tak było, racja — rzekła i dodała z nagłym porywem: — Jakaż ja byłam głupia, że tego nie powiedziałam. Ale nie chciałabym, żeby się ktoś dowiedział. Zaraz by się to rozniosło po całym statku. Dlatego... takie głupie wydawało mi się to, że...



— ...Podejrzuwa się panią o popełnienie morderstwa?

Rozalia kiwnęła potakująco głową.

— Tak bardzo się starałam, by nikt się nic dowiedział. To naprawdę nie jest jej wina. Zniechęciła się. Ludzie przestali kupować jej powieści. Są znużeni tą ich całą tandetną zmysłowością... Poczuli się tym dotknięta... i to bardzo głęboko. Toteż zaczęła... pić. Przez długi czas nie mogłam dojść, na czym polega jej dziwność. Ale kiedy odkryłam... próbowałam z tym walczyć. Wstrzymywała się na krótki czas, a potem nagle zaczynała na nowo i wywoływała straszliwe kłótnie i awantury z ludźmi. To było okropne! — Rozalia wzdrygnęła się. — Zawsze musiałam być w pogotowiu, żeby ją wyprowadzić. Wkrótce znieubiła mnie za to. Jest właściwie wrogo do mnie nastawiona. Mam wrażenie, że mnie czasem nienawidzi...

— *Pauvre petite*\* — rzekł Poirot.

Rozalia obruszyła się gwałtownie.

— Niech mnie pan nie żałuje. I nie okazuje dobroci. Tak będzie mi lżej. — Wydała głębokie i serdeczne westchnienie.

— Bardzo jestem zmęczona. Zmęczona śmiertelnie.

— Wiem to — odrzekł Poirot.

— Ludzie myślą, że jestem okropna. Zarozumiała, opryskliwa i trudna we współżyciu. Nic na to nic poradzę. Zapomniałam już, jak być... miłą.

— Już to powiedziałem: zbyt długo dźwiga pani samotnie to jarzmo.

— Jakaż to ulga, że można o tym porozmawiać — odrzekła z wolna Rozalia. — Pan był zawsze dla mnie taki uprzejmy. Za to ja, niestety, często niegrzeczna wobec pana.

— *La politesse*\* nie jest konieczna między przyjaciółmi.

Nagle wyraz podejrzenia pojawił się na jej twarzy.

— Ale pan rozpowie o tym? Spodziewam się, że będzie pan nawet musiał z powodu tych przeklętych butelek, które wyrzuciłam za burtę.

— Nic będzie takiej konieczności. Chciałbym tylko wiedzieć jedno. O której to było godzinie? Dziesięć po pierwszej?

— Coś koło tego, sądzę. Ale nie pamiętam dokładnie.

— A teraz proszę mi powiedzieć. Widziała pani *mademoiselle* Van Schuyler, skoro ona panią widziała?

Rozalia pokręciła przecząco głową.

— Nie.

— Powiada, że wyjrzała przez oszklone drzwi kajuty.

— Jestem prawie pewna, że jej nie widziałam. Rozejrzałam się tylko dokoła, a potem buch!... do rzeki.

Poirot pokiwał głową.

— Czy rozglądając się po pokładzie widziała pani może kogokolwiek?

Nie było odpowiedzi. Przez dłuższą nawet chwilę. Rozalia zmarszczyła brwi. Zdawało się, że się nad czymś pilnie zastanawia.

Wreszcie podjęła decyzję.

— Nie — rzekła. — Nie widziałam nikogo.

Poirot z wolna pokiwał głową. W oczach miał smutny wyraz powagi.

# Rozdział XX

Ludzie wchodzili do jadalni pojedynczo lub parami, wyraźnie przygaszeni. Wszyscy jakby odczuwali, że zasiadać ochoczo do jedzenia to objawiać w sposób niefortunny brak głębokich uczuć. Wchodzili więc kolejno, trochę jakby skrępowani, i zajmowali miejsca przy stołach.

Tim Allerton zjawił się w parę minut potem, jak pani Allerton usiadła do stołu. Był najwyraźniej w bardzo złym humorze.

— Żałuję, żeśmy w ogóle wybrali się na tę przeklętą wycieczkę — warknął.

Pani Allerton pokręciła smutno głową.

— Ja też, mój drogi. Taka piękna dziewczyna! Co za niepowetowana strata! I pomyśleć, że zabito ją z zimną krwią. Straszne mi się wydaje, że ktoś mógł taką rzecz zrobić. A to drugie biedactwo?

— Jacqueline?

— Tak. Serce mi się kraje, gdy o niej pomyślę. Wygląda na bardzo nieszczęśliwą.

— Będzie miała nauczkę, żeby nie rozrzucać bezmyślnie swych pistolecików — odrzekł Tim bezlitosnym tonem, sięgając po masło.

— Zdaje mi się, że ją nieodpowiednio wychowano.

— Na miłość boską, mamó, przestań być taka macierzyńska!

— Jesteś w wybitnie złym humorze, Tim.

— To prawda. I trudno mi się dziwić.

— Nie widzę w tym żadnego powodu do irytacji. To jest po prostu przerażająco smutne!

— Patrzysz na to wszystko z romantycznej strony! — odrzekł gniewnie Tim. — Nie zdajesz sobie sprawy, że to wątpliwa przyjemność być wmieszanym w morderstwo.

Pani Allerton jakby się trochę przestraszyła.

— Z pewnością...

— Otóż właśnie — rzekł Tim. — Nie ma tu żadnych „z pewnością”. Każdy na tym przeklętym statku jest podejrzany, ja i ty, podobnie jak reszta ludzi.

— Teoretycznie tak — odparła. — Ale właściwie to przecież śmieszne!

— Nie ma nic śmiesznego, gdy idzie o morderstwo. Możesz tu sobie siedzieć, droga mammo, tchnąć niewinnością i samą prawością, ale gromada niesympatycznych policjantów w Asuanie czy Shellâl nie będzie osądzać cię po twarzy.

— Być może prawda wyjdzie na jaw, nim tam dotrzemy?

— Nie łudź się!

— Może pan Poirot wszystko wykryje?

— Ten stary oszust? Niczego nie wykryje! To tylko wąsaty gaduła!

— Zgoda, Tim. Przypuśćmy, że tak naprawdę jest, jak mówisz, skoro więc musimy przez to przebrnąć, to czy nie można by się tak nastawić, by przejść przez to wszystko możliwie jak najpogodniej?

Syn nie objawiał chęci do rozproszenia ponurego nastroju.

— A jeszcze ta przekłeta sprawa z perłami, które zginęły.

— Perły Linnet?

— Tak. Ktoś je widocznie zwędził.

— A może to była przyczyna zabójstwa? — rzekła pani Allerton.

— Skądże, mammo! Mieszasz ze sobą dwie całkowicie różne rzeczy!

— Kto ci powiedział, że zginęły?

— Ferguson. Dowiedział się o tym od swego gburowatego przyjaciela, który pracuje w maszynowni. a ten z kolei dowiedział się o tym od pokojówki.

— Jakie to były piękne perły! — wykrzyknęła pani Allerton.

Poirot usiadł przy stole chyląc w ukłonie głowę przed panią Allerton.

— Przepraszam! Trochę się spóźniłem — rzekł.

— Jest pan, widzę, pochłonięty pracą — odrzekła pani Allerton.

— Tak, jestem bardzo zajęty. Zamówił u kelnera świeżą butelkę wina.

— Jesteśmy bardzo konserwatywni w naszych gustach — zauważyła pani Allerton. — Pan zawsze pije wino, Tim whisky z wodą sodową, ja natomiast różne rodzaje wody mineralnej.

— *Tiens!*\* — powiedział Poirot. Popatrzył chwilę na panią Allerton. — Jednak nie wykluczone,

że... — zamruczał pod nosem, a potem niecierpliwym wzruszeniem ramion pozbył się nagiej myśli, która go tak zafrapowała, i zaczął przyjemnie gawędzić o różnych sprawach.

— Czy pan Doyle jest poważnie ranny? — spytała pani Allerton.

— Tak. Bardzo poważnie. Doktor Bessner chciałby już znaleźć się jak najprędzej w Asuanie, gdzie będzie można nogę prześwietlić i usunąć kulę. Ma nadzieję, że panu Doyle nie grozi trwałe kalectwo.

— Biedny Simon — odezwała się pani Allerton. — Jeszcze wczoraj miał wygląd szczęśliwego chłopca, który ma w życiu wszystko, czego pragnie, a teraz jego piękna żona zabita, a on sam leży chory i bezradny. Mimo wszystko mam nadzieję...

— Na co, łaskawa pani? — spytał Poirot, gdy pani Allerton zamilkła.

— Mam nadzieję, że się nie gniewa na to biedactwo.

— *Mademoiselle* Jacqueline? Wprost przeciwnie. Był nią ogromnie przejęty.

— Wie pan? — zwrócił się Poirot do Tima. — Taka mała psychologiczna ciekawostka. Cały czas, kiedy Jacqueline jeździła wszędzie za nimi, doprowadzało go to do wściekłości, ale teraz właśnie, kiedy do niego strzeliła raniąc go poważnie, cały jego gniew gdzieś się ulotnił. Czy pan to rozumie?

— Rozumiem — odparł Tim w zamyśleniu. — Tak mi się wydaje. Pierwsza sprawa stawiała go w bardzo głupiej sytuacji...

Poirot pokiwał głową.

— Ma pan rację — rzekł. — Obrażała jego męską godność.

— Ale jeśli spojrzeć na to pod pewnym kątem, tym razem Jacqueline zrobiła z siebie idiotkę. Wszyscy ją potępiają, więc...

— Więc on może jej wspaniałomyślnie wybaczyć — dokończyła pani Allerton. — Jacyż mężczyźni są dziecinni!

— Z gruntu fałszywa opinia, którą kobiety zawsze wypowiadają — wymruczał Tim.

Poirot uśmiechnął się.

— Niech mi pan powie — rzekł do Tima. — Czy kuzynka Linnet Doyle, panna Joanna Southwood, jest do niej podobna?

— Pan jest trochę w błędzie, panie Poirot. Joanna jest naszą kuzynką, a tylko przyjaciółką Linnet.

— Przepraszam. Coś mi się pokręciło. W gazetach często piszą o tej młodej damie. Interesuję się nią od pewnego czasu.

— Z jakiego to powodu? — spytał ostro Tim. Poirot podniósł się trochę z krzesła, aby złożyć ukłon Jacqueline de Bellefort, która właśnie nadeszła i przechodziła obok kierując się do swego stolika. Policzki miała zaróżowione, oczy błyszczące i trochę nierówny oddech.

Niebawem Poirot usiadł i zdawało się, że całkiem zapomniał o pytaniu Tima.

— Ciekaw jestem, czy wszystkie młode damy, które posiadają cenną biżuterię, są równie roztargnione, jak pani Doyle?

— Więc to prawda, że je skradziono? — spytała pani Allerton.

— Kto pani o tym powiedział?

— Ferguson tak mówił — pospieszył z wyjaśnieniem Tim.

Poirot z powagą pokiwał głową.

— Tak, to prawda.

— Przypuszczam — odezwała się nerwowo pani Allerton — że czeka nas wszystkich sporo nieprzyjemności z tego powodu. Tim tak mówi.

Tim miał wściekłą minę.

— No właśnie — zwrócił się do mego Poirot — pan już kiedyś coś podobnego przeżył, prawda? Był pan w jakimś domu, gdzie dokonano kradzieży...?

— Nic podobnego — odpowiedział Tim.

— Ależ mój drogi! Przecież byłeś u Portarlingtonów, kiedy skradziono brylanty tej okropnej kobiecie?

— Zawsze wszystko beznadziejnie pokręcisz, mamó. Byłem tam wtedy, gdy wyszło na jaw, że brylanty, które miała na swej grubej szyi, są tylko imitacją. Ktoś je musiał wymienić już na parę miesięcy przedtem. Prawdę mówiąc, sporo osób twierdziło, że ona sama to zrobiła.

— Tak mówiła Joanna, prawda?

— Joanny tam nic było.

— Ale ona dobrze zna Portarlingtonów. Robienie podobnych uwag bardzo do niej pasuje!

— Zawsze okazujesz wobec niej niechęć, mamó.

Poirot spiesznie zmienił temat. Nosił się z zamiarem dokonania wielkiego zakupu w jednym z asuańskich sklepów. Chodziło o piękny fioletowo–złoty materiał, który był u jednego z hinduskich kupców. Trzeba będzie, oczywiście, zapłacić cło, ale...

— Mówili, że mogą, jak wy to nazywacie, „wyekspediować” ten materiał na mój adres. I nie będzie to wiele kosztować. Jak państwo sądzą, czy dojdzie cało?

Pani Allerton odpowiedziała, że sporo ludzi, jak słyszała, każe sobie wysyłać rzeczy ze sklepu wprost do Anglii i wszystkie przychodzą na miejsce bez szwanku.

— *Bien*. Wobec tego tak zrobię. Ale większy to chyba kłopot dostawać paczki z Anglii, gdy się jest za granicą! Zdarzyło się to już kiedyś państwu? Przyszła może do państwa jakaś paczka podczas tej podróży?

— Nic przypominam sobie. A ty, Tim? Dostajesz czasem książki, ale oczywiście z nimi nic ma nigdy kłopotu.

— Ach, książki to zupełnie coś innego!

Podano deser. Wtedy to właśnie, bez uprzedniej zapowiedzi, pułkownik Race wstał i przemówił do zebranych. Napomknął o okolicznościach, w których popełniono zbrodnię, i zawiadomił o kradzieży pereł. A także o zarządzonej rewizji na statku. Poprosił więc uprzejmie wszystkich pasażerów o pozostanie na ten czas w jadalni. A kiedy przeszukiwanie statku dobiegnie końca, wówczas, jeśli pasażerowie się zgodzą, a pewien był, że to uczynią, poprosi ich uprzejmie, by się po kolei sami poddali rewizji osobistej.

Poirot przemknął się zwinnie w stronę pułkownika Race’a. Powstało dokoła trochę wrzawy i zamieszania. Dały się słyszeć odgłosy powątpiewania, ciekawości i podniecenia.

Dotarłszy do Race’a Poirot szepnął mu coś do ucha, w chwili gdy pułkownik zamierzał właśnie opuścić jadalnię.

Race wysłuchał, skinął na znak zgody i przywołał ręką stewarda. Coś mu w paru słowach powiedział, a następnie wyszedł razem z Poirotem na pokład zamykając za sobą drzwi.

Przystanęli na parę minut przy balustradzie. Race zapalił papierosa.

— Nieźle pan to wymyślił — powiedział do Poirota. — Zaraz zobaczymy, co z tego wyniknie. Dam im na to trzy minuty.

Drzwi od jadalni otworzyły się i wyszedł z nich ten sam steward, z którym rozmawiali uprzednio. Zasalutował przed Racem i rzekł:

— Zgadza się, panie pułkowniku. Jest tam pewna dama, która pragnie natychmiast pomówić z panami, bez żadnej zwłoki. Mówi, że to pilna sprawa.

— Kto to taki? — na twarzy Race’a malowała się satysfakcja.

— Panna Bowers, panie pułkowniku, pielęgniarka. Lekki cień zdumienia pojawił się na obliczu Race’a.

— Poproś ją do palami. Nie pozwólcie wyjść nikomu poza nią.

— Oczywiście, panie pułkowniku. Drugi steward już tego dopilnuje — rzekł i wrócił do jadalni.

Poirot wraz z Racem skierowali swe kroki do palarni.

— Bowers? Coś takiego? — zdziwił się Race. Ledwo tylko weszli do palami, a już zjawił się tenże sam steward razem z panną Bowers. Wpuścił ją do środka i zaraz wyszedł zamykając za sobą drzwi.

— A więc, panno Bowers? — rzekł Race spoglądając pytającym wzrokiem. — Słuchamy.

Panna Bowers była jak zwykle zdyscyplinowana i spokojna. Nic okazywała też żadnego szczególnego podniecenia.

— Proszę mi wybaczyć, pułkowniku — powiedziała. — Ze względu na okoliczności uznałam, że jednak najlepiej będzie, jeśli powiem od razu — otworzyła swą zgrabną czarną torebkę — i oddam to panu.

Wyjęła sznur pereł i położyła na stole.



# Rozdział XXI

Gdyby panna Bowers należała do typu kobiet, które lubią budzić sensację, to wrażenie, jakie swym postępkami wywołała, uznać by mogła za swój ogromny sukces.

Wyraz najwyższego zdumienia odbił się na twarzy pułkownika Race'a, kiedy wziął do ręki leżące na stole perły.

— Wprost niebywale! — rzekł. — Zechce nam pani łaskawie to wyjaśnić?

— Naturalnie. Po to właśnie przyszedłam — odpowiedziała sadowiąc się wygodnie na krześle. — Oczywiście trochę mi trudno było zdecydować, jak tu najwłaściwiej postąpić. Rodzina, naturalnie, jest niechętna wszelkim skandalom tego rodzaju, poza tym polegają na mej dyskrecji, ponieważ jednak okoliczności są tak niezwykle, nie mam więc innego wyboru. Jeśli bowiem panowie nie znajdą niczego w kajutach, to zarządzą następnie rewizję osobistą pasażerów, a jeżeli znajdą te perły u mnie, wtedy robi się nieprzyjemna sytuacja i tak czy owak prawda wyjdzie na wierzch.

— A więc, jaka jest prawda? Wzięła pani te perły z kajuty pani Doyle?

— Ależ nie, panie pułkowniku. Skądże znowu! Zrobiła to panna Van Schuyler.

— Panna Van Schuyler?

— Tak. Wie pan, ona nie może się powstrzymać i... przywłaszcza sobie rzeczy... Zwłaszcza biżuterię. Dlatego właśnie stale przy niej jestem. Powodem nie jest jej zdrowie, ale właśnie to małe... upodobanie. Jestem stale w pogotowiu i szczęśliwie nie było żadnych kłopotów, odkąd przy niej jestem. Wystarczy tylko być czujnym. Poza tym ona zawsze chowa zabrane rzeczy w to samo miejsce, zawija w pończochy, co sprawę bardzo ułatwia. Codziennie rano robię zawsze przegląd.

W dodatku mam lekki sen, śpiam zawsze w sąsiednim pokoju, a wspólne drzwi trzymam otwarte, jeśli jesteśmy w hotelach, toteż zazwyczaj wszystko słyszę. Wtedy idę za nią i namawiam, by wróciła do łóżka. Oczywiście znacznie trudniej jest z tym na statku. Zazwyczaj robi to nocą. Jak zauważy, że ktoś zostawił jakąś rzecz, to ją po prostu zabiera. Naturalnie, perły były dla niej zawsze ogromną atrakcją.

Panna Bowers zamilkła.

— Jak pani odkryła, że zostały zabrane? — spytał Race.

— Były dziś rano w jej pończochach. Wiedziałam, oczywiście, czyją są własnością. Często je oglądałam. Poszłam, aby je odłożyć na miejsce mając nadzieję, że pani Doyle jeszcze śpi i nie odkryła straty. Stał tam jednak steward; powiadomił mnie, że panią Doyle zamordowano i nikogo nie wpuszczają do środka. Toteż, jak pan widzi, znalazłam się w naprawdę kłopotliwej sytuacji. Ciągle

jednak miałam nadzieję, że je później podrzucę do kajuty, nim jeszcze zauważą ich brak. Zapewniam pana, że poranek ten nie należał do przyjemnych, gdyż cały czas łamałam sobie głowę, co tu zrobić.

Jak panu wiadomo, rodzina panny Van Schuyler jest wielce szacowna i bardzo na takie sprawy uczulona. Nie wiem, co by to było, gdyby taka sprawa trafiła do gazet. Ale to nie będzie konieczne, prawda?

Widać było, że panna Bowers jest naprawdę bardzo zmartwiona.

— To zależy do okoliczności — powiedział z całą ostrożnością pułkownik Race. — Dołożymy, oczywiście, wszelkich starań. A co na to mówi panna Van Schuyler?

— Oczywiście wszystkiemu zaprzeczy. Zawsze tak robi. Powie, że to ktoś złośliwie je podrzucił. Nigdy się nie przyzna, że cokolwiek wzięła. Dlatego też, jeśli się ją przyłapie na gorącym uczynku, idzie do łóżka niczym baranek. Tłumaczy się, że wyszła, by popatrzeć na księżyc. Coś w tym rodzaju.

— Czy panna Robson wie o tej... słabostce?

— Nie. Jej matka wie, ale ponieważ dziewczyna jest bardzo prostoduszną istotą, uznała, że lepiej będzie jej o tym nie mówić. Sama z powodzeniem daję sobie radę z panną Van Schuyler — wyznała biegła w swym zawodzie panna Bowers.

— Czujemy się w obowiązku podziękować pani za tak niezwłoczne zgłoszenie się do nas — rzekł Poirot.

Panna Bowers wstała.

— Ufam, że postąpiłam jak najsluszniej.

— Może być pani tego pewna.

— A jak się ma sprawa z mordercą, który był tam również...

Tu przerwał jej pułkownik Race. Głos jego był pełen powagi.

— Panno Bowers, pragnę panią o coś zapytać i chciałbym jednocześnie zaapelować o wyjawienie czystej prawdy. Panna Van Schuyler w swym odchyleniu od normy wykazuje skłonność do kleptomanii. Czy objawia także określone skłonności mordercze!

— Ależ nie! Skądże! — odpowiedziała natychmiast panna Bowers. — Nic w tym rodzaju. Mogę na to przysiąc. Starsza pani nie zabiłaby nawet muchy.

Panna Bowers udzieliła odpowiedzi z tak niezbitą pewnością, iż można było uznać temat za wyczerpany.

Niemniej Poirot zwrócił się jeszcze do niej z jednym małym pytaniem: — Czy panna Van Schuyler ma jakieś kłopoty ze słuchem?

— Zasadniczo tak. Trudno to wyraźnie zauważyć, kiedy się z nią rozmawia. Ale dość często nie słyszy, kiedy się wejdzie do pokoju. Tak bym to określiła.

— Czy sady pani, że mogła słyszeć, że ktoś się kręci w kajucie pani Doyle, mieszczącej się w sąsiedztwie?

— Nie sędzę. Na pewno nie. Koja stoi bowiem po drugiej stronie, a nie przy ścianie wspólnej z tamtą kajutą. Nie wierzę, aby mogła cokolwiek usłyszeć.

— Dziękujemy.

— Zechce pani łaskawie wrócić teraz do jadalni i pozostać razem z innymi — rzekł Race.

Otworzył przed nią drzwi i zaczekał, aż zeszła po schodkach i wkroczyła do jadalni. Potem zamknął drzwi i powrócił do stołu. Poirot wziął do ręki perły.

— Cóż — odezwał się ponuro Race. — Wcale nic trzeba było długo czekać. To bardzo opanowana i przebiegła kobieta. Potrafiłaby z powodzeniem wodzić nas za nos, gdyby tego chciała. A co teraz zrobimy z panną Van Schuyler? Nie uważam, by można ją było wykreślić z listy podejrzanych. Wie pan, mogła przecież popełnić morderstwo, żeby zdobyć te perły? Nie należy brać na serio zapewnień pielęgniarki. Zależy jej przede wszystkim na tym, żeby wypaść jak najlepiej przed rodziną.

Poirot pokiwał głową na znak, że się zgadza. Był całkowicie pochłonięty sznurem pereł, przesuwając go między palcami, przytykał do oczu.

— Możemy przyjąć, jak sędzę, że część relacji panny Van Schuyler jest prawdziwa — rzekł. — Istotnie wyrzuciła z kajuty i naprawdę widziała Rozalię Otterbourne. Ale nie uważam, by słyszała cokolwiek lub widziała kogokolwiek w kajucie Linnet Doyle. Sędzę, że po prostu wyglądała z kajuty, czekając odpowiedniej chwili, żeby się tam wśliznąć i przywłaszczyć sobie perły.

— Wobec tego Rozalia Otterbourne tam była?

— Oczywiście. Wyrzucała do wody przemyślną kasetę na trunki swej matki.

Pułkownik Race pokiwał głową ze współczuciem.

— Więc to tak? Ciężka to rzecz dla młodej dziewczyny.

— Tak. Nie ma wesołego życia, *cette pauvre petite Rosalie* \*.

— Rad więc jestem, że się to wyjaśniło. Czy może ona coś widziała albo słyszała?

— Pytałem ją o to. Odpowiedziała, ale dopiero po upływie dwudziestu sekund, że nie widziała nikogo.

— Aha? — w pułkowniku obudziła się czujność. — To zastanawiające, prawda?

— Jeśli Linnet Doyle zabito około dziesięć minut po pierwszej albo też jakiś czas potem, gdy na statku zrobiło się cicho, to aż zdumiewające się wydaje, że nikt nie słyszał wystrzału. Zgadza się, że taki pistolecik jak ten nie zrobiłby wiele hałasu, ale przecież na statku panowała głucha cisza i każdy odgłos, nawet korek wylatujący z butelki, powinno być słychać. Ale teraz zaczynam to lepiej rozumieć. Jedna z kajut przyległych do tej, którą zajmowała pani Doyle, była pusta, gdyż Simon Doyle przebywał u doktora Bessnera, a w drugiej znajdowała się panna Van Schuyler, która niedosłyszy. Pozostaje więc tylko... — zamilkł i spojrzał wyczekująco na Poirota, który skinął potakująco głową — jedna sąsiadująca także z tą, ale od drugiej strony statku. Innymi słowy — Pennington. Jak widać, zawsze w końcu wracamy do Penningtona!

— Wrócimy niebawem do niego, ale już bez jedwabnych rękawiczek. Obiecuję zrobić sobie tę przyjemność.

— Ale tymczasem zabierzmy się lepiej do przeszukiwania statku. Perły nadal stanowią wygodny pretekst, nawet jeśli zostały już zwrócone, gdyż panna Bowers nie będzie prawdopodobnie afiszować się z tym faktem.

— Ach, te perły! — Poirot raz jeszcze uniósł je do światła. Wystawił język, polizał je, a nawet jedną z nich ostrożnie nacisnął zębami. Następnie z westchnieniem odrzucił je na stół.

— Jeszcze jedna komplikacja, mój przyjacielu — powiedział. — Nie jestem specjalistą od szlachetnych kamieni, ale miałem z nimi niemało do czynienia w swoim czasie i jestem prawie pewny, że te perły są tylko udaną imitacją.

# Rozdział XXII

Pułkownik Race zaklął soczyście.

— Ta diabelna sprawa coraz bardziej się komplikuje! — wziął do ręki perły. — Na pewno się pan nie myli? Według mnie wyglądają na prawdziwe.

— O tak. To bardzo dobra imitacja.

— Dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

— Nie sędzę, aby Linnet Doyle kazała celowo, ze względu na bezpieczeństwo, sporządzić imitację i przywiozła ją tu za granicę. Wiele kobiet tak robi.

— Gdyby tak było. to mąż by chyba o tym wiedział.

— Mogła mu o tym nie powiedzieć. Poirot kręcił głową z niezadowoleniem.

— Nie. Wcale nie sędzę, że tak było. Jeszcze pierwszego wieczoru na statku podziwiałem perły madame Doyle, ich odcień i blask. Jestem pewien, że wówczas miała na sobie te prawdziwe.

— Stawia nas to w obliczu dwóch możliwości. Pierwsza, że panna Van Schuyler przywłaszczyła sobie jedynie imitację, a prawdziwe ukradł ktoś inny. Druga, że cała ta historyjka z kleptomanią jest zmyślona. Albo panna Bowers jest złodziejką, wymyśliła tę historyjkę na poczekaniu i oddaliła podejrzenia wręczając fałszywe perły, a bierze w tym udział całe towarzystwo. To by znaczyło, że jest to gang sprytnych złodziei biżuterii, udających celowo elegancką amerykańską rodzinę.

— Tak — mruknął Poirot. — Trudno tu cokolwiek powiedzieć. Ale chciałbym zwrócić uwagę pana na jedną rzecz. Aby zrobić doskonałą i wierną kopię pereł i zamka, tak znakomicie podrobioną, żeby się pani Doyle nie poznała, trzeba na to niebywale wysokiego kunsztu. Tego nie można dokonać w pośpiechu. Ten, kto skopiował perły, musiał mieć bardzo dogodną sposobność przyjrzenia się dobrze oryginałowi. Race wstał.

— Na nic się nie zda spekulować nad tym dłużej. Zabierajmy się do pracy. Musimy znaleźć prawdziwe perły. A jednocześnie miejmy na wszystko otwarte oczy.

W pierwszej kolejności zabrali się do kajut położonych na dolnym pokładzie. W kajucie signora Richettiego znaleźli rozmaite rozprawy archeologiczne w obcych językach, sporo różnych ubrań, eliksirów do włosów o bardzo mocnym zapachu i dwa prywatne listy: jeden od uczestników archeologicznej wyprawy z Syrii, drugi zaś zapewne od siostry z Rzymu. Chusteczki, co do jednej, były z kolorowego jedwabiu.

Przeszli następnie do kajuty Fergusona.

Było tu nieco rozrzuconych komunistycznych broszurek, sporo amatorskich zdjęć, *Erewhon* Samuela Butlera i tanie wydanie *Dzienników* Pepysa. Rzeczy osobistych miał niewiele. Wierzchnie ubrania były przeważnie brudne i podarte, natomiast bielizna osobista w naprawdę znakomitym gatunku. Chustki do nosa z drogiego lnu.

— Co za ciekawe sprzeczności — powiedział Poirot. Race pokiwał głową.

— Co dziwne, nie ma żadnych osobistych notatek, listów, niczego w tym rodzaju.

— Tak, to daje do myślenia. Dziwny młodzieniec z tego Fergusona — rzekł Poirot. Popatrzył w zamyśleniu na sygnet, który wziął do ręki, a potem odłożył go do szuflady, gdzie się uprzednio znajdował.

Następnie weszli do kajuty zajmowanej przez Luizę Bourget. Pokojówka spożywała zazwyczaj posiłki zaraz po pasażerach, ale Race wydał obecnie polecenie, by jadała razem ze wszystkimi. Natknęli się właśnie na stewarda, który miał pod swą pieczę kajuty pasażerów.

— Przepraszam panów — rzekł — ale nigdzie nie mogę znaleźć tej młodej niewiasty. Nie mam pojęcia, gdzie się podziała.

Race zajrzał do jej kajuty. Była pusta. Weszli na spacerowy pokład i zaczęli od prawej burty. Pierwszą z kajut zajmował James Fanthorp. Był w niej nieskazitelny porządek. Pan Fanthorp podróżował z niewielkim bagażem, a wszystko było w bardzo dobrym gatunku.

— Żadnych listów — rzekł w zamyśleniu Poirot. — Ten nasz pan Fanthorp jest do tego stopnia ostrożny, że niszczy korespondencję.

Przeszli następnie cło kajuty Tima Allertona, która była tuż obok. Znajdowały się tam dowody świadczące o jego zwrocie duchowym od kościoła anglikańskiego ku rzymskokatolickiemu: drogocenny składany ołtarzyk i przemyślnie rzeźbiony wielki różaniec z drewna. Poza ubraniami znaleźli tani skończony do połowy rękopis z mnóstwem przypisów i adnotacji oraz świetną kolekcję książek, z których większość stanowiły nowości wydawnicze. Było też sporo listów rzuconych niedbale do szuflady.

Poirot, który nigdy nie miał najmniejszych skrupułów, jeśli idzie o czytanie cudzej korespondencji, przejrzał je pobieżnie. Zauważył zupełny brak listów od Joanny Southwood. Wziął do ręki tubkę kleju i w roztargnieniu obracał ją w palcach parę minut, a potem rzekł:

— Przejdźmy dalej!

— Ani śladu tanich chustek — obwieścił Race, obejrzawszy szybko zawartość szuflady.

Sąsiednia kajuta należała do pani Allerton. Była niezmiernie schludna i unosił się w niej staroświecki zapach lawendy. Bardzo szybko uporali się z szukaniem.

— Co za miła kobieta! — zauważył Race, gdy wychodzili.

Następna kajuta była używana jako garderoba przez Simona Doyle'a. Wszelkie niezbędne rzeczy, jak piżama i przybory toaletowe przeniesiono do kajuty doktora Bessnera, ale reszta: dwie sporych rozmiarów skórzane walizki oraz podręczna torba pozostały na miejscu. Było też nieco ubrań w szafie.

— Przejrzemy to wszystko starannie, przyjacielu — rzekł Poirot. — jest całkiem możliwe, że złodziej tutaj ukrył te perły.

— Tak pan sądzi?

— Ależ oczywiście. Proszę się tylko zastanowić. Złodziej, czy to będzie kobieta, czy mężczyzna, musi wiedzieć, że prędzej czy później przeprowadzona zostanie rewizja i byłoby rzeczą wysoce nierozważną urządzać kryjówkę we własnej kajucie. Wspólne pomieszczenia są także kłopotliwe. Ale jest przecież kajuta należąca do osoby, która nie ma możliwości zjawienia się tam osobiście, toteż jeśli nawet znajdą w niej owe perły, to przecież jeszcze o niczym nie świadczy.

Jednak mimo starannego szukania nie znaleziono nawet śladu zaginionego naszyjnika.

— Ha, trudno — zamruczał pod nosem Poirot i powrócił z Racem na pokład.

Kajutę Linnet Doyle zamknięto po wyniesieniu zwłok, ale Race miał przy sobie klucz. Otworzył drzwi i obaj z Poirotem weszli do środka. Zabrano tylko ciało, kajutę zaś pozostawiono od owego rana w nietkniętym stanie.

— Poirot — rzekł Race — jeśli jest tu coś schowane, to, na miłość boską, zabierajmy się do szukania i odnajdźmy. Pan jest w tym względzie niezrównany, dobrze o tym wiem.

— Tym razem nie ma pan na myśli pereł, *mon ami*?\*

— Nie. Ale rzecz najważniejszą w przypadku morderstwa. Jest możliwe, że coś przeoczyłem dziś rano.

Spokojnie i sprawnie Poirot zabrał się do szukania. Ukłął i cał po calu badał dokładnie podłogę. Przeszukał łóżko. Szybko przejrzał szafę i komodę. Sprawdził zawartość kufra i dwóch wytwornych walizek. Obejrzał ze wszystkich stron kosztowny, zdobiony złotem neseser. Na koniec skupił swą uwagę na umywalni.

Stały tam różne kremy, pudry oraz płyny do pielęgnacji cery. Ale Poirota najbardziej zainteresowały buteleczki lakieru do paznokci. Wziął je obie i przeniósł na toaletkę.

Jedna z nich, opatrzona etykietką z napisem „Róża”, była prawie pusta, jeśli nie liczyć paru kropel ciemnego płynu na dnie. Druga, tej samej wielkości, ale z napisem „Czerwień kardynalska”, była prawie pełna. Poirot odkorkował najpierw pustą, a potem pełną buteleczkę i zaczął obie delikatnie obwąchiwać.

Mocny zapach landrynek rozszedł się gwałtownie po pokoju. Krzywiąc się z lekka Poirot zakorkował obie buteleczki.

— Znalazł pan coś? — spytał Race.

— Nie łapie się much na ocet — odpowiedział mu Poirot cytując francuskie przysłowie i dodał z westchnieniem:

— Nie powiodło się nam, niestety. Morderca nie był zanadto uczynny. Nie podrzucił spinek od koszuli, niedopałka papierosa czy popiołu z cygara ani też chusteczki, szminki lub szpilki do włosów, jeśli to była kobieta.

— Tylko lakier do paznokci? Poirot wzruszył ramionami.

— Muszę spytać pokojówkę. W tym jest coś dziwnego.

— Zastanawiam się, dokąd mogła pójść, u licha — rzekł Race.

Wyszli z kajuty zamykając za sobą drzwi na klucz i udali się do innej, zajmowanej przez pannę Van Schuyler.

Tu także znajdowały się akcesoria świadczące o wielkiej zamożności, jak kosztowne przybory toaletowe i eleganckie bagaże oraz pewna ilość prywatnych listów, wszystko w idealnym porządku. Następną kajutę, dwuosobową, zajmował Poirot, a w dalszej zamieszkiwał pułkownik Race.

— Mało prawdopodobne, by schowano coś w jednej z nich — oświadczył Race.

Poirot był innego zdania.

— Wszystko jest możliwe — rzekł. — Raz w Orient Expressie prowadziłem śledztwo w sprawie morderstwa. Powstał mały kłopot z purpurowym kimonem. Zniknęło, ale musiało być gdzieś w pociągu. Znalazłem je, wie pan gdzie? W mojej własnej, zamkniętej na klucz walizce. Co za impertynencja, prawda?

— Cóż, zobaczymy, czy ktoś nie był tym razem impertynencki wobec pana lub mnie.

Ale złodziej pereł nie był impertynencki ani wobec Herkulesa Poirot, ani wobec pułkownika Race'a.

Obeszli rufę i przeprowadzili bardzo dokładną rewizję w kajucie panny Bowers, ale nie znaleźli niczego podejrzanego. Jej chustki do nosa były lniane, z monogramem. Następną kajutę zajmowały panie Otterbourne. Tu także Herkules Poirot przejrzał wszystko jak najdokładniej, ale bez żadnego rezultatu.

Zaraz potem znajdowała się kajuta Bessnera. Simon leżał, a obok niego stała taca z nietkniętym jedzeniem.

— Straciłem apetyt — powiedział jakby przeprasząc.



Wyglądało, że ma gorączkę i czuje się gorzej niż z rana. Poirot podzielał niepokój Bessnera, który pragnął, by chory jak najszybciej znalazł się w szpitalu wyposażonym w odpowiednią aparaturę.

Mały Belg wyjaśnił, jaki jest cel ich wizyty i Simon Doyle kiwał przyzwalająco głową.

Wiadomość, że perły zwrócone zostały przez pannę Bowers, ale okazały się tylko imitacją, przyjął z najwyższym zdumieniem.

— A może *madame* Doyle miała też sztuczne perły, które wzięła ze sobą za granicę zamiast prawdziwych?

— To niemożliwe. Jestem tego pewien. Linnet uwielbiała te perły i ciągle je nosiła. Były ubezpieczone na wszelkie ewentualności i dlatego, jak sędzę, była mniej ostrożna niż powinna.

— Wobec tego musimy kontynuować rewizję. Poirot zaczął otwierać szuflady. Race dopadł walizki.

Simon patrzył zdziwiony.

— Słuchajcie, panowie. Chyba nie podejrzewacie, że to poczciwy Bessner je zwędził?

Poirot wzruszył ramionami.

— Wszystko jest możliwe. Co my właściwie o nim wiemy? Tyle tylko, co sam o sobie powie.

— Ależ nie mógł on niczego ukryć, żebym ja tego nie widział.

— Nie mógł schować niczego dzisiaj, bo pan by to widział, ale my nie wiemy, kiedy zamieniono te perły. Mógł to zrobić parę dni temu.

— Nigdy by mi to nie przyszło do głowy — powiedział Doyle.

Ale rewizja nie przyniosła rezultatów.

Najbliższa kajuta należała do Penningtona. Dwaj panowie przeszukiwali ją dłuższy czas. Przeglądali szczególnie starannie teczkę z dokumentami prawnymi i handlowymi, na wielu z nich brakowało podpisu Linnet Doyle.

Poirot kręcił głową zaszepiony.

— Wyglądają na rzetelne i wiarygodne. Zgadza się pan ze mną?

— Całkowicie. W końcu ten człowiek nie jest kompletnym głupcem. Jeśli nawet był tu kompromitujący dokument, przekazanie pełnomocnictwa lub coś w tym rodzaju, można być pewnym, że go zniszczył w pierwszej kolejności.

— Całkiem możliwe.

Poirot wydobył solidnego colta z górnej szuflady w komodzie, obejrzał go i odłożył na miejsce.

— Jak widać, są jeszcze ludzie, co podróżują z bronią — zamruczał.

— Trochę to zastanawiające, prawda?

— W każdym razie nie zabito tym Linnet Doyle — rzekł Race, a potem dodał po chwili milczenia:

— Wie pan, zastanawiałem się nad pana hipotezą dotyczącą wyrzucenia za burtę pistoletu. A może właściwy morderca pozostawił pistolet w kajucie Linnet, a jakaś inna osoba wzięła go stamtąd i wrzuciła do rzeki?

— Tak, to jest możliwe. Już o tym myślałem. Ale wtedy powstaje cały ciąg nowych kwestii. Kim była ta druga osoba? Jaki miała powód, by osłaniać Jacqueline de Bellefort usuwając pistolet? Co ta druga osoba tam robiła? Wiadomo nam jedynie, że do tej kajuty weszła panna Van Schuyler. Czy jest pewne, że to właśnie ona usunęła pistolet? Z jakiej więc przyczyny pragnęła osłonić pannę de Bellefort? I jakie jeszcze ponadto mogły być powody do usunięcia broni?

— Mogła rozpoznać swój szal — zasugerował Race — przstraszyła się i powymyślała mnóstwo sztuczek na to konto.

— Jeśli chodzi o szal, to możliwe — odpowiedział Poirot — ale po co miałyby usuwać pistolet? Chociaż zgadzam się, że to całkiem prawdopodobne rozwiązanie. Ale niezdarne, *bon Dieu*\*, jakie niezdarne! Pan nadal nie docenia jednego faktu, jeśli chodzi o ten szal...

Kiedy wychodzili już z kajuty Penningtona, Poirot zaproponował Race'owi, by przeszukał kajutę Jacqueline, potem Kornelii i dwie pozostałe, które były wolne. Sam zaś poszedł porozmawiać trochę z Simonem Doylem. Przemaszerował w tym celu pokładem i wkroczył ponownie do kajuty Bessnera.

— Wie pan — rzekł Simon — myślałem nad tym i jestem całkowicie pewny, że wczoraj były to jeszcze tamte, prawdziwe perły.

— Z czego to pan wnosi?

— Linnet — drgnął wypowiadając imię żony — przesuwała je między palcami tuż przed obiadem i mówiła na ich temat. Znała się trochę na perłach. Na pewno rozpoznałaby, że to imitacja.

— Są jednak niesłychanie umiejętnie podrobione. Proszę mi powiedzieć, czy pani Doyle rozstawała się z nimi? Czy kiedykolwiek pożyczła je przyjaciółce na przykład?

Simon zaczerwienił się pod wpływem lekkiego zmieszania.

— Trudno mi powiedzieć... Bo, widzi pan, ja... znałem Linnet bardzo krótko...

— No właśnie, wasz romans trwał dość krótko.

— Wobec tego — mówił dalej Simon — naprawdę niewiele wiem o czymkolwiek... Linnet była

jednak strasznie hojna, jeśli chodzi o jej własne rzeczy. Sądzę, że mogła to zrobić.

— Czy na przykład — spytał Poirot spokojnym głosem — nie pożyczła ich kiedy panie de Bellefort?

— Co pan sobie myśli? — Simon poczerwieniał jak burak, próbował usiąść, ale drżąc cały opadł na łóżko. — Do czego pan zmierza? Że to Jackie ukradła perły? Ona tego nie zrobiła! Przysięgam, że nie. Jest kryształowo uczciwa! Sam pomysł, że mogła coś ukraść, jest absurdalny, całkowicie absurdalny!

Poirot spojrział na niego i aż lekko zamrugął oczami.

— O, la, la — rzekł raptem. — Wygląda na to, że swoją sugestią poruszyłem przysłowiowe gniazdo os.

Niezrażony żartobliwą uwagą Poirota Simon powtórzył z uporem:

— Jest kryształowo uczciwa.

Poirotowi przypomniał się głos dziewczyny nad Nilem w Asuanie mówiący: „Kocham Simona i on mnie kocha...”

Zastanawiał się, która z trzech wypowiedzi, jakie wtedy owego wieczoru słyszał, była prawdziwa. Wydało mu się, że to Jacqueline, co się potwierdziło potem, była najbliższa prawdy.

Otworzyły się drzwi i wszedł Race.

— Nic — stwierdził szorstko. — Tego się nie spodziewaliśmy. Ale oto widzę, że idzie steward, by zdać raport z rewizji osobistej pasażerów.

Steward i stewardesa pojawili się w drzwiach.

— Nic nie znaleziono — powiedział steward.

— Czy któryś z panów nie oponował?

— Tylko ten Włoch. Bardzo się dziwnie zachowywał. Mówił, że to jest dyshonor, coś w tym rodzaju. Miał przy sobie broń, oczywiście.

— Jaki rodzaj?

— Automatyczny mauzer, kaliber dwadzieścia pięć, proszę pana.

— Włosi mają gorący temperament — rzekł Simon. — Richetti wpadł w okropny gniew w Wadi Halfa tylko z powodu pomyłki z telegramem. Był diabelnie niegrzeczny wobec Linnet.

Race zwrócił się do stewardesy, dużej przystojnej kobiety.

— Niczego nie znalazłam przy paniach. Wszystkie robiły masę zamieszania z wyjątkiem pani Allerton, która była nad wyraz wprost uprzejma. Śladu pereł, proszę pana. Natomiast ta młoda dama, panna Rozalia Otterbourne, miała przy sobie pistolet w torebce.

— Jakiego rodzaju?

— Bardzo niewielki z perłową rękojeścią. Całkiem jak zabawka.

Race spojrział zdumiony.

— Diabli nadali całą tę sprawę — zamruczał. — Już sądziłem, żeśmy oczyścili tę osobę z podejrzeń, a tu masz... Czy każda dziewczyna na tym przeklętym statku nosi ze sobą maleńki pistolet z perłową rękojeścią? Jak na to zareagowała? — rzucił z nagłą Race pytanie stewardesie.

Pokręciła głową.

— Sądzę, że w ogóle tego nie zauważyła. Byłam odwrócona plecami, kiedy przeszukiwałam jej torebkę.

— A jednak musiała zdawać sobie sprawę, że pani ten pistolet odnajdzie. Ale coś mi się przypomniało. Co z tą pokojówką?

— Szukaliśmy jej po całym statku, proszę pana. Nie możemy jej nigdzie znaleźć.

— A cóż to znowu? — spytał Poirot.

— Pokojówka pani Doyle, Luiza Bourget, zniknęła.

— Zniknęła?

— Ona mogła skraść te perełki — rzekł Race w zamyśleniu. — Była jedyną osobą, która miała szerokie możliwości, żeby sporządzić kopię. — A kiedy się dowiedziała, że zarządzono rewizję, wyskoczyła za burtę — zasugerował Simon Doyle.

— Nonsens — odpowiedział Race poirytowanym głosem. — Nie sposób skoczyć za burtę w jasny dzień z takiego jak ten statku, żeby ktoś tego nie dostrzegł. Ona musi być na pokładzie — i zwracając się do stewardesy zapytał: — Kiedy ją widziano ostatnio?

— Pół godziny przed gongiem na lunch, proszę pana.

— Trzeba będzie przeszukać jej kajutę — stwierdził Race. — Może w ten sposób czegoś się dowiemy.

Skierował swe kroki na dolny pokład, a Poirot podążył za nim. Otworzyli kluczem drzwi kajuty i weszli do środka.

Luiza Bourget, do której obowiązków należało utrzymywanie cudzych rzeczy w porządku, zupełnie

nie dbała o swoje.

Na komodzie wprost piętrzyły się stosy rozmaitych przedmiotów, walizka była otwarta, suknie wystawały z niej na wszystkie strony i uniemożliwiały zamknięcie wieka, a bielizna wisiała niedbale na oparciach krzesel.

Poirot sprawdzał swymi sprawnymi i zgrabnymi palcami szuflady komody. Race przeszukiwał walizkę.

Pantofle Luizy stały rzędem przy łóżku. Jeden z nich z czarnego lakieru, leżał jakby przechylony pod niewiarygodnym kątem, bez żadnej podpórki. Widok ten był tak zaskakujący, że aż zwrócił uwagę Race'a. Zamknął więc walizkę i pochylił się nad pantoflami. Raptem wydał urwany okrzyk.

Poirot obrócił się spiesźnie.

— *Qu'est-ce qu'il y a\**?

— Ona nie zniknęła — odrzekł ponuro Race. — Leży tu... pod łóżkiem.

# Rozdział XXIII

W kajucie na podłodze leżało ciało kobiety, która za życia była Luizą Bourget. Nad nim pochyleni stali dwaj mężczyźni.

Race wyprostował się pierwszy.

— Jak sędzę, nie żyje już od godziny. Poprośmy Bessnera, by dokonał oględzin. Pchnięcie nożem w serce. Śmierć prawie natychmiastowa, tak mi się wydaje. Nie wygląda ładnie, co?

— Nie.

Poirot pokręcił głową i lekko się wzdrygnął.

Ciemna, kocia twarz była wykrzywiona, jak gdyby ze zdziwienia i wściekłości, a zęby wyszczerzone.

Poirot pochylił się nad nią raz jeszcze i delikatnie uniósł prawą rękę. Coś tkwiło między palcami. Wyjął i wręczył Race'owi skrawek cienkiego papieru jasnioletoworóżowego koloru.

— Wie pan, co to jest?

— Pieniądze — odrzekł Race.

— Jak mi się zdaje, rozek tysiącfrankowego banknotu.

— Więc już wiadomo, co się tu zdarzyło — odparł Race. — Ona o czymś wiedziała i szantażowała tym mordercę. Przypuszczaliśmy, że nie była całkiem szczerą dziś rano.

— Byliśmy idiotami, głupcami! Powinniśmy się byli wtedy domyślić. Jak się to ona wyraziła? „... Cóż ja takiego miałam widzieć i słyszeć? Oczywiście, gdybym wówczas nie mogła zasnąć i gdybym weszła po schodach na górę, to bym wtedy zobaczyła tego zabójcę, potwora, jak wchodzi albo wychodzi z kajuty mojej pani, ale ja przecież...” Oczywiście, że tak się stało! Ona weszła na górę! Widziała kogoś, jak się wślizguje do kajuty Linnet albo stamtąd wychodzi. I z powodu chciwości, swej głupiej chciwości, leży teraz...

— A my nie jesteśmy wcale bliżsi poznania prawdy — dokończył z niesmakiem Race.

Poirot pokręcił głową.

— Nie — rzekł. — Wiemy teraz o wiele więcej. Wiemy prawie wszystko. Z tym, że się to wydaje nieprawdopodobne. A jednak musiało tak być! Tylko że ja na to nie wpadłem. Jakim ja byłem głupcem dziś rano. Czuliśmy obaj, że ona coś przed nami ukrywa, a jednak nie przyszedł nam do głowy logiczny tego powód: szantaż.

— Widocznie natychmiast, z miejsca żądała pieniędzy za milczenie — powiedział Race. — I groziła wydaniem. Morderca był zmuszony spełnić żądanie i zapłacił jej we francuskich banknotach... Czyż nie tak?

Poirot pokręcił głową.

— Chyba nie — rzekł. — Wielu ludzi zabiera ze sobą w podróż jakieś dodatkowe pieniądze, czasem funty, niekiedy dolary, dość często również francuskie banknoty. Bardzo możliwe, iż morderca zapłacił jej wszystkim, co miał, w rozmaitych walutach. Kontynuujmy więc naszą rekonstrukcję.

— ...Morderca wchodzi do kajuty, wręcza dziewczynie pieniądze, a potem...

— A potem ona — rzekł Poirot — zaczyna je liczyć. Och, znam ja ten gatunek ludzi. Liczy więc pieniądze, a jest tym bez reszty pochłonięta. Wtedy morderca zadaje cios. Bardzo mu to dobrze poszło, zgarnia więc pieniądze z powrotem i ucieka, nie zauważył jednak, że się oderwał koniuszek jednego z banknotów.

— Po tym, być może, go odnajdziemy — zasugerował Race, ale bez przekonania.

— Wątpię — odrzekł Poirot. — Na pewno obejrzy dokładnie pieniądze i z pewnością zauważy uszkodzenie. Jeśli, oczywiście, wykazuje skłonność do skąpstwa, to nie potrafi się zmusić do zniszczenia tysiącfrankowego banknotu, ale się boję, i to poważnie, że ma zupełnie odmienną naturę.

— Z czego to pan wnosi?

— Zarówno ta zbrodnia, jak zamordowanie pani Doyle, wymagają pewnych cech charakteru: odwagi, zuchwałości, śmiałości w czynach, błyskawicznego działania, a wszystkie te cechy nie idą w parze z oszczędnym i rozważnym usposobieniem.

Race pokiwał smutno głową.

— Sprowadzę tu lepiej Bessnera.

Rzeczowe oględziny lekarskie nie zajęły zażywnemu doktorowi wiele czasu.

Pośród licznych „achów” i „ochów” zrobił co należało.

— Nie żyje od przeszło godziny — oświadczył. — Śmierć była bardzo szybka, natychmiastowa.

— Jakiego, zdaniem pana, użyto narzędzia?

— To jest właśnie ciekawe. Zapewne czegoś bardzo ostrego, bardzo cienkiego i delikatnego. Mógłbym panom coś takiego pokazać.

Kiedy ponownie znaleźli się w jego kajucie, otworzył walizeczkę z narzędziami i wyjął z niej długi, delikatny skalpel.

— Coś w tym rodzaju, mój przyjacielu. Żaden pospolity kuchenny nóż.

— Mniemam — zasugerował uprzejmie Race — że nie brakuje panu... żadnego z tych noży, doktorze?

Bessner wlepił w niego wzrok, a twarz aż mu poczerwieniała z oburzenia.

— Co pan powiedział?! Sądzi pan, że ja, Karol Bessner, znany w całej Austrii z moich klinik i wysoko urodzonych pacjentów, miałbym zabić jakąś tam nędzną *femme de chambre*?\* Ależ to śmieszne, absurdałne, co pan mówi! Żadnego z mych lancetów nie brakuje, ani jednego, zapewniam pana. Wszystkie są tutaj, w porządku i na swoim miejscu. Może to pan sam stwierdzić. i A takiej zniewagi dla mego zawodu nigdy nie zapomnę.

Zamknął walizeczkę z trzaskiem, odstawił na bok i ciężko stąpając wyszedł na pokład.

— Ho! ho! — odezwał się Simon. — Ale go panowie wytrącili z równowagi!

Poirot wzruszył ramionami.

— Istotnie, godne ubolewania... To było biedne posunięcie. Kochany Bessner to najlepszy człowiek pod słońcem, choć jest takim boszem.

Nagle pojawił się Bessner.

— Zechcą panowie teraz opuścić łaskawie moją kajutę. Muszę zmienić pacjentowi opatrunek na nodze.

Razem z nim weszła panna Bowers i tchnąc energią oraz zawodową gotowością stała czekając na wyjście Race'a i Poirota.

Obaj potulnie skierowali się ku wyjściu. Race coś wymruczał i poszedł w swoją stronę. Poirot skierował kroki na lewo.

Postyszał urywki dziewczęcej rozmowy i wybuchy śmiechu. W kajucie pani Otterbourne była Rozalia z Jacqueline. Dziewczęta stały nie opodal drzwi, które pozostawiły otwarte. Gdy padł na nie cień Poirota, uniosły głowy. Dostrzegł, że Rozalia po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego, nieśmiałym i serdecznym uśmiechem, trochę jeszcze niepewnym, jak u człowieka, który dopiero zaczął robić jakąś rzecz nową i niezwykłą.

— Plotkujecie, moje panny? — zawołał w ich stronę.

— Ależ skądże! — odpowiedziała Rozalia. — Prawdę mówiąc, to porównywałyśmy nasze szminki.

Poirot uśmiechnął się.

— Ach, te dzisiejsze fatałaszk! — powiedział. Uśmiech jego był jakby trochę zdawkowy i



bardziej spostrzegawcza od Rozalii Jacqueline prędzej to zauważyła. Odłożyła szminkę, którą właśnie trzymała, i wyszła na pokład.

— Czy... coś... Znowu coś się stało?

— Tak, zgadła pani. Stało się.

— A co? — z kajuty wyszła też i Rozalia.

— Następna śmierć.

Rozalia zaczerpnęła gwałtownie oddechu. Poirot obserwował ją badawczo. Dostrzegł, jak w jej oczach pojawiła się na moment panika, a potem coś więcej, bo konsternacja.

— Zabito pokojówkę pani Doyle — powiedział bez ogródek.

— Zabito? — wykrzyknęła Jacqueline. — Mówi pan, że ją zabito?

— Właśnie to mówię — odparł. Pozornie rzucił odpowiedź Jacqueline, ale bacznie przyglądał się Rozalii. Do niej to właśnie odnosiły się dalsze jego słowa.

— Pokojówka zobaczyła coś, czego widzieć nie powinna. Toteż sprzątnięto ją na wszelki wypadek, żeby czegoś nie wypaplała.

— Co ona takiego widziała?

Znowu pytanie zadała Jacqueline i znów Poirot skierował swą odpowiedź do Rozalii. Było coś dziwnie teatralnego w tej scenie, napisanej jakby dla trojga aktorów.

— Wiemy już, niemal na pewno, co mogła zobaczyć — odrzekł. — Otóż widziała owej tragicznej nocy kogoś, kto wszedł i wyszedł z kajuty pani Doyle.

Szybko nastawił uszu. Posłyszał zaczerpnięcie oddechu, dojrzał trzepotanie powiek. Rozalia Otterbourne zareagowała tak, jak powinna była, zgodnie z jego życzeniem.

— Czy powiedziała, kogo zobaczyła? — spytała Rozalia.

Łagodnie i z wyrazem ubolewania Poirot pokręcił głową. Rozległy się czyjeś kroki na pokładzie. Była to Kornelia Robson. Miała szeroko otwarte, przerażone oczy.

— Ach, Jacqueline! — zawołała. Stało się coś strasznego. Jeszcze jedna okropna rzecz!

Jacqueline odwrócił się w stronę Kornelii i obie ruszyły przed siebie. Poirot i Rozalia niemal bezwiednie poszli w przeciwną stronę.

— Czego pan tak mi się przygląda? — spytała ostro Rozalia. — Co pan ma na myśli?

— Zadała mi pani dwa pytania. Ja w zamian zadam pani jedno. Czemu pani nie powie mi całej prawdy, *mademoiselle*?

— Nie wiem, o co panu chodzi? Przecież powiedziałam wszystko... dziś rano.

— Na pewno nie wszystko. Nie powiedziała mi pani, że nosi w torebce pistolet małego kalibru, który ma rękojeść z perłowej masy. Nie powiedziała mi pani wszystkiego, co widziała owej nocy.

Rozalia zaczerwieniła się.

— To nieprawda — odrzekła szorstko. — Nie mam żadnego rewolweru.

— Nie mówiłem, że to rewolwer. Powiedziałem, że nosi pani w torebce mały pistolet.

Obróciła się szybko na pięcie, wpadła do kajuty i wnet powróciła wpychając w rękę Poirota swoją szarą, skórzaną torebkę.

Poirot otworzył ją. Pistoletu w środku nie było. Zwrócił jej torebkę i dostrzegł wzgardliwe i pełne triumfu spojrzenie Rozalii.

— Nie — odrzekł. — Tu go nie ma.

— No właśnie. Nie zawsze pan ma rację. I także myli się pan co do innej, wprost śmiesznej rzeczy, o której pan mówił.

— Nie odnoszę takiego wrażenia.

— Zwariować można z panem! — tupnęła w złości nogą. — Jak już sobie pan czymś nabije głowę, to ciągle do tego wraca, i tak bez końca.

— Chcę, żeby mi pani powiedziała prawdę.

— Jaką prawdę? Wygląda na to, że pan lepiej to wie ode mnie.

— Chce pani, bym powiedział, co to takiego pani widziała? Niech mi pani tylko powie, czy mam rację, czy nie. Przedstawię pani moją koncepcję. Sądzę, że kiedy pani obeszła rufę statku, mimo woli zatrzymała się pani, gdyż dostrzegła jakiegoś mężczyznę wychodzącego z kajuty mniej więcej pośrodku pokładu, która właśnie należy do Linnet Doyle, jak to pani sobie rano uświadomiła. Widziała pani, jak wychodzi, zamyka za sobą drzwi, odchodzi w drugą stronę i znika w jednej z ostatnich dwóch kajut. No i co? Nie mam racji, *mademoiselle*?

Nie odpowiedziała.

— Pewnie uznała pani, że mądrzej będzie o tym nie mówić. Być może obawia się pani, że wyjawienie tego mogłaby pani także przyplącić życiem.

Przez chwilę sądził, że już chwyci przynętę, że posądzenie jej o brak odwagi okaże się

skuteczniejsze niż wszystkie inne, subtelne argumenty,

Rozalia otworzyła usta, poruszyła wargami i odpowiedziała:

— Nie widziałam nikogo.

# Rozdział XXIV

Panna Bowers wyszła z kajuty doktora Bessnera doprowadzając do ładu mankiety rękawów. Jacqueline porzuciła nagle towarzystwo Kornelii i dopadła pielęgniarki.

— Jak on się miewa? — spytała żarliwie.

Poirot zdążył jeszcze podejść, by usłyszeć odpowiedź. Wyglądało na to, że panna Bowers jest dość zaniepokojona.

— Ale jeszcze tak źle nie jest — odpowiedziała.

— Czy to znaczy, że się pogorszyło? — zawołała Jacqueline.

— Muszę przyznać, że odetchnę z ulgą, kiedy będzie już można porządnie to prześwietlić i oczyścić pod narkozą. Jak pan sądzi, kiedy dotrzemy do Shellâl?

— Jutro rano.

Panna Bowers ściągnęła wargi i pokręciła głową.

— To wprost fatalnie. Robimy, co się da, ale zawsze istnieje— niebezpieczeństwo zakażenia krwi.

Jacqueline chwyciła gwałtownie pannę Bowers za ramię.

— Czy on umrze? Czy umrze?

— Skądże znowu! To znaczy, ufam, że chyba nie. Sama rana nie jest groźna, ale niewątpliwie konieczne jest prześwietlenie i to jak najszybciej. A poza tym należy biednemu panu Doyle'owi zapewnić dzisiaj całkowity spokój. Miał aż nadto przeżyć i trosk. Nic dziwnego, że się podniosła u niego temperatura. Biorąc pod uwagę szok spowodowany śmiercią żony i te ciągle...

Jacqueline wypuściła z uścisku ramię panny Bowers i odwróciła się. Stała tak plecami do nich, opierając się bokiem o ścianę.

— Dlatego mówię, że nigdy nie należy tracić nadziei. Pan Doyle, oczywiście, ma bardzo mocny organizm, to nawet widać. Chyba ani razu w życiu nie chorował. A to ma swoje znaczenie. Nie ma jednak co tać, ten skok temperatury... Jest niedobrym objawem i...

Pokręciła głową, poprawiła raz jeszcze mankiety i odeszła energicznym krokiem.

Jacqueline odwróciła się i mając oczy zalane łzami szła po omacku w stronę swej kajuty. Czyjaś ręka podtrzymywała ją za łokieć i wiodła we właściwym kierunku.

Podniosła wzrok i poprzez łyzy dostrzegła u swego boku Herkulesa Poirot. Wsparła się lekko na nim, a on przeprowadził ją przez drzwi kajuty. Osunęła się na łóżko, popłynęły rzęsiste łyzy. Co chwila wstrząsał nią głęboki szloch.

— On umrze. Czuję, że umrze. To z mojej winy. Tak go kocham! Tak go kocham!

Poirot westchnął i powiedział: — Aż za bardzo...

To właśnie pomyślał dawno temu w restauracji pana Blondina. Tego samego zdania był również dzisiaj.

— Niech pani nie bierze dosłownie tego, co mówi panna Bowers. Według mnie szpitalne pielęgniarki widzą wszystko w czarnych kolorach. Nocna pielęgniarka zawsze się dziwi, kiedy zastanie wieczorem pacjenta przy życiu, a dzienna pielęgniarka, kiedy widzi pacjenta żywym o poranku... Rozumie pani, one wiedzą zbyt wiele o wszelkich możliwych powikłaniach, które mogą się zdarzyć. Kiedy się jedzie samochodem, to nic trudnego powiedzieć sobie: jeśli na tym skrzyżowaniu wyskoczy jakiś samochód albo jeśli ta ciężarówka nagle zahamuje, albo jeśli temu samochodowi nadjeżdżającemu z przeciwka odleci koło, czy też pies jakiś wyskoczy mi na ramię, gdy będę siedziała przy kierownicy... *eh bien*\* ... to na pewno zginę. Ale człowiek zakłada, że nic się takiego nie stanie i że do celu dojedzie. Lecz jeśli komuś zdarzyło się już kiedyś przeżyć jeden lub parę takich wypadków, to wtedy skłonny jest akceptować ten drugi punkt widzenia.

— Pan usiłuje mnie pocieszyć? — spytała Jacqueline uśmiechając się lekko przez łyzy.

— *Bon Dieu*\* tylko wie, co ja usiłuję robić. Pani nie powinna była wyjeżdżać w tę podróż.

— Żałuję, że to zrobiłam. Było... strasznie. Ale niebawem będzie już po wszystkim...

— *Mais oni, mais oni*\*.

— Simon znajdzie się w szpitalu, tam mu zastosują odpowiednie leczenie i będzie dobrze...

— Mówi pani jak dziecko. „A potem żyli długo i szczęśliwie...” Czyż nie tak?

Zaczerwieniła się nagle po same uszy.

— Panie Poirot! Nigdy... Ani mi przez myśl nie przeszło...

— Za wcześnie jest, by o tym myśleć. Tak to się zwykle obłudnie mówi, co? Ale płynie w pani także południowa krew, panno de Bellefort. Powinna pani umieć spojrzeć w oczy faktom, jeśli nawet nie przedstawiają się zbyt różowo. *Le roi est mort — vive le roi!*\* Słońce już zgasło, a wschodzi księżyc. Tak już jest, prawda?

— Pan to sobie opacznie tłumaczy. Jemu jest po prostu mnie żal. Okropnie mi współczuje, bo wie, jakie to dla mnie bolesne, że go tak poważnie zraniłam.

— No cóż — odparł Poirot. — Szlachetna litość to takie wzniósłe uczucie.

Spojrzał na nią na poły drwiąco, a na poły z innym jeszcze uczuciem. Miłym głosem wymruczał:

Życie jest puste.

Trochę miłości.

Troszeczkę złości,

Witaj, mój miły!

Życie jest krótkie!

Trochę nadziei.

Trochę marzenia

I do widzenia!

Wyszedł znów na pokład. Właśnie przechodził pułkownik Race.

— Poirot, jak to dobrze! — zawołał z miejsca. — Jest mi pan potrzebny. Mam pewien pomysł. — Ujął detektywa pod ramię i poprowadził przed siebie.

— Chodzi o tę przypadkową wzmiankę Doyle'a. W pierwszej chwili nie zwróciłem na nią uwagi. O jakimś telegramie.

— *Tiens. C'est vrai*.\*

— To pewnie błahostka, ale nie można pozostawić ani jednej poszlaki bez zbadania. Niech to diabli, przyjacielu, już dwa morderstwa, a my ciągle błądzimy po omacku.

— Nie błądzimy po omacku — rzekł Poirot kręcąc głową — idziemy jasną drogą.

Race spojrzał na niego z zaciekawiony.

— Ma pan już koncepcję? — spytał.

— To prawda. — Coś więcej niż koncepcję. Mam już pewność.

— Od... kiedy?

— Od śmierci pokojówki, Luizy Bourget.

— Do licha, nigdy bym nie pomyślał?

— Wszystko jest jasne, mój przyjacielu, jasne jak słońce! Istnieją jeszcze pewne trudności, zagmatwania, przeszkody. Rozumie pan, wokół takiej osoby jak Linnet krzyżuje się zawsze wiele niechęci, zazdrości, podłostek i zawiści. Niczym brzęcząca chmara much.

— Jest pan tego pewien? — W spojrzeniu Race'a była ciekawość. — Nie mówiłby pan chyba, nie będąc pewnym. Osobiście nie mogę stwierdzić, bym sam coś jasno widział. Mam, naturalnie, podejrzenie....

Przerwał mu Poirot. Położył wymownym gestem dłoń na ramieniu pułkownika.

— Wspaniały z pana człowiek, mój pułkowniku. Nie nalega pan na mnie, bym mówił. Przecież gdybym mógł, to bym panu powiedział. Ale trzeba będzie najpierw wiele jeszcze rzeczy uporządkować. Więc niech pan uważnie słucha, kiedy będę podawać panu różne szczegóły. Niech pan słucha i przez moment się zastanowi, gdy ja będę czegoś dowodził. Mamy tu parę szczegółów... Stwierdzam krótko: Istnieje oświadczenie panny de Bellefort, że ktoś podsłuchał rozmowę między nią a mną pewnego wieczoru w jednym z asuańskich ogrodów. Mamy oświadczenie Tima Allertona o tym, co słyszał i robił tej nocy, kiedy popełniono morderstwo. Niech pan się zastanowi przez chwilę, gdy będę panu przedstawiał pewne istotne fakty. Są znaczące odpowiedzi Luizy Bourget na nasze pytania tamtego ranka. Faktem jest, że pani Allerton pije wodę, syn whisky z wodą sodową, a ja wino. Dodajmy do tego dwie buteleczki lakieru do paznokci i przysłowie, które zacytowałem. Wreszcie dochodzimy do sedna całej sprawy: do faktu, że pistolet owinięto w tanią chustkę do nosa oraz aksamitny szal i wyrzucono za burtę.

Race milczał przez parę minut, a potem pokręcił głową.

— Nie — odrzekł. — Niczego nie dostrzegam. Mam, co prawda, jakieś mgliste wyobrażenie, do czego pan zmierza, ale w moim przekonaniu to nie trzyma się kupy.

— Ależ trzyma! Widzi pan tylko połowę prawdy. Proszę pamiętać, że musimy znów zacząć od początku, gdyż nasza pierwotna koncepcja była całkowicie błędna.

Race lekko się skrzywił.

— Jestem do tego przyzwyczajony — rzekł. — Często odnoszę wrażenie, że praca detektywa to wyłącznie cofanie się ze źle obranego kierunku i zaczynanie na nowo.

— To prawda. Jednakże wielu ludzi nie chce tego robić. Wymyślają teorię i wszystko musi do niej pasować. Jeśli jakiś drobny fakt nie da się do tej teorii nagiąć, to się go pomija. Ale właśnie te fakty, które nic pasują do całości, bywają zazwyczaj najważniejsze. Przez cały czas zdawałem sobie sprawę z ważności faktu, że pistolet usunięto z miejsca zbrodni. Wiedziałem, że to ma jakieś znaczenie, ale uświadomiłem sobie dopiero zaledwie pół godziny temu, dlaczego to zrobiono.

— A ja nadal niczego nie pojmuję — odparł Race.

— Ale pojmie pan. Proszę się tylko zastanowić nad kwestiami, które panu podałem. Teraz wyjaśnijmy sprawę z telegramem. Oczywiście, jeśli Herr Doktor zechce nas wpuścić.

Doktor Bessner był nadal w złym nastroju. W odpowiedzi na pukanie objawił rozgniewane oblicze.

— Cóż to znowu? Jeszcze raz chcecie widzieć mego pacjenta? Muszę wam powiedzieć, że to jest niemądre. On ma temperaturę. Miał już aż nadto wrażeń na dzisiaj. — Tylko jedno pytanie — rzeki Race. — Nic więcej. Zapewniam pana.

Z niechętnym mruknięciem doktor usunął się z drogi i obaj panowie weszli do środka. Doktor Bessner mruczając gniewnie oświadczył:

— Wracam za trzy minuty. A wtedy stanowczo panowie stąd wyjdą.

Posłyszeli z pokładu ciężkie stapanie Bessnera. Simon Doyle spojrzął pytająco to na jednego, to na drugiego z nich.

— Słucham — rzekł. — O co chodzi?

— O drobiazg — odpowiedział Race. — Otóż stewardzi nadmienili mi w swoich relacjach, że signor Richetti sprawiał im szczególnie dużo kłopotu. Powiedział pan, że to nic nowego, gdyż jak nam wiadomo, ma on gwałtowne usposobienie, a w dodatku zachował się raz niegrzecznie wobec pana żony z powodu jakiegoś telegramu. Czy może nam pan teraz opowiedzieć to zdarzenie?

— Oczywiście. To było w Wadi Halfa. Właśnie wróciliśmy z Drugiej Katarakty. Linnet się zdawało, że telegram przytwierdzony do tablicy jest do niej. Zapomniała, proszę panów, że już nie nazywa się Ridgeway, a nazwiska Richetti i Ridgeway są bardzo do siebie podobne, zwłaszcza jeśli wypisano je okropnym charakterem pisma. Toteż otworzyła telegram i nie mogła ani w żąb zrozumieć, o co chodzi, i właśnie stała zdziwiona, kiedy nadszedł Richetti. Wydarł niemal telegram z jej ręki i aż się pienił ze złości. Poszła za nim, by go przeprosić, a on zachował się wobec niej okropnie niegrzecznie.

Race zrobił głęboki wdech.

— Czy pan może wie, co było w tym telegramie?

— Tak. Linnet przeczytała mi kawałek. Było tam napisane, że... — zamilkł. Coś się działo na zewnątrz kajuty. Słychać było coraz wyraźniej czyjś piskliwy głos.

— Gdzie jest pan Poirot i pułkownik Race? Muszę się z nimi natychmiast widzieć. To bardzo ważne! Mam niezwykle istotną wiadomość. Czy są u pana Doyle?

Bessner nie zamknął za sobą drzwi. Wisiała w nich jedynie kotara. Pani Otterbourne odsunęła ją na bok i wtargnęła do środka jak burza. Twarz jej była w pąsach, krok nieco chwiejny i nie bardzo panowała nad swoją mową.



— Panie Doyle — oświadczyła dramatycznie — wiem, kto zabił pana żonę!

— Co?

Simon wytrzeszczył na nią oczy. To samo zrobili pozostali dwaj mężczyźni.

Pani Otterbourne obrzuciła ich wszystkich triumfującym spojrzeniem. Była szczęśliwa, niebywale szczęśliwa.

— Tak — rzekła. — Moje teorie w pełni się potwierdziły. Te głębokie, prymitywne i pierwotne impulsy, choć się wydają nieprawdopodobieństwem i wymysłem, są prawdą.

— Czy mam rozumieć — odezwał się szorstko Race

— że jest pani w posiadaniu dowodu wskazującego zabójcę pani Doyle?

Panna Otterbourne usadowiła się na krześle, pochyliła się do przodu i energicznie potrząsnęła głową.

— Oczywiście, że tak. Możecie się zgodzić lub nie, lecz ten, kto zabił Luizę Bourget, zgładził także Linnet Doyle i ta sama ręka popełniła dwa morderstwa.

— Dobrze, dobrze — odezwał się niecierpliwie Simon. — Naturalnie. Trudno temu zaprzeczyć. Niech pani mówi dalej.

— Zatem podtrzymujecie moje twierdzenie? Wiem, kto zabił Luizę Bourget, i dlatego wiem, kto zabił Linnet Doyle.

— Chce pani powiedzieć, że ma pani teorię co do tego, kto zabił Luizę Bourget? — wtrącił sceptycznie Race.

Pani Otterbourne natarła na niego z całą furią.

— Ja po prostu dokładnie wiem. Widziałam tę osobę na własne oczy.

Simon, drżąc cały, wykrzyknął:

— Na miłość boską, niech pani zacznie od początku! Więc mówi pani, że wie, kto zabił Luizę Bourget?

Pani Otterbourne potaknęła głową.

— Nawet powiem panu dokładnie, jak się to zdarzyło. Nie ulega wątpliwości, że była bardzo szczęśliwa. To była jej chwila, jej triumf. Nic to, że przestano kupować jej powieści, że głupi czytelnicy, którzy je kiedyś nabywali i pochłaniali chciwie, wolą teraz innych autorów. Salome Otterbourne stanie się na powrót sławna. Jej nazwisko będzie we wszystkich gazetach. Zostanie koronnym świadkiem oskarżenia podczas rozprawy sądowej. Zrobiła głęboki wdech i zaczęła

mówić:

— To było wtedy, kiedy schodziłam na lunch. Zupełnie mi się jeść nie chciało po tych okropnościach niedawnej tragedii... Nie ma potrzeby zresztą o tym mówić. W połowie drogi przypomniało mi się, że... czegoś tam zapomniałam... w kajucie, więc kazałam Rozalii, żeby poszła dalej... beze mnie. I tak uczyniła...

Pani Otterbourne zamilkła na chwilę. Kotara w drzwiach poruszyła się lekko, jak gdyby pchnięta podmuchem wiatru, lecz nikt z nich tego nie zauważył.

— Ja zaś... — znów zamilkła, gdyż nieco śliska to była sprawa, musiała jednak brnąć dalej — miałam umówione spotkanie z kimś... z załogi statku. Ten ktoś miał mi dostarczyć... coś... co mi było potrzebne, a nie chciałam, żeby córka o tym wiedziała. Ona potrafi być na swój sposób bardzo wrażliwa...

Nie wypadło to za dobrze, ale potrafi już wymyślić coś, co zabrzmiałoby lepiej, kiedy przyjdzie jej zeznawać w sądzie.

Race uniósł brwi i z pytaniem w oczach popatrzył na Poirota. Ten zaś leciutko potaknął głową i ruchem ust wymówił słowo „pije”. Kotara w drzwiach znów się poruszyła. Pomiędzy tkaniną a framugą drzwi pokazało się coś o stalowoniebieskim połysku...

— Było umówione — ciągnęła dalej pani Otterbourne — że przyjdę na rufę statku, o jeden pokład niżej, i tam spotkam kogoś, kto będzie na mnie czekał. Kiedy szłam pokładem, drzwi jednej z kajut się otworzyły i ktoś stamtąd wyjrzał. To była ta dziewczyna, Luiza Bourget, czy jak jej tam. Wyraźnie na kogoś czekała. Kiedy zobaczyła, że to ja, była wyraźnie rozczarowana i szybko weszła z powrotem do kajuty. Wcale się tym, oczywiście, nie przejęłam. Poszłam tam, gdzie, jak mówiłam, miałam się stawić, i odebrać tę rzecz od kogoś. Zapłaciłam mu i... zamieniłam parę stów. Wracałam tą samą drogą. Wychodzę właśnie zza narożnika i widzę, jak ktoś puka do kajuty pokojówki i wchodzi do środka.

Na to Race rzekł: — A tą osobą jest...

Trach!

Huk wystrzału targnął powietrzem. Kajutę wypełnił gryząco-kwaśny zapach dymu. Pani Otterbourne obróciła się lekko, to w jedną, to w drugą stronę, jakby zeznawała przed sądem, a potem runęła całym ciałem do przodu i upadła z hukiem na podłogę. Z niewielkiego otworu tuż za jej uchem sączyła się krew.

Na moment zapadła paraliżująca cisza, po czym dwaj mężczyźni poderwali się na równe nogi. Ciało kobiety trochę im utrudniło ruchy. Race schylił się nad nim, gdy tymczasem Poirot kocim susem dopadł drzwi i wyskoczył na pokład. Wkoło było pusto. Na podłodze, tuż obok progu, leżał wielki colt. Poirot rozejrzał się to w jedną, to w drugą stronę. Na pokładzie nie było nikogo. Następnie pobiegł pędem w stronę rufy. Okrążając narożnik zderzył się z Timem Allertonem, który właśnie nadchodził szybkim krokiem z naprzeciwka.

— Cóż to było, u licha? — zawołał resztką tchu.

— Spotkał pan kogoś po drodze? — spytał ostro Poirot.

— Spotkał? Nie.

— Proszę wobec tego ze mną! — Ujął młodzieńca pod rękę i poszli razem. Zaczęli się już gromadzić ludzie. Rozalia, Jacqueline i Kornelia wybiegły ze swych kajut. Sporo osób szło pokładem od strony jadalni, a między innymi Ferguson, Jim Fanthorp i pani Allerton.

Przy rewolwerze stał Race. Poirot odwrócił głowę i powiedział szorstko do Tima.

— Ma pan przy sobie jakieś rękawiczki? Tim wsadził ręce do kieszeni.

— Mam — odpowiedział.

Poirot wziął je od niego, nałożył na ręce i pochylił się, by zbadać rewolwer. Race zrobił to samo. Reszta ludzi przyglądała się temu wstrzymując oddech.

— Nie poszedł w tamtą stronę — rzekł Race. — Fanthorp i Ferguson siedzieli w saloniku tu na pokładzie, toby go widzieli.

— Gdyby zaś poszedł w drugą stronę, toby napotkał pana Allertona.

— Czy to nie dziwne? — rzekł Race wskazując na rewolwer. — Już go widzieliśmy, nawet nie tak dawno. Należy się jednak upewnić.

Zapukał do kajuty Penningtona. Nie było odpowiedzi. Kajuta była pusta. Race podszedł do komody i wysunął jedną z szuflad po prawej stronie. Rewolwer zniknął.

— Dobra nasza — rzekł Race. — A teraz gdzie jest pan Pennington?

Wyszli ponownie na pokład. W grupie stała już pani Allerton, Poirot podszedł ku niej spieszenie.

— *Madame*, proszę wziąć do siebie Rozalię Otterbourne i zaopiekować się nią. Jej matka została... — wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Racem, który kiwnął przyzwalająco głową — ... zabita.

Właśnie nadszedł z hałasem doktor Bessner.

— *Gott im Himmel!*\* Co się tu znów stało?

Cofnęli się dając mu przejść. Race wskazał ręką na kajutę. Bessner wszedł do środka.

— Odnajdźcie Penningtona! — rzekł. — Czy są ślady odcisków na rewolwerze?

— Żadnych — odrzekł Poirot.

Znaleźli Penningtona na dolnym pokładzie. Siedział w niewielkim saloniku i pisał listy. Uniósł piękną, gładko wygoloną twarz.

— Coś nowego? — zapytał.

— Nie słyszał pan wystrzału?

— Teraz, gdy mi panowie o tym napomknęli, zdaje się, że słyszałem jakiś huk. Ale mi nawet przez myśl nie przyszło... Czy kogoś zastrzelono?

— Panią Otterbourne.

— Panią Otterbourne? — w głosie Penningtona brzmiało najwyższe zdumienie. — To mnie zaskoczyło. Panią Otterbourne? — Pokręcił głową. — To dla mnie niepojęte! — zniżył głos. — Panowie, zdaje się, że mamy na statku zbrodniczego maniaka. Powinniśmy zorganizować jakiś system samoobrony.

— Panie Pennington — rzekł Race — od jak dawna przebywa pan w tym pokoju?

— *Zaraz*, niech się zastanowię. — Pennington potarł lekko podbródek. — Zdaje się, że około dwudziestu minut, albo i więcej.

— Nie wychodził pan stąd?

— Oczywiście, że nie — spojrzał badawczo na obu panów.

— Otóż, panie Pennington — oświadczył Race. — Salome Otterbourne zastrzelono z pańskiego rewolweru.

# Rozdział XXV

Penningtona aż zatkało. Nie mógł po prostu uwierzyć.

— Ależ panowie — rzekł. — To bardzo poważna sprawa. Naprawdę bardzo poważna.

— Niebywale poważna dla pana — oświadczył Race.

— Dla mnie?

Brwi Penningtona uniosły się w nagłym zdumieniu.

— Drodzy panowie, przecież ja tu sobie siedziałem spokojnie, zajęty pisaniem, kiedy rozległ się wystrzał.

— Ma pan może świadka, który to potwierdzi? Pennington pokręcił głową.

— Cóż? Chyba... nie mam. Niepodobieństwem jest przecież, bym wszedł na górny pokład, zastrzelił tę nieszczęsną kobietę, po cóż zresztą miałbym ją zabijać, oraz wrócił na dół i żeby nikt tego nie zauważył. O tej porze na pokładzie jest mnóstwo ludzi.

— A czym pan wytłumaczy fakt, że posłużono się pańskim rewolwerem?

— No cóż. Niestety, wina jest po mojej stronie. W niedługi czas potem, gdyśmy wsiedli na statek, pewnego wieczoru w salonie miała miejsce rozmowa. Dotyczyła, pamiętam, broni palnej, a ja nadmieniłem, że zawsze wożę ze sobą rewolwer, kiedy jestem w podróży!

— Kto tam był wówczas?

— Nie pamiętam dokładnie... Większość pasażerów, jak sędzę. W każdym razie spore grono ludzi.

Pokręcił wolno głową.

— Tak, wina jest z pewnością po mojej stronie — rzekł. — Najprzód Linnet, potem jej pokojówka, a teraz pani Otterbourne. Trudno tu nawet znaleźć jakąś przyczynę.

— Przyczyna była — odparł Race.

— Była?

— Tak. Pani Otterbourne miała nam właśnie podać, kto to mianowicie zabił pokojówkę. Zanim zdołała wymienić nazwisko, padła ugodzona kulą.

Andrew Pennington przetarł wytworną, jedwabną chustką czoło nad brwiami.

— Jakie to wszystko straszne! — szepnął.

— *Monsieur* Pennington — odezwał się Poirot. — Chciałbym z panem omówić pewne aspekty tej sprawy. Zechce pan łaskawie przyjść do mojej kajuty za pół godziny?

— Z najwyższą przyjemnością.

Nie było słyhać zachwytu w głosie Penningtona. On sam też nie sprawiał wrażenia, że jest zachwycony.

Race i Poirot wymienili ze sobą spojrzenia i wyszli z pokoju.

— Chytra z niego bestia — rzekł Race. — Ale się boi, co?

Poirot potaknął głową.

— Tak, nie czuje się szczęśliwy ten nasz Pennington. Znów się znaleźli na spacerowym pokładzie. Pani

Allerton wyszła z kajuty i widząc Poirota przywołała go stanowczym skinieniem dłoni.

— Słucham, *madame*?

— Chodzi o to biedne dziecko. Niech mi pan powie, czy jest tu może jakaś podwójna kajuta, w której mogłybyśmy razem zamieszkać? Nie powinna wracać do tej, w której mieszkała z matką, a moja jest pojedyncza.

— To się da załatwić, *madame*. Bardzo to pięknie z pani strony.

— Zwyczajny ludzki gest. Poza tym lubię ją. Zawsze mi się podobała.

— Jest bardzo przygnębiona?

— Ogromnie! Zdaje się, że była niezmiernie przywiązana do tej wstrętnej kobiety. Jest w tym jednak coś bardzo wzruszającego. Tom uważa, że ona piła. Czy to prawda?

Poirot potaknął głową.

— No cóż. Biedna kobieta i chyba nie powinno się jej osądzać. Ale ta dziewczyna musiała mieć ciężkie życie.

— Istotnie, *madame*. Jest bardzo dumna z natury i ogromnie lojalna.

— Bardzo sobie cenię lojalność. Dzisiaj to już niemodne. Dziwny charakter ma ta dziewczyna. Jest dumna, zamknięta w sobie, uparta, ale w głębi, jak mi się zdaje, nadzwyczaj dobra i serdeczna.

— Widzę, że ją oddałem w dobre ręce, *madame*.

— Proszę się nie martwić. Będę się nią opiekować. Zaczyna się już do mnie przywiązywać w jakiś wzruszający sposób.

Pani Allerton poszła do swej kajuty. Poirot powrócił do miejsca tragedii.

Kornelia ciągle jeszcze przebywała na pokładzie, z szeroko otwartymi oczyma.

— Nie mogę pojąć — rzekła. — Jak ten, kto strzelał, zdołał uciec i nikt z nas go nie widział?

— No właśnie. Jak? — powtórzyła jak echo Jacqueline.

— Cóż, nie była to żadna magiczna sztuczka, *mademoiselle* — odpowiedział Poirot. — Są trzy różne drogi, którymi morderca mógł się oddalić.

Jacqueline była wyraźnie zaskoczona.

— Aż trzy? — spytała.

— Mógł pójść na prawo lub na lewo, żadnej innej drogi nie widzę — dziwiła się Kornelia.

Jacqueline zmarszczyła w zamyśleniu brwi. Nagle czoło się jej wygładziło. — Już wiem — powiedziała. — Mógł pójść w dwóch kierunkach po jednej płaszczyźnie, ale mógł też pójść pod kątem prostym do tej płaszczyzny. Oczywiście w górę pójść nie mógł, ale w dół tak!

— Bystra jest pani, *mademoiselle* — rzekł uśmiechając się Poirot.

— Wiem, że ze mnie barania głowa — rzekła Kornelia — ale nadal tego nie rozumiem.

— *Monsieur* Poirot — wyjaśniła Jacqueline — mniema, że ten ktoś mógł przesadzić balustradę i zeskoczyć na dolny pokład, kochanie.

— To dopiero! — rzekła łapiąc oddech Kornelia. — Nigdy by mi to na myśl nie przyszło. Ale musiał być przy tym diabelnie szybki. Sądzę, że tak właśnie zrobił.

— Mógł to zrobić z łatwością — odezwał się Tim Allerton. — Należy pamiętać, że co najmniej minutę trwa szok po czymś takim. Słyszysz się wystrzał, ale się jest niezdolnym do żadnego ruchu przez parę sekund.

— Pan to mówi z doświadczenia, *monsieur* Allerton?

— Oczywiście, że tak. Stałem jak wryty przez dobre pięć sekund. Dopiero potem obiegłem pokład.

Race wyszedł z kajuty Bessnera.

— Proszę łaskawie zrobić przejście — rzekł stanowczym głosem. — Chcemy wynieść ciało.

Wszyscy odsunęli się posłusznie, włącznie z Poirotem.

— Nigdy nie zapomnę tej wycieczki, póki żyć będę — powiedziała Kornelia do Poirota ze smutną powagą.

— Trzy zgony. Człowiek żyje niczym w koszmarnym śnie.

Ferguson posłyszał jej słowa.

— To dlatego, że jest pani przecywilizowana. Trzeba spojrzeć na śmierć tak, jak ją widzą ludzie Wschodu. Jako epizod, zaledwie, niewiele znaczący.

— Mogę tak sobie myśleć — odrzekła Kornelia — niewykształcone, biedne stworzenia.

— To nie jest znów takie złe. Wykształcenie pozbawiło białą rasę witalności. Spójrzmy na Amerykę! Grozi jej przesyt kulturą. Co za ohyda!

— Uważam, że plecie pan głupstwa — odrzekła Kornelia rumieniąc się na twarzy. — Zimą chadzam na wykłady o greckiej sztuce i odrodzeniu, nawet wysłuchałam cyklu wykładów na temat sławnych kobiet w historii.

— Grecka sztuka! — jęczał w udręce Ferguson.

— Odrodzenie! Sławne kobiety w historii. Aż mi się mdło robi, kiedy tego słucham. Liczy się przyszłość, niewiasto, a nie to, co było! Trzy kobiety na statku nie żyją. I co z tego? Żadna to strata. Linnet Doyle ze swymi pieniędzmi. Pokojówka francuska, ten domowy pasożyt. Pani Otterbourne: beużyteczna głupia baba! Czy pani naprawdę wierzy, że kogoś to obchodzi, czy one żyją, czy nie? Ja się tym nie przejąłem! Uważam, że dobrze się stało.

— Pan się myli! — Kornelia była na niego oburzona.

— Niedobrze mi się robi, kiedy pan tak gada i gada bez końca, jak gdyby nikt się nie liczył, tylko pan jeden. Nie lubiłam zbytnio pani Otterbourne, ale własna córka bardzo ją kochała. Niewiele wiem o francuskiej pokojówce, ale wyobrażam sobie, że i ją musiał ktoś kochać. A jeśli idzie o Linnet Doyle, to poza wszystkim — była z niej śliczna dziewczyna. Była tak piękna, że kiedy weszła do sali, to mi aż serce skoczyło do gardła. Sama jestem tylko domową gąską, ale zawsze czuję podziw dla wszystkiego, co piękne. Pani Doyle zaś jako kobieta była tak piękna jak grecka sztuka. Kiedy coś pięknego umiera, to cały świat ponosi stratę, takie jest moje zdanie. Ferguson cofnął się nieco. Złapał się obiema rękami za włosy i zaczął je targać gwałtownie.

— Poddaję się — rzekł. — Pani jest wprost niezwykła! Ani krzty wrodzonej kobietom złościwości!

— Wie pan — tu Ferguson zwrócił się do Poirota — że ojca Kornelii zrujnował Ridgeway, ojciec Linnet? Ale czy dziewczę to zgrzyta zębami na widok pewnej bogatej damy paradującej w perłach i paryskich kreacjach? Skądże znowu! Niczym natchniona oślica Baalama beczy tylko z zachwyty: „Och, jaka ona piękna!” Jestem przekonany, że nawet nie poczuła cienia urazy do Linnet.

Kornelia spłonęła rumieńcem.



— Czułam, ale tylko przez moment. Mój tata bowiem przyplacił życiem niepowodzenia w interesach...

— Czuła urazę tylko przez moment! Widzicie ją!

— Przed chwilą właśnie mówił pan — wypaliła mu natychmiast Kornelia — że liczy się tylko przyszłość, a nie przeszłość. Wszystko to jest już przeszłością, prawda? Sprawa skończona.

— Ale mi się dostało — powiedział Ferguson. — Kornelio Robson, jest pani jedyną miłą osobą pośród znanych mi kobiet! Czy zechce pani wyjść za mnie za mąż?

— Niech pan nie plecie głupstw!

— To są najprawdziwsze oświadczyzny — rzekł Ferguson. — Mimo że złożone w obecności Asa Detektywów. W każdym razie jest pan świadkiem, *monsieur* Poirot. Z całą powagą zaproponowałem małżeństwo tej niewieście, wbrew wszystkim moim zasadom, jako że nie wierzę w pewne umowy między mężczyzną a kobietą, a ponieważ sądzę, że ona na nic innego by się nie zgodziła, wobec tego niech będzie małżeństwo. Proszę cię, droga Kornelio, powiedz „tak”.

— Śmieszny, doprawdy, z pana człowiek! — odpowiedziała zapłoniona Kornelia.

— Dlaczego nie chce pani mnie poślubić?

— Bo brak panu powagi!

— Czy to znaczy, że nie jestem poważny przy oświadczeniach, czy też mam niepoważny charakter?

— I jedno, i drugie, ale miałam na myśli charakter. Pan się wyśmiewa ze wszystkich poważnych rzeczy. Z nauki, z kultury i ze śmierci. Nie można by na panu polegać.

Urwała, znów się zaczerwieniła i pobięła pędem do swej kajuty.

Ferguson powiódł za nią spojrzeniem.

— Niech licho porwie tę dziewczynę! Zdaje się, że ona naprawdę tak myśli. Chce, żeby mężczyzna był rzetelny. Rzetelny, o bogowie! — zamilkł, po czym rzekł zadziwiony:

— Co z panem jest, panie Poirot? Tak się pan głęboko zamyślił...

Poirot natychmiast się ocknął.

— Coś sobie rozważałem. Rozważałem...

— Medytował pan o śmierci. „Śmierć jako dziesiętne okresowe”, pióra Herkulesa Poirot. Jedna ze sławnych jego monografii.

— Panie Ferguson — rzeki mu na to Poirot — jest pan ogromnie impertynenckim młodzieńcem.

— W pana oczach to rzecz, karygodna! Ale ja lubię szargać świętości.

— Czyż jestem taką świętością?

— Oczywiście! A co pan sądzi o tej dziewczynie?

— O panie Robson?

— Tak.

— Sądzę, że to doprawdy dziewczyna z charakterem.

— Zgadza się. Ma w sobie wewnętrzną siłę. Wygląda na potulną, ale tak nie jest. Jest w niej tyle życia! Jest taka... Ach, niech to diabli. Takiej dziewczyny mi właśnie potrzeba! Chyba nie będzie to złe posunięcie, gdybym natarł na tę starą damę. Gdyby się udało tamtą wrogo do mnie usposobić, może by Kornelia spojrzała na mnie życzliwiej?

Ruszył pędem do oszklonego salonu. Panna Van Schuyler siedziała w swym ulubionym kącie. Sprawiała wrażenie bardziej jeszcze napuszonej niż zazwyczaj. Ferguson podążył w jej stronę. Nie ścigając na siebie uwagi zjawił się tu również pan Poirot i sadowiąc się w dyskretnej odległości udawał pochłoniętego czytaniem tygodnika.

— Dzień dobry pani!

Uniosła wzrok, ale tylko na moment, po czym spuściła oczy i mruknęła zimno: — Dzień dobry!

— Proszę mnie wysłuchać. Chcę porozmawiać z panią o dość ważnej sprawie. Otóż pragnę poślubić pani kuzynkę.

Kłębek włóczki wypadł panie Van Schuyler i potoczył się hen, daleko przez salon.

— Pan chyba postradał rozum, młodzieńcze! — odparła jadowitym tonem.

— Skądże znowu! Gotów jestem się z nią ożenić. Już ją pytałem, czy wyjdzie za mnie za mąż.

Panna Van Schuyler zmierzyła go chłodnym spojrzeniem i z baczną uwagą, z jaką zapewne patrzyłaby na mało znany gatunek żuka.

— Czyżby? Mniemam, że to ona przysłała pana w tej sprawie.

— Dała mi kosza.

— To oczywiste!

— Wcale nie takie oczywiste. Postanowiłem prosić ją tak długo, aż się zgodzi.

— Mogę pana zapewnić, że podejmę odpowiednie kroki, by nie dopuścić do tego, by kuzynka moja

stała się obiektem czyichś prześladowań — oświadczyła złośliwie panna Van Schuyler.

— Ma pani do mnie jakieś zastrzeżenia?

Panna Van Schuyler uniosła jedynie brwi, szarpnęła ostro nić kłębka, aby go ku sobie przyciągnąć, i uznała rozmowę za skończoną.

— Proszę mi odpowiedzieć — nalegał Ferguson. — Jakie właściwie ma pani zastrzeżenia?

— To chyba całkiem oczywiste, jak sędzę, panie... nie znam nazwiska.

— Ferguson.

— ... panie Ferguson — wymówiła nazwisko z najwyższym niesmakiem. — Ta rzecz jest absolutnie wykluczona!

— Uważa pani — rzekł Ferguson — że nie jestem odpowiednią dla niej partią?!

— To się chyba samo przez się rozumie.

— Pod jakim względem, sędzi pani, jestem dla niej nieodpowiedni?

Panna Van Schuyler znów nie dała odpowiedzi.

— Mam dwie nogi, dwie ręce, dobre zdrowie i sporo oleju w głowie. Więc czego jeszcze chcieć!

— Istnieje taka rzecz jak pozycja towarzyska, panie Ferguson.

— Pozycja towarzyska to bzdura!

Otwarły się drzwi i weszła Kornelia. Stała jak wryta na widok groźnej kuzynki Marii prowadzącej rozmowę z niedoszłym kandydatem na jej męża.

Bezczelny pan Ferguson odwrócił głowę, uśmiechnął się od ucha do ucha i zawołał: — Chodź tu, Kornelio! Właśnie oświadczam się o twą rękę w najbardziej tradycyjny sposób.

— Kornelio! — odezwała się panna Van Schuyler tonem doprawdy przerażającym. — Tyś to zachęciła tego młodzieńca? — Ależ nie... Oczywiście... W każdym razie... Niezupełnie... To znaczy...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ona mnie nie zachęcała — pospieszył z wyjaśnieniem pan Ferguson. — Zrobiłem to na własną rękę. Nie spoliczkowała mnie wprawdzie, ale dlatego tylko, że ma zbyt dobre serce. Kornelio, twa kuzynka powiada, że nie jestem dla ciebie odpowiedni. To jest prawda, ale nie w tym sensie, jaki ona z pewnością ma na myśli. Nie mogę równać się z tobą pod względem moralności, ale ona uważa, że ci absolutnie nie dorównuję pozycją towarzyską.

— Sądzę, że jest to równie oczywiste i dla Kornelii.

— Czyżby? — Ferguson spojrzał na dziewczynę wyczekująco. — Czy właśnie dlatego nie chcesz wyjść za mnie?

— Nie dlatego — Kornelia zarumieniła się. — Gdybym pana lubiła, tobym wyszła za niego, bez względu na to, kim pan jest.

— Ale mnie nie lubisz?

— Pan jest taki okropny! Ten sposób wyrażania się o wszystkim! Rzeczy, które pan wygaduje! Pierwszy raz zetknęłam się z kimś takim... jak pan...

Niewiele brakowało, by się rozplakała. Wybiegła pędem z salonu.

— Ogólnie rzecz biorąc — stwierdził pan Ferguson — całkiem nieźle, jak na początek.

Rozparł się w krzesło, zerknął na sufit, zagwizdał, założył bezceremonialnie nogę na nogę i rzekł: — Będę panią odtąd nazywał kuzynką.

Panna Van Schuyler aż się zatrzęsała ze złości.

— Niech pan natychmiast stąd wyjdzie, bo wezwę stewarda!

— Zapłaciłem za bilet — odrzekł Ferguson. — Nie mogą więc wyprosić mnie z ogólnej sali... Ale ja jeszcze panią rozśmieszę! — Zanucił cicho: — „...Hej, hej i butelka rumu!” — Podniósł się, pomaszerował nonszalancko w stronę drzwi i wyszedł.

Sapiąc ze złości panna Van Schuyler usiłowała wstać z krzesła.

Poirot dyskretnie wynurzył się zza tygodnika, za którym się ukrył, zerwał się z krzesła i podniósł upuszczony kłębek wełny.

— Dziękuję bardzo. Zechce pan łaskawie wezwać tu pannę Bowers? Czuję się okropnie. Ten bezczelny młodzieniec...

— Zdecydowanie ekscentryczny, powiedziałbym. Niestety! To częste w tej rodzinie. Są wprost przerasowani! Zawsze skorzy do walki z wiatrakami! — rzekł Poirot i dodał jakby od niechcenia: — Pani go z pewnością rozpoznała.

— Rozpoznała?

— Przedstawia się jako Ferguson i nie używa tytułu ze względu na swe nowoczesne poglądy.

— Tytułu? — spytała ostrym tonem.

— To młody Dawlish. Bajecznie zamożny, naturalnie, ale zrobił się komunistą po pobycie w

Oxfordzie.

— Kiedy się pan o tym dowiedział? — spytała panna Van Schuyler, na której twarzy walczyły rozmaite, sprzeczne ze sobą, uczucia.

Poirot wzruszył ramionami.

— Była w gazetach jego fotografia, w ten sposób go rozpoznałem. Następnie znalazłem u niego sygnet z herbem. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, zapewniam panią.

Z przyjemnością obserwował zmaganie się sprzecznych uczuć na twarzy panny Van Schuyler.

— Jestem panu bardzo wdzięczna, panie Poirot — powiedziała z łaskawym skinieniem głowy. Poirot patrzył na nią, gdy wychodziła z salonu, i uśmiechał się. Usiadł na powrót i twarz znów mu się zasępiła. Podążał za tokiem własnych myśli. Od czasu do czasu kiwał głową.

— *Mais oui*\* — odezwał się na koniec. — Wszystko pasuje jak ulał.

# Rozdział XXVI

Tamże zastał go Race.

— Jak się mają sprawy, Poirot? Pennington powinien już być za parę minut. Oddaję go w pana ręce.

Poirot zerwał się z krzesła.

— Najpierw proszę wezwać tego młodzieńca, Fanthorpa!

— Fanthorpa? — zdziwił się Race.

— Tak. Proszę go przyprowadzić do mojej kajuty. Race kiwnął głową i wyszedł. Poirot udał się do swej kajuty. Po paru minutach zjawił się tam Race z Fanthorpem.

Poirot poprosił ich, by usiedli, i poczęstował papierosami.

— A teraz, *monsieur* Fanthorp, do rzeczy! Otóż dostrzegłem, że nosi pan ten sam krawat co Hastings, mój przyjaciel.

Jim Fanthorp zerknął na swój strój z pewnym zdumieniem.

— Takie nosi się w Eton — odrzekł.

— Słusznie. Trzeba panu wiedzieć, że choć jestem cudzoziemcem, znam jednak do pewnego stopnia angielski punkt widzenia. Wiem, na przykład, że są rzeczy, które robić wypada i takie, których się nie robi.

Jim Fanthorp uśmiechnął się.

— W dzisiejszych czasach, proszę pana, przestało to grać rolę.

— Ale tradycja pozostaje tradycją. Krawat Dawnej Szkoły jest dalej krawatem Dawnej Szkoły; istnieją też pewne rzeczy (o czym wiem z doświadczenia), których Stary Etończyk nie robi! I tak na przykład nie włączy się nieproszony do prywatnej rozmowy, jeżeli nie zna osobiście ludzi, którzy ją prowadzą. Fanthorp wytrzeszczył oczy.

— A pan to właśnie zrobił któregoś dnia, *monsieur* Fanthorp. Pewne osoby cicho omawiały swe prywatne sprawy finansowe w salonie. Pan do nich podszedł, najwyraźniej po to, by podsłuchać, o czym jest mowa, i raptem odezwał się pan do pewnej damy, *madame* Doyle właśnie, gratulując jej zdrowego rozsądku w podejściu do interesów...

Jim Fanthorp zrobił się aż purpurowy na twarzy. Poirot perorował dalej nie czekając na

odpowiedź:

— Takie zachowanie nie przystoi osobie, która nosi taki sam krawat, jak mój przyjaciel Hastings. Hastings jest uosobieniem taktu i prędzej by umarł ze wstydu, niżby coś takiego zrobił. Dlatego więc, łącząc ten wyczyn z faktem, że jest pan zbyt młody, by pozwolić sobie na tak kosztowny urlop, że pracując jako adwokat w prowincjonalnym biurze porad prawnych z pewnością nie opływa pan w dostatki, a przy tym stan zdrowia nie wskazuje na to, że przechodził pan ostatnio jakąś chorobę wymagającą dłuższego pobytu za granicą, zadaje sobie, a teraz także panu, pytanie: jaki jest powód pańskiej obecności na statku? Jim Fanthorp odrzucił w tył głowę.

— Odmawiam udzielenia jakichkolwiek informacji, panie Poirot. Chyba pan zwariował!

— Nie zwariowałem. Jestem absolutnie zdrow na umyśle. Gdzie jest pańska firma? W Northampton, które leży w pobliżu Wode Hall? Jaką to rozmowę starał się pan podsłuchać? Dotyczącą prawnych dokumentów, prawda? Jaki cel miała uwaga wypowiedziana przez pana z nieukrywanym zakłopotaniem i udręką. Miała za cel powstrzymać panią Doyle od podpisywania jakichkolwiek dokumentów, zanim ich uprzednio nie przeczyta.

Poirot zamilkł.

— Mieliśmy na tym statku jedno morderstwo, a po nim miały miejsce dwa następne, w krótkich odstępach czasu. Jeśli teraz poinformuję pana, że nieszczęsną panią Salome Otterbourne zastrzelono z rewolweru, który należy do Penningtona, wtedy zapewne zda pan sobie sprawę, że właściwie sam obowiązek nakazuje powiedzieć nam o wszystkim.

Jim Fanthorp milczał parę minut.

— Ma pan dość dziwny sposób załatwiania spraw — odezwał się w końcu Fanthorp — ale podzielam pana punkt widzenia. Kłopot jednak w tym, że nie posiadam żadnych dokładnych informacji, by móc je przedłożyć.

— Chce pan powiedzieć, że są zaledwie podejrzenia, jeśli chodzi o sprawę.

— Tak.

— Dlatego, zdaniem pana, nierozważną rzeczą byłoby o tym mówić. To słuszne, z prawnego punktu widzenia. Ale nie jesteśmy w sali rozpraw. Usiłujemy razem z pułkownikiem Racem schwytać mordercę. Wszystko, co może przyczynić się do ujęcia zabójcy, jest dla nas cenne.

Fanthorp znów się zastanowił.

— Zgoda — rzekł po chwili — co panowie chcieliby wiedzieć?

— Po co wybrał się pan na tę wycieczkę?

— Wysłał mnie pan Carmichael, angielski doradca prawny pani Doyle. Prowadził dla niej dość dużo spraw. W związku z tym często korespondował z panem Andrewem Penningtonem, który jest jej

amerykańskim prawnym opiekunem. Kilka drobnych incydentów (nie potrafię podać ich liczby) wzbudziło w mym wuju podejrzenie, że nie wszystko jest tak, jak być powinno.

— Mówiąc prostym językiem — odezwał się Poirot — wuj pana nabrał podejrzeń, że pan Pennington jest defraudantem?

Jim Fanthorp potaknął głową i lekko się uśmiechnął.

— Ujął to pan w sposób bardziej dosadny niż ja, ale sens jest ten sam. Różne wykrętne wymówki ze strony pana Penningtona, niektóre pozornie uczciwe wyjaśnienia dotyczące lokat kapitału, którym rozporządzał, obudziły w mym wuju nieufność.

Wtedy to właśnie, gdy podejrzenia wuja były jeszcze mało sprecyzowane, panna Ridgeway wyszła raptem za mąż i zaraz wyjechała w podróż poślubną do Egiptu. Jej zamążpójście uwolniło wuja od niepokoju, ponieważ wiedział, że po jej powrocie do Anglii cała masa spadkowa musi zostać formalnie ustalona i przekazana w ręce spadkobiercy.

Tymczasem w liście z Egiptu, który napisała do wuja, nadmieniła mimochodem, iż zupełnie niespodziewanie natknęła się tam na Andrewa Penningtona. To bardzo umocniło mego wuja w podejrzeniach. Nabrał pewności, że Pennington, znalazłszy się teraz w rozpaczliwej sytuacji, będzie próbował zdobyć od Linnet podpisy, którymi się posłuży do ukrycia własnych malwersacji. Wuj nie posiadał żadnych określonych dowodów, by je przedstawić Linnet, toteż znalazł się w niezmiernie trudnym położeniu. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to wyprawić mnie natychmiast samolotem aż tutaj, abym wykrył, co się święci. Poleciał mi więc na wszystko oczy otwarte i w razie potrzeby sprawę ujawnić, co było, zapewniam panów, bardzo nieprzyjemną misją.

Nawiasem mówiąc, w wymienionych przez pana okolicznościach musiałem się zachować aż tak po świńsku. To było okropne, ale na ogół byłem zadowolony z wyników.

— Czy dlatego, że ostrzegł pan *madame* Doyle, by się miała na baczności?

— To może nie jest tak istotne, ale sądzę, że napędziłem strachu Penningtonowi. Nabrałem przekonania, że na jakiś czas zaprzestanie wszystkich machinacji. Żywiłem nadzieję, że uda mi się do tego stopnia zaznajomić z państwem Doyle, bym mógł ich ostrzec. Prawdę mówiąc spodziewałem się załatwić to przez Doyle'a. Jego żona była tak przywiązana do Penningtona, że sugerowanie jej takich rzeczy wydawało mi się nie na miejscu. Znacznie łatwiej byłoby mi nawiązać kontakt z jej mężem.

Race potaknął głową.

— Niech mi pan odpowie szczerze, panie Fanthorp. Przypuśćmy, dla przykładu, że chciałby pan przeprowadzić jakąś oszukańczą machinację, to kogo by pan wybrał na ofiarę: Linnet czy Simona Doyle'a?

Fanthorp uśmiechnął się z lekka.

— Wyłącznie Simona Doyle'a. Linnet Doyle była zbyt przenikliwa w interesach. Mąż jej, tak mi się zdaje, jest takim sobie naiwnym człowiekiem, który nie ma pojęcia o interesach i jest zawsze



gotów złożyć podpis „na wykropkowanej linii”, jak sam to wówczas przyznał.

— Zgadzam się z tym — odrzekł Poirot. Spojrzał na Race’a. — Więc taka jest pana koncepcja?

— To tylko czyste domniemanie. To nie jest dowód.

— Co tam! — rzekł beztrósco Poirot. — Dowód zdobędziemy.

— Jak?

— Bardzo możliwe, że od samego pana Penningtona. Fanthorp miał wyraźnie co do tego wątpliwości.

— To się okaże. To się jeszcze okaże.

Race spojrział na zegarek. — Powinien tu być lada chwila. Jim Fanthorp szybko pojął aluzję i natychmiast odszedł.

W dwie minuty później zjawił się Andrew Pennington. Był uprzedzająco grzeczny i uśmiechnięty. Jedyne napięte mięśnie twarzy i czujność spojrzenia zdradzały fakt, że ten ze wszech miar wytworny gracz ma się na baczności.

— Panowie, oto jestem — rzekł.

Usiadł i zwrócił na nich pytające spojrzenie.

— Poprosiliśmy pana o przyście tutaj, *monsieur* Pennington, gdyż jest rzeczą oczywistą, że sprawa ta w sposób szczególny i bezpośredni dotyczy pana osoby...

Pennington uniósł lekko brwi.

— Czy aby na pewno? — zapytał.

— Na pewno. Znał pan, o ile mi wiadomo, Linnet Doyle od dziecka.

— Ach, o to chodzi? — wyraz jego twarzy zmienił się, zelżało napięcie. — Przepraszam, nie zrozumiałem pana w pierwszej chwili. Tak, już to rano mówiłem, znałem Linnet, gdy była jeszcze małym brzdącem.

— Był pan w bardzo zażyłych stosunkach z jej ojcem?

— Oczywiście. Byliśmy z Melhuishem Ridgewayem bardzo, ale to bardzo sobie bliscy.

— Byliście tak ogromnie zaprzyjaźnieni, że na wypadek śmierci wyznaczył pana prawnym opiekunem swej córki i urzędowym powiernikiem olbrzymiej fortuny, którą miała dziedziczyć.

— Ogólnie rzecz biorąc, tak. — Czujność powróciła, ton wypowiedzi stał się ostrożniejszy. —

Nie byłem oczywiście, jedynym powiernikiem, prócz mnie byli jeszcze inni.

— Którzy z czasem umarli.

— Zmarło dwóch. Trzeci z nich, pan Stendale Rockford, żyje nadal.

— To pana wspólnik?

— Tak.

— *Mademoiselle* Ridgeway, jak się zdaje, nie była jeszcze pełnoletnia, gdy wychodziła za mąż?

— W lipcu przyszłego roku skończyłaby dwadzieścia jeden lat.

— Wówczas to, normalnym biegiem rzeczy, przejęłaby w swoje ręce kontrolę nad majątkiem?

— Tak.

— Zatem jej małżeństwo przyspieszyło ten moment? Pennington zacisnął szczęki. Wysunął w sposób agresywny podbródek w stronę Poirota i Race'a.

— Panowie wybaczą — rzekł — ale o co tu właściwie chodzi?

— Jeśli pan nie ma chęci odpowiedzieć na pytanie...

— Tu nie chodzi o chęci. Nie mam nic przeciwko pytaniom! Ale nic widzę, jaki to ma związek ze sprawą?

— Racja, *monsieur* Pennington — Poirot ze swymi zielonymi, kocimi oczyma nachylił się i dodał: — Chodzi tu o kwestię motywu. Przy rozważaniu motywu zabójstwa trzeba zawsze brać pod uwagę względy finansowe.

— Zgodnie z wolą Ridgeway — rzeki Pennington ponurym głosem — Linnet przejmowała kontrolę nad forszą albo po dojściu do pełnoletności, albo w przypadku zamążpójścia.

— Żadnych innych klauzul?

— Żadnych.

— W kwestię wchodzi tu, o ile dobrze wiem, miliony.

— Tak jest, miliony.

— Niemała to odpowiedzialność ciążyła na panu i pańskim wspólniku? — zauważył miłym tonem Poirot.

— Jesteśmy przyzwyczajeni do odpowiedzialności. My się tym nie zajmujemy — odpowiedział krótko Pennington.

— Hm, to zastanawiające.

Coś w tonie głosu Poirota ubodło Penningtona do żywego.

— O co, do licha, panu chodzi? — spytał rozgniewany.

— Zastanawiałem się — odpowiedział Poirot z ujmującą szczerością — czy nieoczekiwane zamążpójście Linnet nie wywołało jakiegoś przerażenia w pańskim biurze?

— Przerażenia?

— Tak to właśnie nazwałem.

— Do diabła, o co panu chodzi?

— O coś całkiem prostego. Czy sprawy Linnet Doyle są w idealnym, tak jak należy, porządku?

Pennington zerwał się na równe nogi.

— Tego już za wiele! Skończyłem, panowie.

— Zechce pan najpierw odpowiedzieć na moje pytanie?

— Są w idealnym porządku — uciął krótko Pennington.

— Wobec tego nie był pan aż tak zaniepokojony, gdy wiadomość o zamążpójściu Linnet dotarła do pana, żeby gnać do Europy pierwszym lepszym statkiem i zainscenizować bez wątpienia owocne spotkanie w Egipcie?

Pennington zrobił parę kroków w ich stronę. Znów był zmuszony panować nad sobą.

— To, co pan mówi, jest absolutną bzdurą. Nie wiedziałem nawet, że Linnet wyszła za mąż do chwili, gdy się z nią spotkałem w Kairze. Byłem najzupełniej zaskoczony. List bowiem nie zastał mnie już w Nowym Jorku. Został mi odesłany i otrzymałem go w tydzień później.

— Mówił pan, że przyłynął zdaje się na „Carmanicu”?

— Tak jest.

— A list nadszedł do Nowego Jorku już po odpłynięciu statku?

— Ile jeszcze razy będę musiał to powtarzać?

— To dziwne.

— Co dziwne?

— Na bagażu pana nie ma nalepek z „Carmanica”. Jedyne świeże nalepki transatlantyckich linii

pochodzą z „Normandie”, która, o ile pamiętam, wypłynęła dwa dni później po „Carmanicu”?

Pennington zaniemówił na moment. Zamrugał powiekami.

Pułkownik Race zadziałał w sposób niezwykle skuteczny.

— Spokojnie, panie Pennington — rzekł. — Mam kilka powodów, by wierzyć, że przyplłynął pan tu na „Normandie”, a nie na „Carmanicu”, jak nam to pan przedtem powiedział. W takim razie otrzymał pan list Linnet Doyle jeszcze przed odjazdem z Nowego Jorku. Nie ma więc sensu temu zaprzeczać, gdyż można w sposób niezwykle łatwy sprawdzić to w biurze linii okrętowych.

Andrew Pennington machinalnie sięgnął po krzesło i usiadł. Twarz jego była nieprzenikniona jak twarz pokerzysty. Ale za tą maską jego obrotny mózg obmyślał już następne posunięcie.

— Wasze na wierzchu, panowie. Jesteście dla mnie za sprytni. Otóż miałem powody, by postąpić tak, jak uczyniłem.

— Zapewne — stwierdził krótko Race.

— Nim je tu przed wami wyłuszczę, będę musiał prosić, ma się rozumieć, o dyskrecję. — Sadze, że może nam pan w tym względzie zaufać. Oczywiście nie możemy dawać obietnic na ślepo.

— Więc dobrze — powiedział Pennington z westchnieniem. — Wyznam wam wszystko. Jakieś ciemne interesy odchodziły w sprawach Linnet w Anglii. Bardzo mnie to martwiło. Listownie nie mogłem wiele zdziałać. Jedyным wyjściem było przyjechać na miejsce i zobaczyć samemu.

— Co pan nazywa ciemnymi interesami?

— Mam głębokie powody do podejrzeń, że Linnet była oszukiwana.

— Przez kogo?

— Przez swego brytyjskiego adwokata. Nie jest to jednak rodzaj oskarżenia, które można naokoło rozgłaszać. Postanowiłem więc pojechać natychmiast i osobiście zbadać tę sprawę.

— Pańska czujność jest godna pochwały, to pewne. Ale po co to małe kłamstwo z listem?

— Powiedzcie sami, panowie — rzekł Pennington rozkładając ręce. — Czyż można zjawiać się nagle przed młodą parą, w czasie ich miodowego miesiąca, nie podając żadnych realnych powodów? Pomyślałem więc, że najlepiej udawać przypadkowe spotkanie. Poza tym, zupełnie nie znałem jej męża. Mógł on być także wmieszany w jakieś machlojki, o których nie miałem pojęcia.

— Słowem, wszystkie pana posunięcia były podyktowane czystą bezinteresownością? — spytał oschle Race.

— Tak właśnie było, pułkowniku.

Zapadła chwila milczenia. Race popatrzył na Poirota. Ten zaś nachylił się ku przodowi.

— *Monsieur Pennington* — rzekł. — Nic wierzymy ani w jedno słowo z tego, co pan tu powiedział.

— Niech was diabli! Więc w co, u licha, wierzycie?

— Wierzymy, iż nieoczekiwane zamążpójście *Linnet Ridgeway* wpędziło was, jeśli idzie o finanse, w sytuację bez wyjścia. Toteż przyjechał pan tu czym prędzej, by znaleźć jakieś wyjście z kłopotów, w których ugrzęźliście, to znaczy zyskać choć trochę na czasie. Mając ten cel na względzie usiłował pan zdobyć podpis *madame Doyle* na pewnych dokumentach, lecz się to panu nie powiodło. W czasie podróży w górę Nilu, idąc szczytem skały w Abu Simbel, stracił pan głaz, który zleciał i tylko o włos chybił celu...

— Pan, doprawdy, zwariował!

— Wierzymy, iż podobnego rodzaju okoliczności zaistniały w drodze powrotnej. To znaczy pojawiła się nieoczekiwanie możliwość usunięcia *madame Doyle* z drogi w takim momencie, że jej śmierć byłaby z całą pewnością przypisana działaniu innej osoby.

My nie tylko wierzymy, ale wiemy, że to pana własnym rewolwerem zabito kobietę w chwili, gdy zamierzała nam wyjawić nazwisko osoby, która miała, jej zdaniem, powody, by zabić *Linnet Doyle*, jak również jej pokojówkę *Luizę*.

— Do diabła! — padło mocne przekleństwo i przerwało Poirotowi potok wymowy. — Do czego pan zmierza? Czy pan zwariował? Jakież miałbym powód, by zabijać *Linnet Doyle*? Przecież nie dla pieniędzy, bo wszystko i tak przechodzi na męża! Dlaczego się pan nim nie zajmie? To on na tym korzysta, a nie ja! Tu odezwał się chłodno Race:

— Tej tragicznej nocy *Doyle* nie wychodził w ogóle z jadalni aż do momentu, kiedy do niego strzelono i zraniono go w nogę. Niemożność zrobienia w tym stanie jednego choćby kroku została potwierdzona przez lekarza i pielęgniarkę, dwoje niezależnych i rzetelnych świadków. *Simon Doyle* nie mógł zabić swojej żony. Nie mógł też zgładzić *Luizy Bourget*. Z całą pewnością nie zabił pani *Otterbourne*. Wie pan o tym równie dobrze, jak my.

— Wiem, że jej nie zabił — rzekł *Pennington* głosem nieco spokojniejszym. — Pytam tylko, dlaczego się mnie czepiacie, skoro nie czerpię korzyści ze śmierci *Linnet Doyle*?

— Mój drogi panie — odpowiedział *Poirot* głosem, który brzmiał równie łagodnie, jak mruczenie kota. — To tylko kwestia zapatrywań! *Madame Doyle* była kobietą biegłą w interesach, mającą pełne rozeznanie co do swych własnych spraw i bardzo bystrą w wyłapywaniu wszelkich nieprawidłowości. Gdyby przejęła w swe ręce pełną kontrolę nad majątkiem, co miała uczynić po powrocie do Anglii, to z pewnością z miejsca powzięłaby podejrzenia. Ale skoro nie żyje, a mąż jej, jak to pan już podkreślił, wszystko dziedziczy, cała sprawa przedstawia się już całkiem inaczej. *Simon Doyle* nie orientuje się właściwie w sprawach majątkowych swej żony, wie tylko, że była bogata. Jest on z natury prosty i naiwny. Z łatwością uda się panu podsunąć mu zawile raporty,

przemycić istotne kwestie w morzu cyfr i opóźnić załatwienie spraw, zasłaniając się argumentami natury prawnej oraz niedawnym kryzysem gospodarczym. Moim zdaniem, ogromną różnicę stanowi to, czy ma pan do czynienia z mężem, czy żoną.

Pennington wzruszył ramionami.

— Pana pomysły są czystą fantazją!

— Czas pokaże.

— Co pan powiedział?

— Powiedziałem, że czas pokaże. Wchodzą tu w grę trzy zgony, to jest trzy morderstwa. Sąd będzie domagał się jak najwnikliwszych dochodzeń co do stanu posiadania *madame* Doyle.

Dostrzegł, jak Penningtonowi nagle opadły ramiona i już wiedział że wygrał. Podejrzenia Jima Fanthorpa potwierdziły się w całej pełni.

— Grał pan i przegrał — ciągnął dalej Poirot. — Nie ma potrzeby, by dalej blefować.

— Proszę mnie zrozumieć — wymamrotał Pennington. — Nie ma w tym jakiejś specjalnej nieuczciwości. To wszystko przez ten kryzys. Na Wall Street poszaleli. Ale ja już tak zaplanowałem, że straty się wyrówna. Jeśli szczęście dopisze, do połowy lipca wszystko będzie w porządku. — Drżącymi palcami wyciągnął papierosa, próbował go zapalić, ale bez skutku.

— Wydaje mi się, że ten głaz był taką nieoczekiwaną pokusą. Sądził pan, że nikt tego nie widzi.

— To był przypadek. Przysięgam, że to było niechcący. — Pochylił się do przodu, w twarzy miał napięcie, a w oczach przerażenie. — Potknąłem się i upadłem. Przysięgam, że to był przypadek...

Poirot i Race milczeli.

Pennington odzyskał nagle panowanie nad sobą. Był wprawdzie całkiem wykończony, jednak odżyła w nim pewna doza wojowniczości. Ruszył w kierunku drzwi.

— Nic uda się wam zrobić mnie, panowie. To był wypadek! Nie zabiłem jej także. Słyszycie? W to morderstwo też nie dam się zrobić! Nigdy!

I wyszedł.

# Rozdział XXVII

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Race odetchnął głęboko.

— Wydobyliśmy z niego więcej, niż się spodziewaliśmy. Przyznanie się do malwersacji. Dalej już posunąć się niepodobna! Człowiek może się przyznać, tak czy owak, do zamierzonego morderstwa, ale niepodobieństwem jest skłonić go, by przyznał się do prawdziwego występku.

— Czasami to się udaje — odrzekł Poirot. Oczy miał senne i kocie.

Race spojrział na niego z zaciekawieniem.

— Ma pan już jakiś plan? Poirot potaknął głową.

— Ogród w Asuanie — powiedział odliczając kolejno na palcach. Oświadczenia Tima Allertona. Dwie buteleczki lakieru do paznokci. Moja butelka wina. Aksamitny szal. Poplamiona chusteczka. Pistolet pozostawiony na miejscu zbrodni. Śmierć Luizy. Śmierć *madame* Otterbourne... Oto całość. Pennington tego nie zrobił pułkownikowi Race.

— Jakże to?

— Pennington nie zrobił tego. Miał, oczywiście, motyw. Miał też wielką chęć to zrobić. Posunął się nawet tak daleko, że tego próbował. *Mais c'est tout\**. Do takiej zbrodni trzeba mieć coś, czego Pennington nie posiada. Wymaga ona śmiałości, szybkiego i bezbłędnego działania, odwagi, pogardy dla niebezpieczeństwa, pomysłowości i wyrachowanego umysłu. Pennington tych zalet nie posiada. Porwałby się na morderstwo dopiero wtedy, gdyby miał pewność, że mu to niczym nie grozi. A zbrodnia nie była bezpieczna. To był spacer na ostrzu brzytwy! Wymagała zuchwałości! Pennington nie jest zuchwały. Jest zaledwie przebiegły.

Race spojrział na Poirota z szacunkiem, jaki odczuwa uzdolniony człowiek wobec talentu innego człowieka.

— Bardzo pan to wszystko umiejętnie powiązał.

— Zdaje się, że tak. Jest jeszcze parę rzeczy, na przykład ów telegram, który Linnet Doyle przeczytała. Pragnąłbym to także wyjaśnić.

— Na Boga, zapomnieliśmy spytać o to Doyle'a. Zaczął nam o tym opowiadać, nim się pojawiła nieszczęsna mama Otterbourne. Zapytajmy go raz jeszcze.

— Za chwilę. Wpierw muszę wezwać kogoś innego, z kim pragnąłbym pomówić.

— Kogo mianowicie.

— Tima Allertona.

Race uniósł brwi.

— Allertona? No, to go wezwijmy!

Nacisnął dzwonek i wysłał stewarda z poleceniem. Wszedł Tim Allerton ze zdumieniem na twarzy.

— Steward powiedział, że panowie chcą mnie widzieć.

— Tak jest, *monsieur* Allerton. Proszę usiąść.

Tim usiadł. Twarz miał skupioną, z nikłym tylko śladem znudzenia.

— Czym mogę panom służyć? — spytał uprzejmym tonem, ale pozbawionym zapału.

— Chodzi o małą przysługę. Otóż, chciałbym, by mnie pan uważnie wysłuchał.

Tim uniósł nieco brwi wyrażając uprzejme zdziwienie.

— Naturalnie. Potrafię znakomicie słuchać. Czy mogę dla ulżenia sobie wykrzyknąć „Och!” w odpowiednich momentach?

— Bardzo to nas cieszy. „Och!” będzie bardzo wymowne. *Eh bien*, wobec tego zaczynajmy! Kiedy poznałem pana i pańską matkę w Asuanie, bardzo mi przypadło do gustu wasze towarzystwo. Zaznaczę na początku, że uważam matkę pana za najbardziej czarującą ze znanych mi osób.

Znużona twarz rozbłysła na chwilę, pojawił się na niej nikły cień uczucia.

— Jest doprawdy niezwykła — rzekł.

— Następną rzecz, która mnie zafrapowała, to pana wzmianka o pewnej damie.

— Naprawdę?

— Tak. Chodzi o *mademoiselle* Joanne Southwood. Właśnie niedawno słyszałem to nazwisko — przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: — W ciągu ostatnich trzech lat dokonano kilku charakterystycznych kradzieży biżuterii, które zaniepokoiły w wysokim stopniu Scotland Yard. Miały one miejsce w tak zwanym eleganckim świecie. Metoda była zawsze ta sama. Zamiana oryginalnej biżuterii na imitację. Mój przyjaciel, nadinspektor Japp, doszedł, do wniosku, że kradzieże nie są dziełem jednej, lecz dwóch osób współdziałających ze sobą w sposób bardzo umiejętny. Był przekonany, sądząc z doskonałej znajomości środowiska wykazywanej przez sprawców, że kradzieże te są dziełem ludzi pochodzących z wyższych sfer. W końcu uwagę jego przykuła *mademoiselle* Joanna Southwood.

Każda z ofiar kradzieży знаła Joannę Southwood lub była z nią w przyjaźni i za każdym razem rzeczony klejnot był albo uprzednio oglądany lub wypożyczony przez *mademoiselle* Southwood.



Także poziom życia daleko przewyższał dochody tej damy. Było przy tym zawsze rzeczą wykluczoną, przy każdej kradzieży, a mówiąc ściśle — wymianie, by dokonała tego Joanna Southwood. W wielu wypadkach w okresie, kiedy dokonano rzeczonyj wymiany przebywała ona za granicą. Toteż stopniowo w głowie nadinspektora Jappa powstała następująca teoria. *Mademoiselle* Southwood była w swoim czasie związana z cechem Twórców Nowoczesnej Bizuterii. Podejrzewał, że kiedy dostawała w ręce rzeczony klejnot, wykonywała jego dokładny rysunek i zamawiała kopię u jakiegoś pomniejszego, lecz nieuczciwego jubilera. Trzeciej części operacji, która była tylko zręczną zamianą biżuterii, dokonywała już inna osoba, ktoś, komu nigdy nie można było dowieść, że dotykał danego klejnotu i że w ogóle miał kiedykolwiek styczność z kopiowaniem lub wytwarzaniem imitacji szlachetnych kamieni. Tożsamość tej drugiej osoby jest nadinspektorowi Jappowi całkowicie nieznana.

Pewne rzeczy, wypowiedziane przez pana w rozmowach, bardzo mnie zafrapowały. Pierścionek, który zginął w czasie pana pobytu na Majorce, fakt, że był pan w czasie przyjęcia w domu, gdzie właśnie miała miejsce zamiana biżuterii, oraz pana bliska zażyłość z Joanną Southwood. Jest także faktem, że był pan niechętny mej obecności i usiłował wpłynąć na matkę, by mi okazywała mniej serdeczności. Mogła to być naturalna, tylko osobista animozja, ale ja tak nie sędzę. Był pan zbyt zaniepokojony, by się zdobyć na ukrycie swej niechęci w jakiś bardziej umiejętny sposób.

*Eh bien!* Po morderstwie Linnet Doyle odkryto, że zginęły perły. Pan rozumie, że natychmiast pomyślałem o panu. Ale mnie to nie zadowalało. Bo jeśli pan współpracuje, jak podejrzewałem, z Joanną Southwood, która była bliską przyjaciółką *madame* Doyle, zastosowano by metodę zamiany, a nie pospolitą kradzież. Lecz niebawem perły te całkiem nieoczekiwanie zwrócono i co wtedy odkryłem? Że to nie są prawdziwe perły, lecz imitacja. Wiedziałem już wówczas, kto jest właściwym złodziejem, ukradziono bowiem i zwrócono ten właśnie naszyjnik, który pan uprzednio podłożył na miejsce prawdziwego.

Spojrzał na siedzącego naprzeciw młodzieńca. Tim był mimo opalenizny biały jak płótno. Nie należał do tego rodzaju wytrawnych graczy, co Pennington. Był mało wytrzymały.

— Czyżby? — zapytał starając się zachować swój drwiący ton. — W takim razie, co z nim zrobiłem?

— To także wiem. Jest tylko jedno miejsce, gdzie te perły mogą być — nie spiesząc się mówił dalej Poirot. — Domyśliłem się i mój mózg podsunął mi to samo. Te perły, *monsieur* Allerton, są ukryte w różańcu, który wisi w pana kajucie. Ma precyzyjnie rzeźbione paciorki. Sędzę, że specjalnie dał go pan zrobić na zamówienie. Paciorki te można rozkręcać, choć nikt by się tego nie domyślił. W środku każdego paciorka została przyklejona perła. Większość policjantów dokonujących rewizji darzy szacunkiem przedmioty religijnego kultu, chyba że istotnie dopatrzą się w nich czegoś podejrzanego. — Pan na to liczył. Łamałem sobie głowę, w jaki sposób *mademoiselle* Southwood przesłała panu imitację naszyjnika. Musiała zapewne to zrobić, ponieważ przybywał pan wprost z Majorki otrzymawszy wiadomość, że Linnet Doyle będzie tu bawić w czasie podróży poślubnej. Moją teorią jest, że naszyjnik przysłano w książce, w kwadratowym otworze wyciętym w stronicach w samym środku. Książki wysyłane są w opaskach, z widocznymi brzegami, toteż niezmiernie rzadko zagląda się na poczcie do wnętrza przesyłki.

Zapadła cisza i to na długo. Tim powiedział cicho:

— Wygrał pan! Piękna to była zabawa, ale się w końcu urwała. Widzę, że nie ma teraz innego wyjścia, jak zażyć moje lekarstwo.

Poirot pokiwał łagodnie głową.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że widziano pana owej nocy?

— Widziano?

— Tak. Tej nocy, kiedy zginęła Linnet Doyle, ktoś widział, jak pan wychodził z jej kajuty tuż po pierwszej.

— Jak to? Nie uważa pan chyba, że... Nie, ja jej nie zabiłem. Przysięgam! Znalazłem się w straszliwych opałach. Że też wybrałem tę właśnie noc! Boże, jakie to było straszne!

— Musiał pan zapewne przeżyć niejeden ciężki moment. Ale teraz, skoro już prawda wyszła na jaw, być może będzie pan mógł nam pomóc. Czy *madame* Doyle żyła, czy nie, gdy pan kradł te perły?

— Nie wiem — powiedział Tim ochrypłym głosem. — Klnę się na Boga, panie Poirot, że lego nie wiem. Wybadałem, że kładzie na noc te perły na stoliku przy łóżku. Wśliznąłem się więc do kajuty, bardzo delikatnie wyszukałem je po omacku, zabrałem, położyłem te drugie i wymknąłem się na pokład. Byłem przekonany, naturalnie, że śpi.

— Słyszał pan, jak oddycha? Z pewnością musiał pan to słyszeć.

Tim myślał intensywnie.

— Było naprawdę bardzo cicho. Nie przypominam sobie jednak, bym słyszał jej oddech.

— Był tam może zapach dymu, który się zawsze unosi w powietrzu świeżo po wystrzale?

— Zdaje się, że nie. Tego nie pamiętam.

Poirot westchnął.

— Nie posunęliśmy się więc ani o krok dalej.

— Kto mnie widział? — spytał zaciekawiony Tim.

— Rozalia Otterbourne. Przechodziła właśnie na drugą stronę statku i widziała, jak pan wyszedł z kajuty Linnet Doyle i powrócił do swojej.

— Więc to ona wam powiedziała?

— Przepraszam — rzekł mu na to łagodnie Poirot. — Ona nam tego nie mówiła.

— Wobec tego skąd pan wie?

— Jestem Herkules Poirot i nie muszę wszystkiego dowiadywać się od ludzi. Kiedy ją w tej sprawie badałem, wie pan, co mi odpowiedziała? „Nie widziałam nikogo”. Oczywiście skłamała.

— Ale po co?

— Gdyż sądziła — odpowiedział Poirot chłodnym tonem — że osoba, którą widziała, jest mordercą. To całkiem prawdopodobne, nie sądzi pan?

— Tym bardziej więc miała powody, by panu o tym powiedzieć.

Poirot wzruszył ramionami.

— Wygląda na to, że była innego zdania.

— To bardzo niezwykła dziewczyna — odezwał się Tim z jakąś dziwną nutą w głosie. — Musiała przeżyć немало strasznych chwil z taką matką.

— Tak, nie miała łatwego życia.

— Biedaczka — mruknął Tim. Następnie spojrzał w stronę Race'a.

— Dokąd się teraz udamy, proszę pana? Przyznaję się do zabrania z kajuty pani Doyle pereł, które znajdują się teraz tam, gdzie pan Poirot dokładnie określił. Jestem winien. Ale nie przyznaję się do niczego, jeśli chodzi o Joannę Southwood. Nie macie przeciwko niej żadnego dowodu. Moja to sprawa, w jaki sposób wszedłem w posiadanie fałszywego naszyjnika.

— Postępowanie bardzo na miejscu — zauważył Poirot.

— Jak na dżentelmena przystało! — rzekł z przebłyskiem humoru Tim i dodał: — Może pan sobie wyobrazić, jak mnie to złościło, gdy widziałem, jak moja matka przywiązuje się do pana. Nie jestem aż tak zatwardziały przestępcą, by mi sprawiało przyjemność siedzieć ramię w ramię obok bardzo znakomitego detektywa tuż przed wykonaniem bardzo ryzykownego „skoku”. Niektórzy to by chyba wykorkowali ze strachu. Ja nie. Ale szczerze mówiąc mróz mi przechodził po kościach.

— Jednak nie powstrzymało to pana od tego wyczynu?

Tim wzruszył ramionami.

— Nie mogłem aż w takim stopniu stchórzyć. Musiałem na tym statku dokonać któregoś dnia zamiany i właśnie nadarzała mi się wyjątkowa okazja: o dwoje drzwi zaledwie oddalona kajuta Linnet, a ona sama tak zaprzątnięta własnymi troskami, że mogłaby wcale nie dostrzec zamiany.

— Ciekaw jestem, czy naprawdę tak było? Tim rzucił mu ostre spojrzenie.

— Co pan przez to rozumie? Poirot nacisnął dzwonek.

— Zamierzam prosić pannę Otterbourne, by tu na chwilę przyszła.

Tim zmarszczył czoło, ale nie powiedział słowa. Zjawił się steward, odebrał polecenie i poszedł je wypełnić.

Po paru minutach weszła Rozalia. Jej oczy zaczerwienione po niedawnym płaczu rozszerzyły się nieco na widok Tima, ale wyraźnie znikła z jej zachowania dawna nieufność i wrogość. Usadowiła się na krześle i z niespotykaną u niej dotąd pokorą spojrzała najpierw na Race'a, a potem na Poirota. — Bardzo przepraszam, że panią trudziliśmy — powiedział łagodnie Race. Był trochę zły na Poirota.

— Nie szkodzi — odpowiedziała smutnym głosem.

— Trzeba koniecznie wyjaśnić parę punktów — rzekł Poirot. — Kiedy pytałem, czy nie widziała pani nikogo po prawej burcie o pierwszej minut dziesięć nad ranem, to mi pani odpowiedziała, że nikogo. Szczęściem udało mi się odkryć prawdę bez pani pomocy. Pan Allerton przyznał się oto, że był tamtej nocy w kajucie pani Linnet Doyle.

Rzuciła w stronę Tima szybkie pytające spojrzenie. Tim potwierdził to krótkim skinieniem głowy, a twarz miał nieruchomą i zasepioną.

— Czy podany czas się zgadza, panie Allerton?

— Tak, całkowicie.

Rozalia wpatrywała się w Tima. Miała rozchylone usta i drżały jej wargi.

— Ale pan chyba...

— Nic zabiłem jej — oświadczył Tim krótko. — Jestem złodziejem a nie mordercą. To wszystko i tak zostanie ujawnione, więc mogę już o tym panią zawiadomić. Chodziłem tam po perły.

— Pan Allerton oświadczył tu nam, że poszedł do kajuty pani Doyle tamtej nocy, by podłożyć naszyjnik fałszywych pereł na miejsce prawdziwych — wyjaśnił Poirot.

— Naprawdę pan to zrobił? — spytała Rozalia patrząc w oczy Timowi poważnie, smutno i jakby dziecinnie.

— Tak — odrzekł.

Zapadło milczenie. Pułkownik Race poruszył się niespokojnie.

— Mamy oto — rzekł Poirot dziwnym tonem — wersję wydarzeń pana Allertona, częściowo potwierdzoną przez pani zeznanie. Istnieje zatem dowód, że był on w kajucie Linnet Doyle minionej nocy, ale nie mam dowodu, w jakim to zrobił celu.

Tim spojrzał na Poirota ze zdumieniem.

— Przecież pan już wie?

— Mianowicie co?

— No... że ja mam te perły.

— *Mais oui, mais oui!* Wiem, że ma pan te perły, ale nie wiem, kiedy je pan wziął. Mógł pan tam być przedostatniej nocy. Powiedział pan przed chwilą, że Linnet Doyle nie zauważyłaby tej zamiany. Nie mam co do tego pewności. Przypuśćmy jednak, że odkryła... Przypuśćmy nawet, że wiedziała, kto to zrobił. Przypuśćmy, że zeszłego wieczoru groziła ujawnieniem całej tej sprawy i był pan przekonany, iż groźbę swą spełni. Przypuśćmy też, że był pan świadkiem awantury, jaka wybuchła w salonie między Jacqueline de Bellefort a panem Simonem Doylem i zaraz, gdy tylko salon opustoszał, pan się tam wśliznął, zabrał pistolet, a potem, w godzinę później, kiedy statek pogrążony był w ciszy, zakradł się pan do kajuty Linnet Doyle i skutecznie zapobiegł ujawnieniu tej sprawy na przyszłość...

— O. Boże mój! — wyrzekł Tim. W jego poszarzałej twarzy dwoje zbolałych, śmiertelnie udręczonych oczu patrzyło niemo na Poirota.

— Ale ktoś jeszcze pana widział — mówił dalej Poirot. — Pokojówka Luiza. Przyszła nazajutrz do kajuty i pana zaszantażowała. Kazała sobie słono zapłacić, bo inaczej ujawni to, co widziała. Zdawał pan sobie sprawę, że ugiąć się przed szantażem, to początek końca. Toteż udawał pan, że się zgadza, i umówił się, że przyjdzie z pieniędzmi do jej kajuty na krótko przed lunchem. Dźgnął ją pan nożem w chwili, gdy przeliczała pieniądze. Ale pech nadal pana prześladował. Ktoś widział, jak pan wchodził do kajuty Luizy. — Tu Poirot obrócił się częściowo w stronę Rozalii. — To właśnie matka pani. Raz jeszcze został pan zmuszony do działania, niebezpieczne to było, ale nie miał pan innej szansy. Słyszał pan, jak Pennington opowiadał o swym rewolwerze. Pognał pan do jego kajuty, wy dostał rewolwer, po czym stanął nad słuchując pod kajutą Bessnera i zastrzelił madame Otterbourne, nim zdążyła wypowiedzieć pańskie nazwisko.

— Nie! — krzyknęła Rozalia. — On tego nie zrobił! To nieprawda!

— Następnie, uczynił pan jedyną rzecz, jaką mógł zrobić w danej chwili. Pognał pan na rufę. Kiedy biegłem w tamtą stronę, pan już zawrócił i udawał, że właśnie nadchodzi z przeciwka. Rewolwerem posługiwał się pan w rękawiczkach, które były w pańskiej kieszeni, gdy się o nie zwróciłem z prośbą do pana...

— Przysięgam przed Bogiem, że to nieprawda, zupełna nieprawda — powiedział Tim głosem drżącym i słabym, który nie brzmiał przekonywająco. I właśnie wtedy Rozalia wprawiła ich w zdumienie.

— Oczywiście, że to nieprawda! — rzekła. — I pan Poirot o tym wie! Ale tak mówi dla pewnych własnych celów...

Poirot popatrzył na nią. Lekki uśmiech pojawił się mu na ustach. Uniósł w górę ramiona, na znak, że się poddaje.

— Ależ z pani mądra dziewczyna! Przyzna jednak pani, że z ręcznie to wymyśliłem.

— Co u licha!... — odezwał się Tim, w którym zaczął rosnać gniew, ale Poirot uniósł do góry rękę.

— Jest to całkiem z ręcznie skonstruowane przeciwko panu oskarżenie. Chciałbym, aby pan to sobie uświadomił. A teraz przejdę do przyjemniejszych rzeczy. Dotąd jeszcze nie obejrzałem tego różańca w pańskiej kajucie. Ale, być może, niczego tam w ogóle nie znajdę. A wtedy, ponieważ *mademoiselle* uparcie twierdzi, że nie widziała nikogo na pokładzie owej nocy, *eh bien\**, obciążające pana poszlaki w ogóle przestają istnieć. Perły wzięła osoba chora na kleptomanię i wkrótce potem je zwrócono. Gdyby pan chciał obejrzeć je z *mademoiselle*, to są w pudełeczku na stole, przy drzwiach.

Tim podniósł się. Stał przez chwilę i nie był w stanie wypowiedzieć słowa. A kiedy przemówił, zabrzmiało to trochę, jak się zdaje, bezsensownie, ale całkiem możliwe, że słowa jego zadowolily tych, którzy go słuchali.

— Dziękuję — powiedział. — Nie będzie pan musiał dawać mi drugiej szansy.

Otworzył drzwi przed dziewczyną, przepuścił ją, by szła przodem, zabrał ze stołu tekturowe pudełeczko i poszedł za Rozalią.

Szli ramię w ramię. Tim otworzył pudełko, wyjął sznur fałszywych pereł i cisnął go, hen daleko, do Nilu.

— Nareszcie! — powiedział. — Już ich nie ma. Kiedy będę zwracał to pudełko Poirotowi, będzie tam już prawdziwa kolia. Straszny był ze mnie głupiec!

— Dla jakich powodów zaczął pan robić takie rzeczy? — spytała Rozalia smutnym głosem.

— Chce pani wiedzieć, jak do tego doszło? Naprawdę nie umiem powiedzieć. Może z nudy, być może z lenistwa lub tak dla zabawy. To ciekawszy sposób zarabiania na życie niż jakieś tam dobijanie się o posiadę. Dość ohydnie to brzmi dla pani, przypuszczam, ale proszę zrozumieć, że była w tym jakaś atrakcja, przede wszystkim ryzyko.

— Ja to doskonale rozumiem.

— No tak. Ale nigdy by pani czegoś takiego nie zrobiła.

Rozalia zastanawiała się nad tym parę minut, a potem smutno zwiesiła głowę.

— Nie — powiedziała z prostotą. — Nie zrobiłabym tego...

— Ach, moja droga. Jaka pani jest miła... wprost niezwykle! Dlaczego nie chciała pani powiedzieć, że mnie widziała zeszłej nocy?

— Sądziłam, że zaczną pana podejrzewać — odrzekła.

— A pani mnie podejrzewała?

— Nie. Nie mogłam uwierzyć, by mógł pan kogoś zabić.

— I słusznie. Lichy ze mnie materiał na mordercę. Jestem zaledwie mizernym złodziejaszkiem.

Rozalia wyciągnęła nieśmiało rękę i położyła ją na ramieniu Tima.

— Przestańmy już o tym mówić.

Złapał ją za rękę i zatrzymał w swej dłoni.

— Rozalio, czy zechciałabyś... wiesz, co mam na myśli? Czy też będziesz mną zawsze gardzić i okrutnie mi to wszystko wypominać?

Uśmiechnęła się blado.

— Są rzeczy, które ty także mógłbyś mi okrutnie wypominać...

— Rozalio, kochana moja!...

Ale dziewczyna jeszcze się nad czymś zastanawiała.

— Czy to Joanna?...

— Joanna? — wykrzyknął Tim. — Jesteś tak samo niedobra, jak moja matka. Joanna zupełnie mnie nie obchodzi. Ma końską twarz i chciwość w oczach. Całkiem niepociągająca kobieta!

— Twoja matka nie powinna nigdy się o tym dowiedzieć — powiedziała nagle Rozalia.

— Ja tak nie sędzę — odrzekł w zamyśleniu Tim. — Chyba powiem jej o tym. Jest taka wyrozumiała. Potrafi wczuć się w każdą sytuację. Oczywiście zburzy to jej matczyne złudzenia. Odczuje taką ulgę, kiedy się dowie, że moje kontakty z Joanną dotyczyły wyłącznie spraw finansowych, że z pewnością przebaczy mi inne rzeczy.

Poszli we dwoje do kajuty pani Allerton. Tim zapukał energicznie. Pani Allerton otworzyła drzwi i stanęła na progu.

— Rozalia i ja... — zaczął Tim i zamilkł.

— Kochani! — powiedziała. Objęła ramionami Rozalię. — Moje miłe dziecko... Ciągle miałam nadzieję... ale Tim był zawsze tak nieznośny i udawał, że mu się nie podobasz. Ale ja oczywiście przeniknęłam go... na wskroś.

— Pani była zawsze dla mnie taka dobra... Marzyłam nieraz, że...

Zamilkła i rozplakała się ze szczęścia w ramionach pani Allerton.





# Rozdział XXVIII

Kiedy za Timem i Rozalią zamknęły się drzwi, Poirot rzucił w stronę Race'a przepaszające spojrzenie. Pułkownik był wyraźnie w bardzo ponurym nastroju.

— Zgadza się pan na ten mój mały układ, prawda? — zapytał Poirot z prośbą w głosie. — To jest wbrew regułom, wiem o tym, ale szczęście ludzkie zawsze mi bardzo leży na sercu.

— Ludzkie tak, ale nie moje — odrzekł Race.

— Tyle mam dla tej *jeune fille*\* sympatii, a ona tak kocha tego młodzieńca. To będzie doskonałe małżeństwo, dziewczyna ma w sobie hart, którego Tim potrzebuje, jest lubiana przez jego matkę, więc wszystko układa się jak najlepiej.

— Widać samo niebo i Herkules Poirot zaaranżowało to małżeństwo. Ja zaś tylko będę musiał świadomie zataić pewne przestępstwo.

— Ależ, *mon ami*, wszak mówiłem, że to był tylko domysł z mej strony.

Nagle Race się uśmiechnął.

— Jeśli tak, to wszystko w porządku. Nie jestem, dzięki Bogu, bezdusznym policjantem! Żywię przekonanie, że młodzieniec pójdzie prostą drogą. Dziewczyna jest ogromnie rzetelna. Ja się tylko skarżę na sposób, w jaki pan mnie traktuje. Jestem cierpliwym człowiekiem, ale cierpliwość ma swoje granice! Pan wie, kto popełnił te trzy morderstwa na statku, prawda?

— Tak, wiem.

— To po co ta cała komedia z dochodzeniem?

— Panu się zdaje, że ja sobie robię zabawę z drugorzędnych poszlak. To nawet trochę pana złości. Ale sprawa ma się zupełnie inaczej.

Pewnego razu uczestniczyłem służbowo w wyprawie archeologicznej i nauczyłem się tam jednej rzeczy. Jeśli się coś wyłoni z ziemi podczas prowadzonych wykopalisk, to bardzo starannie czyści się teren wokół tej rzeczy. Wybiera się zbędną ziemię, oskrobuje tu i ówdzie przedmiot ten nożem, aż oczyszczony z zewnętrznej warstwy, ukaże się w całej swej krasie, gotowy do opisu i fotografii.

Do tego właśnie dążę: usunąć zbędne naleciałości, abyśmy mogli dojrzeć prawdę, nagą prawdę w całej jej okazałości.

— Zgoda — odpowiedział Race. — Przyjrzyjmy się więc tej nagiej prawdzie w całej okazałości. To nie był Pennington. Nie był to także młody Allerton. Mniemam, że to nie Fleetwood. Posłuchajmy

więc teraz, kim jest ta osoba.

— Właśnie zamierzam, drogi przyjacielu, powiedzieć ci, kto nią jest.

Rozległo się pukanie do drzwi. Race zaklął pod nosem. Przyszedł doktor Bessner z Kornelią, która była wyraźnie zgnębiona.

— Pułkowniku Race! — wykrzyknęła. — Panna Bowers powiedziała mi właśnie o kuzynce Marii. Był to dla mnie wielki wstrząs. Stwierdziła, że nie może sama jedna dźwigać dalej odpowiedzialności, toteż lepiej będzie, gdy się o tym dowiem, ponieważ jestem przecież członkiem rodziny. Z początku nie mogłam w to uwierzyć, ale ten oto doktor Bessner okazał się doprawdy nadzwyczajny...

— Ach, nie skądże! — zaprotestował skromnie doktor. — ...Był taki dobry i wyjaśnił mi, na czym to wszystko polega i dlaczego ludzie naprawdę nie mogą się od tego powstrzymać. On też miewa w swej klinice osoby chorujące na kleptomanię. Wy tłumaczył mi także, w jaki sposób przyczynia się do tej choroby głęboko rozwinięta neuroza.

W głosie Kornelii czuło się zachwyt.

— Jest głęboko zakorzeniona w podświadomości, czasami przyczyną bywa jakiś drobiazg, który zdarzyć się mógł w dzieciństwie. Doktor leczył pacjentów nakazując im, by się cofnęli wspomnieniami i właśnie ten drobiazg sobie przypomnieli.

Zamilkła, nabrała tchu i zaczęła na nowo:

— Okropnie się martwię, że to się może wydać. Aż strach, co by się działo w Nowym Jorku. Przecież to może się dostać do gazet! Kuzynka Maria, moja matka i reszta nie mogłyby już nigdy spojrzeć ludziom w oczy.

— Niech pani będzie spokojna — odrzekł Race. — Zamkniemy to na siedem zamków i pieczęci.

— Przepraszam, nie rozumiem, pułkowniku Race.

— Chciałem przez to powiedzieć, że wszystko, co nie ma związku z morderstwami, zostanie przemilczane.

— Ach! — Kornelia aż zaklaskała. — Co za ulga! A tak się bez przerwy martwiłam.

— Ma pani zbyt czułe serce — odpowiedział doktor Bessner, poklepał ją dobrotliwie po ramieniu i dodał zwracając się do obydwu panów: — Kornelia ma bardzo wrażliwą i szlachetną naturę!

— Naprawdę? O, jak to miło z pana strony! — zawołała dziewczyna.

— Widziała się pani jeszcze z Fergusonem? — spytał Poirot.

Kornelia spłonęła rumieńcem.

— Nie. Za to kuzynka Maria ciągle o nim mówi.

— Zdaje się, że to bardzo dobrze urodzony młodzieniec — stwierdził doktor Bessner. — Muszę przyznać, że na to nie wygląda. Ma straszne ubrania. W ogóle nie sprawia wrażenia dobrze wychowanego człowieka.

— A co pani sądzi, *mademoiselle*?

— Moim zdaniem, on ma po prostu niedobrze w głowie.

— Jak się miewa pacjent? — rzekł Poirot zwracając się do Bessnera.

— Ach, wprost znakomicie. Właśnie zapewniałem co do tego *Fräulein* de Bellefort. Czy pan uwierzy, że ona była w rozpaczy? Tylko dlatego, że to chłopisko miało po południu trochę gorączki. Przecież to całkiem naturalna rzecz! Natomiast zdumiewające jest to, że wysoka temperatura już spadała. No tak. Ma w sobie coś z naszych chłopów; mocne zdrowie, jak u konia. Widziałem nieraz u nich głębokie zranienia, na które nawet nie zwracali uwagi. Podobnie jest z panem Doylem. Puls ma wyrównany, temperaturę nieco powyżej normy. Mogłem więc uciszyć niepokoje tej młodej damy. Pomimo wszystko, to jest zabawne, *nicht wahr?*\* Tu strzela do człowieka, a za chwilę popada w histerię na myśl, że coś może zagrażać jego zdrowiu.

— Wie pan, ona go straszliwie kocha — rzekła Kornelia.

— Ale gdzież rozsądek? Jeśli pani kochałaby kogoś, to strzelałaby do niego? Wątpię, bo pani jest rozsądna.

— Nie bardzo mi się podobają takie rzeczy, gdzie dochodzi do strzelaniny!

— No właśnie. Tak też uważam. Pani jest bardzo kobieca.

— Skoro Doyle czuje się dobrze — wtrącił Race kładąc kres dalszej wymianie pochwał — pójdziemy do niego, dokończyć naszą przedpołudniową rozmowę. Mówił mi właśnie o telegramie.

Zwalista postać doktora Bessnera zakołysała się lekko.

— Ha, ha, ha, ależ to śmieszna historia! Doyle mi już mówił o tym telegramie. Była w nim mowa tylko o jarzynach, kartoflach, karczochach, porach... Ach, co się stało?

Race aż usiadł tłumiąc okrzyk zdumienia.

— Na Boga! — rzekł. — To właśnie to! Richetti! Ujrzał naprzeciw siebie trzy zupełnie niczego nie rozumiejące twarze.

— To nowy kod. Używany przez rebeliantów w południowej Afryce. Kartofle — oznaczają karabiny maszynowe, karczochy — silne środki wybuchowe i tak dalej. Richetti jest takim samym archeologiem, jak ja. To bardzo groźny agitator, ma parę zabójstw na swym koncie, gotów jestem przysiąc, że się nie zawahał przed następnym. Pani Doyle otworzyła ten telegram przez pomyłkę.

Wiedział, że jest „spalony”, jeśli pani Doyle powtórzy mi przypadkiem treść telegramu. Czy to aby nie Richetti jest właśnie tą poszukiwaną osobą? — rzekł do Poirota.

— Poszukiwaną, ale przez pana. Zawsze mi się wydawało, że coś jest z nim nie w porządku. Był niemal aż przesadnie doskonały w swej roli. Istna encyklopedia archeologii, a nie żywa istota. — Przerwał na moment, a potem dodał: — Ale to nie Richetti zabił panią Doyle. Do pewnego czasu była mi znana tylko, że użyję określenia, „pierwsza połowa” mordercy. Teraz znam już i „drugą połowę”. I chociaż wiem, co się przypuszczalnie mogło wydarzyć, to jednak nie posiadam dowodu na to, że się to istotnie wydarzyło. Rozumie pan? W świetle logiki wygląda to na rzecz całkowicie możliwą, ale praktycznie jest głęboko nieprzekonywające. Jedyna nasza nadzieja to wyznanie samego mordercy. Doktor Bessner sceptycznie wzruszył ramionami.

— Musiałby chyba zdarzyć się cud.

— Nie sędzę. Wszystko zależy od okoliczności.

— Kto to jest? Czy panowie nam powiedzą?

Poirot przyjrzał się spokojnie swym trzem rozmówcom. Race uśmiechnął się sardonicznie, Bessner nadal tchnął sceptycyzmem, Kornelia otworzywszy lekko usta wpatrywała się w detektywa z całą powagą.

— *Mais oui* — rzekł do nich. — Muszę przyznać, że lubię mieć audytorium. Jestem próżny, jak wam wiadomo. Zarozumiałstwo aż ze mnie bije. Przyjemnie mi jest, jak mówią: „Ależ ten Herkules Poirot jest mądry”.

Race poruszył się w krześle.

— Właśnie — spytał łagodnie — więc jak mądry jest ten Herkules Poirot?

— Zaczniemy od tego, że byłem głupi, bezdennie głupi — odpowiedział Poirot kręcąc głową to w jedną, to w drugą stronę. — Zaprzątnąłem sobie głowę tym pistoletem Jacqueline de Bellefort. Dlaczego nie został na miejscu zbrodni? Wydawało się jasne, że morderca zmierzał do tego, by podejrzenie padło na Jacqueline. Zatem dlaczego sprzątnął pistolet? Byłem do tego stopnia głupi, że wymyślałem najróżniejsze fantastyczne przyczyny. A tymczasem prawdziwa przyczyna była całkiem prosta. Morderca zabrał pistolet, ponieważ musiał to zrobić, gdyż w tej sytuacji nie miał innego wyjścia!

# Rozdział XXIX

— Zaczęliśmy wspólnie z moim przyjacielem — tu Poirot skłonił się w stronę Race'a — prowadzić śledztwo, opierając się na powziętej z góry koncepcji morderstwa. Naszym zdaniem morderstwa dokonano pod wpływem chwilowego impulsu, bez uprzedniego planowania. Ktoś pragnął usunąć Linnet Doyle i skorzystał z okazji, by je popełnić w takim momencie, żeby zbrodnia ta została wyłącznie przypisana Jacqueline de Bellefort. Stąd przypuszczenie, że osoba ta była świadkiem awantury między Jacqueline a Simonem Doylem i przywłaszczyła sobie pistolet, gdy już w salonie nikogo nie było.

Skoro jednak, przyjaciele, ta z góry powzięta koncepcja okazała się pomyłką, to zmieniał się też aspekt całej sprawy. Nie było to wcale morderstwo pod wpływem chwilowego impulsu, ale wprost przeciwnie — bardzo starannie zaplanowana zbrodnia, dokładnie wyliczona w czasie, ze szczegółami wypracowanymi dokładnie na długo przed terminem, łącznie z wsypaniem Poirotowi środka nasennego do butelki z winem.

Bo o to właśnie chodziło. Uśpić mnie, żebym nie miał sposobności uczestniczyć w wydarzeniach owej nocy. Przyznam, że nawet brałem taką możliwość pod uwagę. Ja pijam stale wino, z moich towarzyszy przy stole jedno pije wodę mineralną, a drugie whisky z wodą sodową. Nic więc prostszego jak wsypać dozę nieszkodliwego narkotyku do mej butelki z winem, która przecież stoi na stole przez cały dzień. Ale odrzuciłem tę myśl. Mieliśmy bardzo upalny dzień, ja się ogromnie zmęczyłem, toteż nie było istotnie nic nadzwyczajnego w tym, że zapadłem od razu w mocny sen i nie spałem tak lekko jak zazwyczaj!

Ciągle jeszcze tkwiłem w ryzach tej z góry założonej koncepcji. Odurzenie mnie narkotykiem znamionowałoby premedytację, oznaczałoby, że przed godziną siódmą trzydzieści, kiedy podają obiad, morderstwo było już zaplanowane, co z kolei (ciągle jeszcze z punktu widzenia założonej uprzednio koncepcji) było zupełnym absurdem.

Istotnym ciosem dla tej koncepcji było wyłowienie pistoletu z Nilu. W pierwszym bowiem rzędzie, gdyby nasze założenia były słuszne, pistolet ten nie powinien był w ogóle zostać wyrzucony za burtę... Potem doszło jeszcze więcej faktów.

Poirot zwrócił się w stronę Bessnera.

— Pan badał przecież ciało Linnet, doktorze. Pamięta pan, że na ranie były ślady poparzeń, co oznacza, że pistolet został przyłożony do ciała, nim jeszcze padł strzał?

— Tak istotnie było — potwierdził Bessner.

— Kiedy jednak odnaleziono pistolet, był on owinięty w aksamitny szal, którego wygląd wyraźnie wskazywał na to, że strzelano przez warstwę materiału, prawdopodobnie w przekonaniu, że zagłuszy to odgłos wystrzału. Ale gdyby strzelano z pistoletu przez warstwę materiału, nie byłoby na ciele

ofiary żadnych śladów poparzeń. Zatem Linnet Doyle nie zginęła od strzału oddanego poprzez fałdy szala. A może to panna de Bellefort właśnie postrzeliła w ten sposób Simona Doyle'a? Także nie. Było przy tym bowiem dwoje świadków, więc znamy wszystkie szczegóły. Wygląda więc na to, że padł trzeci jeszcze strzał, o którym nic nam nie było wiadomo.

W każdym razie, z danego pistoletu padły dwa strzały i nie było najmniejszej ani aluzji, ani sugestii co do trzeciego. Stanęliśmy twarzą w twarz wobec zadziwiającej i nie dającej się wytłumaczyć okoliczności. Następnym interesującym punktem był fakt znalezienia w kajucie Linnet Doyle dwóch buteleczek kolorowego lakieru do paznokci. W obecnych czasach panie bardzo często zmieniają kolor paznokci, ale paznokcie Linnet Doyle były zawsze i niezmiennie w odcieniu zwanym Kardynalska Purpura, to jest w głębokim ciemnoczerwonym kolorze. Na drugiej buteleczce był napis: „Róża”, który to lakier ma kolor blad różowy, ale parę kropeł pozostałych na dnie miało nie blad różowy, lecz jasnoczerwony kolor.

Zadziwiło mnie jeszcze bardziej, kiedy odkręciłem korek i powąchałem. Zamiast jak zwykle mocnego zapachu landrynek, buteleczka pachniała octem. Wynikało z tego, że parę kropli płynu, który tam się znajdował, to zwykły czerwony tusz. Być może czerwony tusz był *madame* Doyle do czegoś potrzebny, ale w takim wypadku trzymałaby go najnormalniej w odpowiedniej butelce, ale nie w tej od lakieru. Wskazywało to na pewien związek z lekko poplamioną chusteczką, w którą owinięty był pistolet.

Czerwony tusz zmywa się lekko, ale zawsze pozostawia blad różową plamę. Byłbym z pewnością doszedł prawdy, nawet posługując się tak nikłą wskazówką, ale właśnie zdarzyło się coś, co odsunęło w cień wszystkie moje uprzednie wątpliwości. Luizę Bourget zamordowano w okolicznościach, które bez żadnej wątpliwości wskazywały, że próbowała szantażować mordercę. Prócz tego, że w jej zaciśniętej dłoni sterczał nadal kawałek tysiącfrankowego banknotu, w pamięci mej tkwiły także bardzo znaczące słowa, których użyła z rana.

Proszę słuchać uważnie, gdyż w nich kryje się sedno sprawy. Kiedy ją spytałem, czy coś może widziała poprzedniej nocy, udzieliła mi na to bardzo dziwnej odpowiedzi. „Oczywiście, gdybym nie mogąc zasnąć poszła w górę po schodach, wówczas być może zobaczyłabym tego mordercę, potwora, jak wchodzi czy też wychodzi z kajuty mej pani...” Co też nam ona dokładnie powiedziała?

Bessnerowi aż nos się zmarszczył od intensywnego myślenia.

— Chciała powiedzieć, że istotnie weszła po schodach — odpowiedział bez cienia wahania.

— Niestety! Nie udało się panu chwycić istoty rzeczy. Dlaczego Luiza powiedziała to do nas?

— By ukryć aluzję?

— Wobec nas? Po co?

— Jeśli wiedziała, kim jest morderca, miała przed sobą dwie drogi do wyboru: albo powiedzieć nam prawdę, albo trzymać język za zębami i zażądać pieniędzy za milczenie od zainteresowanej osoby. Ale nie zrobiła ani jednego, ani drugiego. Nie oświadczyła wprost: „Zasnąłam. Nikogo nie

widziałam”. Ani też nie powiedziała: „Tak, widziałam kogoś, a było to tak i tak...” Plotła natomiast takie znaczące, a mało precyzyjne koszałki–opałki. *Parbleu!*\* Powód może być tylko jeden! Robi aluzję wobec mordercy, dlatego więc morderca musiał być wówczas przy tym obecny. Ale prócz mnie i pułkownika Race’a były tam obecne jeszcze tylko dwie osoby: Simon Doyle i doktor Bessner.

Doktor ryknął i zerwał się na równe nogi.

— Co pan takiego powiedział? Pan mnie oskarża? Znowu? To jest śmieszne! Poniżej wszelkiej krytyki!

— Proszę się uspokoić. Mówię panu to, co mi się wtedy zdawało. Potraktujmy to jako przykład.

— Ależ pan Poirot teraz już tak nie myśli — powiedziała Kornelia chcąc ułagodzić Bessnera.

— Zatem jeden z dwóch: Simon Doyle albo Bessner — mówił dalej Poirot. — Ale jakie powody miał Bessner, by zabijać Linnet Doyle? O ile mi było wiadomo, to żadnych. Wobec tego Simon Doyle? Ale to niemożliwe! Było mnóstwo świadków gotowych przysiąc, że Doyle siedział w salonie przez cały wieczór, do samego wybuchu kłótni. Zaraz potem został postrzelony, a wtedy stało się to wprost fizyczną niemożliwością, by mógł dokonać morderstwa. Czy miałem na te dwie okoliczności wystarczająco pewne dowody? Tak. Miałem oświadczenie panny Robson, Jima Fanthorpa i Jacqueline de Bellefort co do pierwszej i urzędowe orzeczenie specjalistów, doktora Bessnera i panny Bowers, co do drugiej sprawy. Wykluczało to wszelkie wątpliwości. Toteż winnym być musi doktor Bessner. Teorię tę potwierdzał fakt, że dziewczynę zabito skalpelem. Z drugiej zaś strony to właśnie doktor Bessner celowo zwrócił na ten fakt uwagę.

I tak oto, drodzy przyjaciele, pojawił się drugi fakt wprost niemożliwy do podważenia. Aluzja zrobiona przez Luizę Bourget nie mogła się odnosić do doktora Bessnera, ponieważ dziewczyna mogła przecież odbyć z nim rozmowę na osobności o każdej porze dnia. Istniała tylko jednak osoba, jedna jedyna, która odpowiadała jej potrzebom — Simon Doyle! Był ranny, stale pod dozorem lekarza, w którego kajucie zresztą przebywał. I to właśnie ze względu na Simona Doyle’a podjęła Luiza Burget ryzyko wypowiedzenia owych znaczących słów, na wypadek, gdyby się jej nie nadarzyła żadna inna sposobność.

Pamiętam nawet, jak zwracając się do niego powiedziała: „Niech mnie pan zrozumie! Co ja mam powiedzieć?” Pamiętam też jego odpowiedź: „Moja droga, nie bądź głupia. Nikt cię nie posądza, że coś widziałaś lub słyszałaś. Nie obawiaj się niczego. Będiesz pod moją opieką. Nikt cię o nic nie oskarża”. To było zapewnienie, którego potrzebowała i które dostała.

Bessner wydał z siebie przeraźliwie głośne chrząknięcie. — Nie, to jest głupie. Uważa pan, że człowiek z naruszoną kością i z nogą w łubkach może chodzić po statku i sztyletować ludzi? Powiadam panu, że to niemożliwe, aby Simon Doyle wyszedł z kajuty.

— Wiem — odrzekł spokojnie Poirot. — To prawda. Jest niepodobieństwem, a jednak się zdarzyło. Bo w taki sposób da się odczytać logicznie znaczenie słów Luizy.

Toteż cofnąłem się do samego początku sprawy i rozważyłem raz jeszcze tę zbrodnię w aspekcie

świeżo zdobytych faktów. Czy możliwe, aby w okresie poprzedzającym kłótnię Simon Doyle opuścił salonik, a inni nie pamiętali już tego lub nawet nie zauważyli? Nie sądziłem, aby to było możliwe. Czy można zakwestionować urzędowe oświadczenie doktora Bessnera i *mademoiselle* Bowers? Znowu byłem tego najzupełniej pewien, że nie. Przypomniałem sobie jednak, że była jakaś luka w czasie. Simon Doyle pozostał w salonie na pięć minut sam, a oświadczenie doktora Bessnera dotyczyło już późniejszego okresu. Na ową lukę w czasie mieliśmy tylko dowód w postaci złudzenia wzrokowego i chociaż pozornie było to całkiem oczywiste, w istocie przestało być pewne. Co właściwie takiego widziano, jeśli wykluczmy ową hipotezę.

*Mademoiselle* Robson widziała, jak *mademoiselle* de Bellefort strzeliła z pistoletu, zobaczyła jak pan Doyle pada na krzesło, przyciska chustkę do nogi i chustka ta powoli nasiąka czerwieńią. Co z kolei słyszał i widział *monsieur* Fanthorp? Usłyszał wystrzał i zastał Doyle'a przyciskającego pokrwawioną chustkę do nogi.

A co się potem stało? Doyle mocno nalegał, aby zabrać stamtąd *mademoiselle* de Bellefort i nie pozostawić jej samej bez opieki. Potem poprosił Fanthorpa, by odszukał doktora.

Wobec tego *mademoiselle* Robson i *monsieur* Fanthorp wyprowadzili *mademoiselle* de Bellefort i przez najbliższe pięć minut przebywali na pokładzie lewej burty. Po tej stronie bowiem znajduje się kajuta panny Bowers, doktora Bessnera i *mademoiselle* de Bellefort.

Simonowi Doyle'owi potrzeba tylko dwóch minut. Dobywa pistolet spod kanapy, ściąga z nóg pantofle, biegnie cicho jak zając od strony prawej burty, wchodzi do kajuty swej żony, skrada się ku niej pogrążonej w śnie, zabija ją strzałem w głowę, odkłada buteleczkę z czerwonym tuszem na umywalkę (by nie nosić jej przy sobie), wraca biegiem, wyciąga aksamitny szal *mademoiselle* Van Schuyler, który wepchnął był przedtem bezpiecznie za oparcie fotela, owija tym szalem pistolet i strzela z niego we własną nogę. Krzesło, na które pada (w prawdziwej tym razem męce) stoi tuż przy oknie. Podnosi ramę okienną i wyrzuca pistolet (owinięty w rzeczoną chusteczkę i aksamitny szal) do Nilu.

— To niemożliwe! — rzekł Race.

— A jednak, mój przyjacielu, możliwe. Proszę sobie przypomnieć zeznanie Tima Allertona! Słyszał jakiś plusk poprzedzony wystrzałem. Co więcej, słyszał jeszcze, jak ktoś przebiega obok drzwi. Ale przecież nikt w tym czasie nie mógł biec pokładem po prawej burcie? Allerton musiał więc słyszeć, jak Simon Doyle w skarpetkach przebiegał obok drzwi jego kajuty.

— Ciągle uważam to za niemożliwe — odezwał się Race. — Któż byłby w stanie obmyślić na poczekaniu taką kupę szczegółów, zwłaszcza osoba o niezbyt tęgim rozumie jak Doyle.

— Który natomiast jest szybki i sprawny w działaniu.

— To prawda. Ale nie potrafiłby za nic tego wszystkiego wykoncypować.

— On tego wszystkiego sam nie wykoncypował, drogi przyjacielu. To wyglądało na zbrodnię popełnioną pod wpływem chwilowego impulsu, ale nie była to zbrodnia popełniona w przyływie



chwilowego impulsu. Jak już mówiłem, było to dzieło doskonale obmyślane i zaplanowane. Nie przypadkiem też Simon Doyle miał w kieszeni buteleczkę z tuszem.

To musiało być z góry zaplanowane. Nie było też przypadkiem, że miał przy sobie zwykłą chusteczkę bez żadnych ozdób. Także nie przypadkiem Jacqueline de Bellefort wrzuciła kopnięciem pistolet pod kanapę, żeby do jakiegoś czasu nie leżał na wierzchu i żeby go nikt nie zauważył.

— Jacqueline?

— Oczywiście. To „druga połowa” mordercy. Kto zagwarantował Simonowi alibi? Strzał oddany przez Jacqueline. Kto zapewnił alibi Jacqueline? Naleganie Simona, pod którego wpływem pielęgniarka spędziła przy niej całą noc. Tutaj, u tych dwojga ludzi, znajdziecie wszystkie wymagane zalety: chłodny, przewidujący i rzutki umysł Jacqueline de Bellefort oraz niewiarygodną zwinność Simona, który potrafił to wszystko przeprowadzić i zsynchronizować w czasie z niesłychanym sprytem.

Wystarczy spojrzeć na to od właściwej strony, a na każdą kwestię znajdzie się odpowiedź. Simon Doyle i Jacqueline de Bellefort kochali się wzajemnie. Proszę sobie uświadomić, że się nadal kochają, a wszystko nagle staje się jasne.

Simon pozbywa się bogatej żony, dziedziczy jej majątek i we właściwym czasie poślubia Jacqueline, swą dawną ukochaną. Co za genialny pomysł. Prześladowanie *madame* Doyle przez Jacqueline to także część planu. Udawana przez Simona wściekłość...

A jednak były też i potknięcia... Rozprawiał pewnego razu przede mną na temat zaborczych kobiet, mówił o tym z prawdziwą goryczą. Powinienem był się wtedy domyślić, że miał na uwadze żonę, a nie Jacqueline. A teraz jego zachowanie się wobec żony w miejscach publicznych. Taki prosty i niezbyt wyrobiony Anglik, jak Simon Doyle, bardzo by się krępował okazywać publicznie jakiegokolwiek uczucia. Simon nie był znów takim dobrym aktorem. Przesadzał z tą całą adoracją. Potknięciem była też rozmowa Jacqueline ze mną, podczas której próbowała wmówić we mnie, że ktoś nas podsłuchiwał. Nikogo nic dostrzegłem. Bo nikogo tam nie było. Okazało się to bardzo użyteczną, zaplanowaną na przyszłość dywersją.

Pewnej nocy, już na statku, słyszałem, tak mi się zdawało, jak koło mojej kajuty Linnet Doyle rozmawia z Simonem, który rzekł: „Teraz już musimy przez to przebrnąć...”. Był to oczywiście Simon, ale mówił te słowa do Jacqueline.

Finał dramatu był doskonale zaplanowany w czasie i szczegółach. Pomyślano o środku nasennym dla mnie na wypadek, gdybym niepowołany chciał wetknąć swój nos w cudze sprawy. Z góry wybrano na świadka tej kłótni Kornelię Robson, zaplanowano wybuch kłótni, przesadnie okazywane wyrzuty sumienia i histerię *mademoiselle* de Bellefort. Robiła masę hałasu, aby nie słyhać było wystrzału.

*En verite*\* — to był nadzwyczaj mądry pomysł. Jacqueline powiada, że strzeliła do Simona, to samo mówi *mademoiselle* Robson i James Fanthorp także, a potem oględziny lekarskie nogi Simona też to potwierdzą.

To zdaje się niepodważalne! Nasza para ma doskonałe alibi, kosztem, co prawda, pewnej ilości bólu i ryzyka ze strony Simona, ale jest rzeczą konieczną, by rana pozbawiła go możliwości swobodnego poruszania się w sposób nic podlegający dyskusji.

I nagle coś się psuje. Luiza Bourget nie może zasnąć, wchodzi po schodach i widzi, jak Simon Doyle wbiega i wybiega z kajuty żony. Nic prostszego, jak połączyć te dwa fakty razem, nazajutrz po wypadkach. Chciwa Luiza zaraz żąda pieniędzy za milczenie i tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci.

— Przecież pan Doyle nie był w stanie jej zamordować? — zaoponowała Kornelia.

— Naturalnie. Dokonała tego partnerka Simona. Skoro tylko to było możliwe, Doyle objawia chęć porozmawiania z Jacqueline. Prosi mnie nawet, bym zostawił ich samych. Mówi jej wówczas o nowym zagrożeniu. Muszą działać natychmiast. Zna miejsce, gdzie Bessner chowa skalpel. Po dokonaniu morderstwa Jacqueline wyciera i odkłada skalpel na miejsce, a potem, spóźniwszy się nieco, trochę zdyszana wchodzi do jadalni.

Ale sprawy nadal źle stoją, gdyż *madame* Otterbourne widzi, jak Jacqueline wchodzi do kajuty Luizy Bourget. Nie zwlekając biegnie do Simona, by mu powiedzieć, że morderczynią jest Jacqueline. Czy pamiętacie, jak Simon wrzasnął na tę biedną kobietę? Uznaliśmy, że to nerwy. Ale on próbował tylko w ten sposób zawiadomić współniczkę o niebezpieczeństwie, korzystając z tego, że drzwi stały otworem. Usłyszała to i zrobiła swoje, z szybkością błyskawicy. Pamiętała, jak Pennington mówił o rewolwerze. Zdobyła ten rewolwer, przystanęła cichutko koło drzwi nasłuchując i w krytycznym momencie oddała strzał. Chwaliła się kiedyś, że doskonale strzela, a nie była to czcza przechwałka.

Po trzecim morderstwie nadmieniłem, że sprawca miał trzy drogi ucieczki. Mógł pobiec do końca pokładu (w takim razie zabójcą był Tim Allerton), mógł przeskoczyć przez balustradę (mało prawdopodobne) lub wejść do którejś z kajut.

Kajuta Jacqueline jest o dwie dalej od Bessnera. Wystarczyło jej czasu, by położyć rewolwer umknąć do swej kajuty, zmierzwić włosy i rzucić się na łóżko. Było to ryzykowne, ale zarazem jedyna realna szansa.

Zapadła cisza, po czym Race zapytał:

— A co się stało z pierwszą kulą po wystrzale oddanym przez Jacqueline?

— Myślę, że ugodziła w stół. Jest tam w nim świeży otwór. Doyle miał czas, moim zdaniem, wydłubać ją scyzorykiem i wyrzucić przez okno.

Miał także przy sobie zapasowy nabój, aby stworzyć pozory, że oddano dwa tylko strzały.

— Jak oni to wszystko wzięli pod uwagę — wykrzyknęła Kornelia. — Co za ohyda!

Poirot milczał. Choć nie było to skromne milczenie. Oczy jego zdawały się mówić: „Mylicie się. Oni nie wzięli pod uwagę Herkulesa Poirot”.

A na głos powiedział.

— Doktorze, a teraz pójdziemy na małą rozmowę z pacjentem.

# Rozdział XXX

Był już całkiem późny wieczór, gdy Herkules Poirot zapukał do drzwi kajuty.

Usłyszał „proszę wejść” i wszedł.

Jacqueline de Bellefort siedziała na krześle. Na drugim, tuż przy ścianie, rozsiadła się tęga stewardesa.

Oczy Jacqueline baczным spojrzeniem ogarnęły Poirota. Zrobiła gest ręką w stronę stewardesy.

— Czy ona może wyjść?

Poirot potaknął i stewardesa wyszła z kajuty. Przysunął wówczas krzesło i usiadł blisko Jacqueline. Miał smutek w twarzy.

W końcu pierwsza odezwała się dziewczyna.

— No cóż — rzekła. — Już po wszystkim. Przechytrzył nas pan!

Poirot westchnął. Rozłożył ręce. Zdawać się mogło, że oniemiał.

— A jednak, nie sędzę — powiedziała Jacqueline — by miał pan wiele dowodów. Miał pan rację, ale oczywiście mogliśmy wyprowadzić pana w pole...

— Tak czy owak, *mademoiselle*, stałoby się to, co się stało.

— Dla logicznie myślącego umysłu dowód to wystarczający, ale nic spodziewam się, żeby pan tym przekonał sędziów. No cóż, sprawa skończona. Tak pan natarł na Simona, że zmiękł jak wosk. Całkiem stracił głowę, biedactwo, i przyznał się do wszystkiego. — Pokiwała głową. — Zupełnie nie potrafi przegrywać.

— Ale za to pani potrafi, i to doskonale. Zaśmiała się nagle dziwnym, wesołym, butnym i urwanym śmiechem. — No oczywiście, przegrywać to ja potrafię! — rzuciła spojrzenie na Poirota. — Czym się pan tak przejmuje, *monsieur* Poirot? Mną, oczywiście. Przejmuję się pan, prawda.

— Oczywiście, *mademoiselle*.

— Ale nie do tego stopnia, by mnie puścić wolno?

— Nie — odrzekł cicho.

— Oczywiście. Teraz nie pora na sentymenty. Mogłabym jeszcze znów coś zrobić... Jestem już teraz niebezpieczną osobą. Sama to czuję... Jakie to strasznie łatwe — ciągnęła dalej w zamyśleniu

— zabijać ludzi. Człowiek przestaje się tym przejmować i zaczyna uważać, że liczy się tylko... własna osoba. To niebezpieczna zabawa...

Umilkła, a potem powiedziała z lekkim uśmiechem:

— Robił pan, co mógł, dla mnie. prawda? Owego wieczoru w Asuanie powiedział mi pan, bym nie otwierała serca przed... szatanem. Czy zdawał pan sobie sprawę, jakie wtedy miałam zamiary?

Poirot pokręcił przecząco głową.

— Wiedziałem jedynie, że to, co mówię, jest prawdą.

— To była prawda. Mogłam się jeszcze wtedy cofnąć... Byłam już tego bliska... Mogłam powiedzieć Simonowi, że się nie zgadzam... Ale wówczas... — zamilkła. — Może chce pan posłuchać, jak to było. Od początku...

— Jeśli pani ma ochotę...

— Czuję, że muszę to panu opowiedzieć. Jest to naprawdę prosta historia. Kochałam Simona, a on mnie...

Było to wprawdzie zwykłe stwierdzenie faktu, a jednak powiedziane nieco cieplejszym tonem, zdradzało stan uczuć...

— Dla pani miłość była wszystkim, a dla niego nie...

— Można to i tak ująć. Lecz pan całkiem nie rozumie Simona. Zawsze straszliwie pożądał pieniędzy. Uwielbia bowiem rzeczy, które można kupić za pieniądze: konie, jachty... sport... różne piękne przedmioty, do których mężczyzna może mieć upodobania... Nigdy go nie było na to stać. On jest bardzo prostoduszny. Jeśli czegoś zapragnie, to bardzo mocno, tak jak dziecko.

Nie próbował jednak nigdy poślubić żadnej bogatej, ale szkaradnej osoby. To nie leży w jego charakterze. I oto poznaliśmy się i... tak dalej. Zupełnie jednak nie było wiadomo, kiedy będziemy się mogli pobrać. Miał nawet dość skromną posadę, ale ją stracił. W pewnym sensie z własnej winy. Próbował coś tam fałszować z pieniędzmi i z miejsca go wylali. Nie wierzę, by naprawdę chciał popełnić jakąś nieuczciwość. Na pewno sądził, że robi się takie rzeczy w bankach...

Coś drgnęło w twarzy Poirota, lecz trzymał język za zębami.

— I tak się oto zaczęło. Przypomniałam sobie wówczas o Linnet, o jej posiadłości na wsi i szybko tam pojechałam. Czy pan wie, że kochałam Linnet? Naprawdę ją kochałam. Była moją najlepszą przyjaciółką i przez myśl mi nic przeszło, że nas cokolwiek rozdzieli. Myślałam tylko, że przyjemnie być bogatą. Wyrządziłaby mi ogromną przysługę dając posadę Simonowi. Okazała bardzo dużo serdeczności i poleciła mi przywieźć do siebie Simona, żeby go poznać. Tego to właśnie wieczora widział nas pan w Chez Ma Tante. Bawiliśmy się szampańsko, chociaż właściwie nie było nas na to stać.

Przerwała na moment, westchnęła i ciągnęła dalej:

— A teraz powiem panu coś szczerze, *monsieur* Poirot. Linnet już nie żyje, ale to prawdy nie zmienia! Dlatego, mówię szczerze, wcale mi nie jest żal Linnet, nawet teraz. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by mi odebrać Simona. Jest to absolutna prawda! Nie wierzę, by się dłużej niż chwilę wahała. Byłam jej przyjaciółką, ale to nie miało dla niej znaczenia. Za wszelką cenę chciała zdobyć Simona.

Simonowi zaś zupełnie na niej nie zależało. Gadałam mnóstwo do pana na temat jej czaru, ale to nie była prawda. On jej nie chciał. Uważał ją za przystojną, ale strasznie władcą, a on nienawidzi władczych kobiet. Był tym wszystkim ogromnie zażenowany. Ale miłe mu były jej pieniądze.

Oczywiście, spostrzegłam to od razu... i w końcu nawet go namawiałam, by się mnie pozbył i ożenił z Linnet. Ofuknął mnie za to z pogardą. „Pieniądze nie pieniądze — rzekł — ale taka żona to koszmar!” Uznał, że lepiej, jak się dojdzie do pieniędzy własnym przemysłem niż mieć bogatą żonę, co potrząsa sakiewką. Powiedział do mnie: „Nie chcę być czymś w rodzaju Księcia Małżonka”. Oświadczył przy tym, że mu tylko i wyłącznie na mnie zależy.

Zdaje się, że pamiętam, kiedy ten pomysł zaświtał mu w głowie. Jednego dnia powiedział mi tak: „To by dopiero było szczęście, gdybym się tak z nią ożenił, a ona po roku umarła i całą forszę mi zostawiła!” Wtedy to jakiś dziwny, straszny wyraz pojawił się w jego oczach. Wówczas po raz pierwszy przyszła mu do głowy myśl o...

Rozprawiał często i dużo, na różne sposoby, jak by to było wygodnie, gdyby Linnet umarła. Przeraziłam się tego i on przestał już mówić na ten temat. Ale potem, pewnego dnia, zastałam go, gdy czytał o arszeniku. Zrugłam go wtedy, a on uśmiechnął się i powiedział: „Kto nie ryzykuje, ten nie ma! Raz mi się w życiu zdarza, że jestem tak blisko wielkich pieniędzy, że tylko sięgnąć ręką”.

W niedługi czas potem uświadomiłam sobie, że on już podjął decyzje. Byłam tym wprost przerażona. Przede wszystkim zdawałam sobie sprawę, że mu się to nigdy nie uda. Jest tak strasznie, dziecinnie naiwny. Nie posiada krzty wyobraźni, a sprawa ta wymagała niemało subtelności. On po prostu nafaszerowałby Linnet arszenikiem i spokojnie czekał, aż lekarz stwierdzi śmierć z powodu katana żołądka. Zawsze był przekonany, że się wszystko dobrze skończy.

Wobec tego zmuszona byłam ująć sprawę w swoje ręce i roztoczyć nad nim opiekę.

Powiedziała to z prostotą, w absolutnie dobrej wierze. Poirot nie miał wątpliwości, że motyw jej postępowania był właśnie taki, jak podała. Sama osobiście nie pragnęła pieniędzy Linnet Doyle, ale kochała Simona, kochała go ślepo, wbrew rozsądkowi i własnemu sumieniu...

— Myślałam nieustannie nad tym i próbowałam ułożyć plan. Wydawało mi się, że podstawą jego powinno być dwustronne alibi. Tak, byśmy mogli nawzajem z Simonem świadczyć przeciw sobie, ale żeby jednocześnie oczyszczało to nas z podejrzeń. Nic łatwiejszego dla mnie, jak zacząć udawać nienawiść do Simona. W tych okolicznościach zresztą wygląda to na rzecz całkiem naturalną. Jeśli więc Linnet zostanie zgładzona, podejrzenie padnie na mnie. Wobec tego lepiej było, żeby mnie o to podejrzewano od razu. Opracowaliśmy każdy szczegół po kolei. Dążyłam do tego, aby w razie,

jeśliby coś się wydało, mnie za to sądzono, a nie Simona. Ale on się o mnie lękał.

W duchu pocieszałam się tylko myślą, że nie będę musiała... tego robić. Po prostu nie byłabym w stanie tego wykonać. Wejść z zimną krwią i zabić Linnet we śnie. Pan rozumie, ja jej niczego nie przebaczyłam i może potrafiłabym ją zabić, gdybyśmy stanęły twarzą w twarz, ale nie w taki sposób...

Opracowaliśmy wszystko do najdrobniejszego szczegółu. A mimo to Simon poszedł i wypisał literę J, co było głupie i melodramatyczne. Zresztą, bardzo w jego stylu. Ale wszystko poszło dobrze.

Poirot pokiwał głową.

— To nie pani wina — wtrącił — że Luiza nie mogła zasnąć owej nocy... A co było potem, mademoiselle?

Spojrzała mu odważnie w oczy.

— Tak, to było straszne. Do dziś nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. I teraz już wiem, co pan miał na myśli mówiąc o otwieraniu serca przed szatanem!...

Bardzo dobrze wiadomo panu, jak to się stało. Luiza dała Simonowi jasno do zrozumienia, że wie. Simon prosił więc pana, by mnie przyprowadził.

Zaraz jak tylko zostaliśmy sami, opowiedział mi o wszystkim. I kazał mi zrobić, co należy. Wcale się przed tym nic wzdragałam. Bałam się tylko, bałam śmiertelnie, że... Widzi pan, do czego morderstwo doprowadza! Simonowi i mnie nic nie zagrażało, z wyjątkiem ten nędznej Francuzeczki, szantażystki. Zniosłam jej wszystkie pieniądze, jakie mogliśmy zgromadzić. Udałam, że się trzęsę ze strachu. A potem, gdy zaczęła przeliczać pieniądze... zrobiłam... to. Całkiem łatwo mi poszło. I to jest właśnie przerażające... w tym wszystkim... że tak to łatwo przychodzi...

Ale nawet po tym nie byliśmy bezpieczni. Pani Otterbourne mnie widziała. Popędziła z triumfem szukać pana i pułkownika Race'a. Nie miałam czasu na rozmyślanie. Działałam błyskawicznie. To było całkiem frapujące! Wiedziałam, że tym razem to sprawa życia lub śmierci. To mi nawet dodało odwagi.

Zamilkła na chwilę.

— Pamiętam, jak zaraz potem zjawił się pan w mej kajucie. Powiedział pan, że nie wie właściwie, po co tu przyszedł... Byłam tak nieszczęśliwa i przerażona... Myślałam, że coś zagraża życiu Simona...

— Miałem taką nadzieję... — odpowiedział Poirot.

Jacqueline pokiwała głową.

— Może by to było lepsze dla niego — rzekła i popatrzyła na zasmuconą twarz Poirota.

— Niech się pan o mnie nie martwi — powiedziała łagodnie. — Jak panu wiadomo, zawsze w życiu borykałam się z niedostatkiem. Gdyby nam się powiodło, byłabym szczęśliwa i cieszyła się życiem i prawdopodobnie niczego nie byłoby mi żal. Stało się inaczej. Ale jakoś to przeboleję.

Przypuszczam, że ta stewardesa pilnuje mnie, żebym się nie powiesiła lub nie połknęła cudownej pigułki z kwasem pruskim, jak to zawsze robi się w powieściach. Niech się pan nie boi. Ja tego nie zrobię. Simonowi będzie lżej, jeśli przy nim zostanę.

Poirot wstał. To samo zrobiła Jacqueline.

— Przypomina pan sobie, jak powiedziałam, że muszę iść za swoją gwiazdą? Pan powiedział, że może być ona fałszywa! Ja na to odrzekłam, że to fatalna gwiazda, z tych, co spadają.

Wyszedł na pokład, a w uszach ciągle jeszcze brzmiał mu śmiech Jacqueline.



# Rozdział XXXI

Wczesnym ranem dobili do Shellâl. Skały ponuro schodziły do samej rzeki.

— *Quel pays sauvage!*\* — mruknął Poirot. Pułkownik Race, który stał obok, powiedział:

— Dzieło skończone. Rozkazałem, by Richettiego wyprowadzono na brzeg w pierwszej kolejności. Rad jestem, żeśmy go przyłapali. To była śliska sztuka. Zapewniam pana. Wymykał się nam z rąk dziesiątki razy. Musimy się postarać o nosze dla Doyle'a. Aż zadziwiające, jak szybko się rozkleił.

— Mnie to nie dziwi. Kryminaliści o takim chłopięcym typie są zazwyczaj niezwykle próżni. Wystarczy zadrażnić ich ambicję, a łamią się jak trzcina. Są potem bezradni jak dzieci.

— Zasłużył na stryczek — odpowiedział Race.

— Zimny, wyrachowany łajdak. Żal mi tej dziewczyny. Ale nic się tu nic da zrobić.

Poirot pokręcił głową.

— Ludzie mówią, że miłość wszystko usprawiedliwia, ale to nie jest prawda... Kobiety, które tak zabiegają o mężczyzn, jak Jacqueline o Simona, są bardzo niebezpieczne. Kiedy ją ujrzałem po raz pierwszy, powiedziałem: „Ta mała za mocno to przeżywa”. I to jest prawda.

Podeszła do nich Kornelia Robson.

— No, nareszcie przybijamy — powiedziała. Milczała przez chwilę, a potem dodała: — Byłam u niej.

— U *mademoiselle* de Bellefort?

— Tak. Zdawało mi się, że czuje się okropnie tak zamknięta ze stewardesą. Kuzynka Maria ma mi to za złe, niestety.

Panna Van Schuyler podążała z wolna w ich stronę. Oczy miała pełne wściekłości.

— Kornelio! — warknęła. — Zachowałeś się okropnie. Odeślę cię prosto do domu.

Kornelia zrobiła głęboki wdech.

— Przepraszam, kuzynko Mario, ale ja nie wracam do kraju. Wychodzę za mąż.

— No, nareszcie nabrałaś rozumu — powiedziała krótko.

Z kąta pokładu przybiegł Ferguson.

— Kornelio, co ja słyszę? To chyba nieprawda?

— Ależ tak — odrzekła Kornelia. — Zamierzam poślubić doktora Bessnera. Oświadczył mi się wczoraj wieczór.

— Po co wychodzisz za niego — spytał Ferguson. — Czy dlatego, że jest bogaty?

— Nie dlatego — odpowiedziała z oburzeniem dziewczyna. — Ja go lubię. Jest dobry i tyle wie. Zawsze mnie interesowali chorzy, szpitale, więc będę miała cudowne życie u jego boku.

— Czy mam przez to rozumieć, że wolisz poślubić tego odrażającego starca niż mnie?

— Tak, wolę. Na tobie nie można polegać. Nic miałabym z tobą łatwego życia. Poza tym on nie jest stary. Nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

— Ale ma brzuch — odparł złośliwie Ferguson.

— A ja mam okrągłe ramiona — odpowiedziała Kornelia. — Wygląd nie ma istotnego znaczenia. On mówi, że mogę mu naprawdę być pomocna w pracy i będzie mnie uczył wszystkiego o neurozach.

Odeszła. Ferguson zapytał Poirota:

— Sądzi pan, że ona naprawdę tak uważa?

— Oczywiście.

— I woli tego pompatycznego starego nudziarza ode mnie?

— Bez wątpienia.

— Ona chyba zwariowała — oświadczył Ferguson.

Poirot zamrugał powiekami.

— Jest to dziewczyna o bardzo nietypowym umyśle — odpowiedział Fergusonowi. — Spotkał się pan zapewne po raz pierwszy z taką osobą.

Statek dobił do przystani. Pasażerów otoczono kordonem i poproszono, by jeszcze nie wysiadali.

Richetti z ciemną i ponurą twarzą wyprowadzony został na brzeg w asyście dwóch mechaników.

Następnie po paru minutach dostarczono nosze. Poniesiono na nich Simona z pokładu w kierunku trapu.

Zmienił się nie do poznania; zniknęła chłopięca beztroska, zostały tylko pokora i strach.

Za noszami kroczyła Jacqueline de Bellefort, a obok niej stewardesa. Niewiele się zmieniła, była zaledwie troszeczkę bledsza. Podeszła ku noszom.

— Witaj, Simonie — rzekła.

Natychmiast uniósł wzrok. Dawne chłopięce spojrzenie pojawiło się na moment w jego oczach.

— To ja tak naplątałem — powiedział. — Straciłem głowę i wszystko wyśpiewałem. Daruj mi, Jackie, że cię tak wrobiłem.

— Nie przejmuj się, Simon — odpowiedziała i uśmiechnęła się. — Cóż, powinęła się nam noga... w tej grze... Trudno.

Stała obok noszy. Tragarz chwycił w dłonie drewniane trzymadła. Jacqueline pochyliła się, by zawiązać sznurowadło u buta. Nagle sięgnęła ręką za pończochę, dobytek coś i wyprostowała się trzymając jakiś przedmiot w dłoni.

Nagle rozległ się donośny huk wystrzału.

Simon Doyle podskoczył na noszach i znieruchomiał.

Jacqueline pokiwała głową. Stała przez chwilę z pistoletem w dłoni. Uśmiechnęła się blado do Poirota.

Wtedy to Race ruszył przed siebie, a ona przyłożyła do serca lśniąca zabaweczkę i nacisnęła spust.

Osunęła się bezwładnie na ziemię.

— Gdzież, u diabła, zdobyła ten pistolet? — huknął Race.

Poirot poczuł dotknięcie czyjejś dłoni na ramieniu. Pani Allerton zapytała cicho: — A pan wie? Potaknął głową.

— Miała ich parę. Uświadomiłem to sobie, kiedy się dowiedziałem, że jeden taki znaleziono w torebce Rozalii Otterbourne w dniu rewizji. Jacqueline siedziała przy stole razem z nimi. Kiedy spostrzegła, że będzie rewizja, wsunęła pistolet do torebki dziewczyny. Później poszła za Rozalią do jej kajuty i wydobyła go z jej torebki, zająwszy uwagę dziewczyny porównywaniem szminek.

Wczoraj także trzeba było zrewidować zarówno dziewczynę, jak i kajutę, toteż ponownie musiała schować pistolet.

— Chciał pan, żeby tak zrobiła? — spytała pani Allerton.

— Tak. Ale ona nie chciała umierać pierwsza. Dlatego Simon mniej boleśnie rozstał się z życiem, niż na to zasługiwał.

Pani Allerton aż się wzdrygnęła.

— Miłość może być czasem przerażająca.

— Dlatego też większość książek o miłości to tragedie.

Spojrzenie pani Allerton spoczęło na Timie i Rozalii, stojących ramię w ramię w blasku słońca.

— Dzięki Bogu, że istnieje jednak szczęście na ziemi. Pasażerowie zaczęli niebawem schodzić na brzeg. Później wyniesiono ze statku ciała Luizy Bourget i pani Otterbourne.

Zwłoki Linnet Doyle wyniesiono na ostatku i jak świat długi i szeroki zabrzęczały telegrafy, by obwieścić szerokim rzeszom, że Linnet Doyle, dawna Linnet Ridgeway, sławna, piękna, bogata Linnet Doyle, nie żyje.

Sir George Wode wyczytał o tym w gazecie siedząc w jednym z londyńskich klubów, tak samo Stendale Rockford w Nowym Jorku i Joanna Southwood w Szwajcarii. Nad wydarzeniami tymi dyskutowano także w barze Pod Trzema Koronami w Malton koło Wodę.

Chudy przyjaciel pana Burnaby'ego powiedział: — Nie było to w porządku, tak mieć wszystko, co dusza zapagnie.

— Nie wyszło jej to na dobre, jak widać — dodał pan Burnaby.

Ale już po chwili przestali o niej mówić i zaczęli dyskutować nad tym, kto wygra Wielką Narodową. Bo jak powiedział pan Ferguson pewnego dnia w Asuanie: nie przeszłość się liczy, lecz tylko to, co przed nami.

---

\* (*franc.*) Jej wysokość, królowa Linette. Złotowłosa Linette!

\* (*franc.*) Kierownik sali.

\* (*franc.*) No proszę!

\* (*franc.*) Dobrze!

\* (*franc.*) Ależ tak, proszę pani!

\* (*franc.*) Zdrowie pań, proszę pani, panienko!

\* (*franc.*) No, to dziwne, doprawdy!

\* (*franc.*) Ona kocha, a on pozwala się kochać. względny niż on o jej.

\* (*franc.*) Mój Boże!

\* (*franc.*) Ach, naprawdę!

- \* *(franc.)* Do licha!
- \* *(franc.)* Słowo daję, proszę pani.
- \* *(franc.)* Dost.: fałszywy krok; nietakt.
- \* *(franc.)* Kobiet.
- \* *(franc.)* Przy okazji.
- \* *(franc.)* Być może.
- \* *(franc.)* Ależ tak.
- \* *(franc.)* Och, nie!
- \* *(franc.)* Do kroćset.
- \* *(franc.)* No dobrze.
- \* *(franc.)* Stara sztuczka.
- \* *(franc.)* To dziecinada.
- \* *(niem.)* Wielki Boże!
- \* *(niem.)* Nieprawdaż?
- \* *(franc.)* Tu: A zatem.
- \* *(franc.)* Dobrze.
- \* *(franc.)* Dokładnie!
- \* *(franc.)* Moje dziecko.
- \* *(franc.)* Mój Boże!
- \* *(franc.)* Przekleństwo, znaczy mniej więcej tyle co: cholera!
- \* *(franc.)* Mój drogi.
- \* *(franc.)* Tu: No i?
- \* *(franc.)* Bardzo dobrze, proszę pani.

- \* *(franc.)* Cudownie!
- \* *(franc.)* Dobranoc pani.
- \* *(franc.)* Przedmiot luksusowy.
- \* *(niem.)* *Badania nad prehistorią Azji Mniejszej.*
- \* *(franc.)* Szukajcie kobiety — przysłowie francuskie.
- \* *(franc.)* Ja, osobiście.
- \* *(franc.)* Tu: dziewczęcy.
- \* *(franc.)* Ta biedna pani Doyle.
- \* *(franc.)* Biedna mała.
- \* *(franc.)* Grzeczność.
- \* *(franc.)* Tu: właśnie.
- \* *(franc.)* Ta biedna mała Rozalia.
- \* *(franc.)* Mój przyjacielu.
- \* *(franc.)* Dobry Boże.
- \* *(franc.)* Co się stało?
- \* *(franc.)* Pokojówkę.
- \* *(franc.)* No, tak.
- \* *(franc.)* Dobry Bóg.
- \* *(franc.)* Ależ tak, ależ tak.
- \* *(franc.)* Król umarł, niech żyje król!
- \* *(franc.)* Właśnie.
- \* *(niem.)* Wielki Boże!
- \* *(franc.)* Ależ tak.

\* (*franc.*) Ale to wszystko.

\* (*franc.*) Tu: no, cóż.

\* (*franc.*) Dziewczyna.

\* (*niem.*) Nieprawdaż?

\* (*franc.*) Do licha!

\* (*franc.*) Naprawdę.

\* (*franc.*) Cóż za dziki kraj!